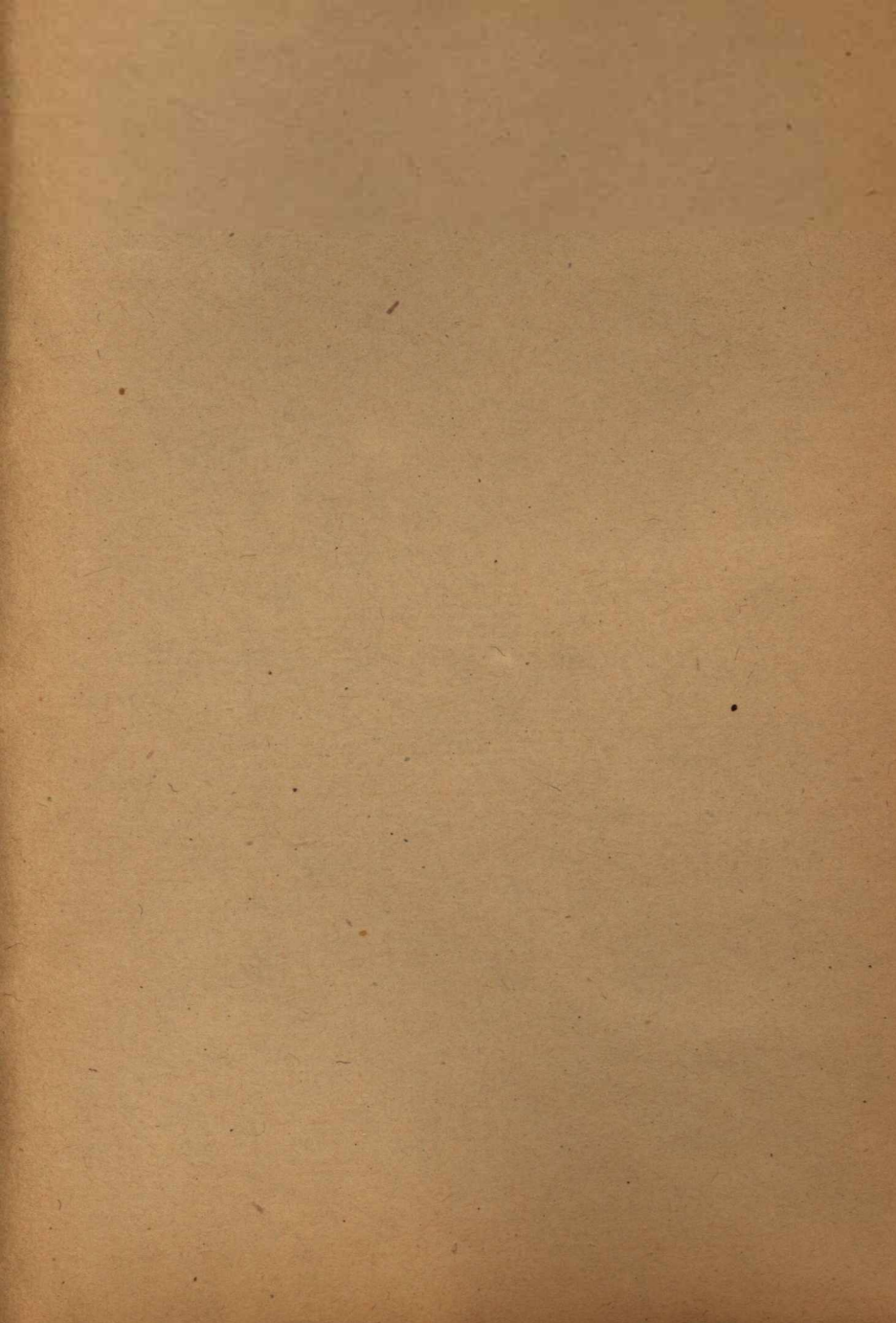


JAN TADEUSZ WRÓBLEWSKI

ROBY
I PODSUJTE

POWIEŚĆ WSPÓLCZESNA





ROBY I POPSUJE.

Tegoż autora:

Z za kraty, wspomnienia z więzienia i nowelki. Kijów 1915. (wyczerpane).

Jesienią roku 1914, powieść. Kijów 1915 (wyczerpana).

Świątynia Tamary i inne trzy opowiadania. Łuck 1920.

Hanczyna Dola i inne trzy opowiadania. Łuck 1920.

I. Fajtlapa, II. Po ciemku... i Świątynia Tamary, III. Hanczyna Dola, IV. Wydał ją Pochroń, V. Zemsta i odwet, VI. Dlaczego zdradziła i Przygoda skoczybrózdzy, opowiadania z cyklu „Przygodne Trójkąty“ w oddzielnych broszurkach. Warszawa 1921.

Tulaczym szlakiem, powieść dla młodzieży. Warszawa 1922.

Romans Kurtyzany, powieść. Warszawa 1922.

Kresowa, powieść — w opracowaniu.



JAN TADEUSZ WRÓBLEWSKI.

40 95 447

R O B Y

i POPSUJE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



1000182613

Nakładem Autora.

Warszawa, ul. Poznańska 21.

—
1922.

A 39585

IMP. TADDEUSZ WÓJCIK

ROBY

POPIS

ROBIEC WSPOLCZESNY

Lit 13 a

K 271/64/10

Drukarnia succ. T. Jankowskiego, Warszawa, Wspólna 54, Telefon 266 07.

BIBLIOTEKA
DMCS
LUBLIN

5-0-64 m

ROBY I POPSUJE.

Rzecz dzieje się w Mennicy państwowej
w Ziemi Cudeńskiej.

W akcji powieściowej biorą udział:

Fortunat Stanisław Odrowąż-Podborski,—prezes zarządu Mennicy.

Eufemja Podborska, — jego żona.

Witold Słodkiewicz,—nadarca ministerjalny.

Ciapuciński,—radca ministerjalny.

Konrad Żbikowski—dyrektor techniczny.

August Chwytowski,—dyrektor handlowy.

Karol Fiszer,—kierownik artystyczny Mennicy.

Idzi Ważkiewicz,—członek zarządu Mennicy.

Bernard Goldberg-Złotogórski,—kierownik wydziału
w zarządzie.

Zdzisław Krzemieniecki,—urzędnik zarządu.

Longin Badylewicz, — kierownik kartoteki.

Gołębiowski,—inżynier chemik.

Cezary Latański,—intendent.

Trafiński,—inżynier chemik.

Kaszyński,—ekspert.

- Kajetan Bykowski**,—nadkontroler,
Udałowski,—starszy kontroler.
Telesfor Jodłowski,—starszy kontroler.
Ospalski Pafnucy,—kontroler.
Buńczucki,—kontroler.
Jodejko,—podkontroler.
Morengowska, — kontrolerka.
Zofja Gumińska,—podkontrolerka.
Rozpychańska,—podkontrolerka.
Wasył Mangolow,—inżynier-elektrotechnik, później —
zastępca dyrektora.
Mikołaj Hryczenko,—inżynier-drukarz, później — dy-
raktor techniczny.
Cichocki,—zarządca pawilonu.
Młynarski,—zarządca pawilonu.
Porajski Janusz,—technik, robotnik, później,—zarządca.
Wieloczyński starszy,—zarządca pawilonu.
Burszowski,—zarządca pawilonu.
Władurski, — zastępca zarządcy.
Puszkowski, — zastępca zarządcy.
Kotkowski Zbigniew, — ex-sierżant, student, urzędnik
łącznikowy Mennicy z Filją.
Starzyński, — technik budowlany.
Waldemar Drewnowski, — rysownik artystyczny.
Dmitrij Borsuk, — rysownik techniczny, później zastęp-
ca dyrektora.
Hersz, vel Henryk Cwybelduft, — dostawca Mennicy.
Icek, vel Ignacy Medaljon, — dostawca Mennicy.
Wukowski, — kierownik kancelarji technicznej.
Ewliński, — urzędnik dykcji technicznej.
Gawroński, — kierownik kancelarji dykcji handlowej.

Wieloczyński młodszy, — urzędnik dyrekcji handlowej.

• Alfons Mundrak, — majster drukarski,

Józef Mańczak, — maszynista, później — majster.

Józef Pańkowski, — maszynista, później — majster.

Jan Dąbkowski, — maszynista, później — majster.

Franciszek Turkowski, — maszynista drukarski.

Antoni Flakiewicz, „ „

Feliks Bogatek, — „ „

Stanisław Gagattek, — „ „

Stanisław Józwiak — „ „

Jakób Kiełbasiński, — „ „

Walter, — maszynista-łamiestrej, później — majster
i znów maszynista.

Stefanja Opieńkówna („Czarna Stefka“), — nakładaczka.

„Ruda Mańka“, — nakładaczka.

Józia Milczarkówna, — odbieraczka.

Lodzia, — liczarka

„Rumiana Stasia“, — liczarka.

Franusia, — liczarka.

Miodnicki, — mistrz-litograf.

Ludwik Śliwek, — kopista-fotograf.

Bułka Franciszek, — majster-litograf.

Wojtkiewicz, — majster-cynkograf.

Tasiemski, — majster-elektrotechnik.

Ładziński, — trawiacz.

Kuliński, — grawer.

Czcionkowski, — składacz (zecer).

Regalski, — składacz (zecer).

Orylski, — majster warsztatowy.

Jędrzej Gmyrek, — ślusarz.

Pędracki, — stolarz.

- Smykajłto**, — komendant warty.
Chojnowski, — zastępca komendanta.
Czapła, — wartownik.
Chromecki, — wartownik, narzeczony Łodzi, liczarki.
Kljewski, — wartownik.
Szczujski, — wartownik.
Wojciech Kozica („Głupi Wojtek“), — woźny z wartowni.
Marcin, — robotnik.
Michałek, — goniec.
Weidecki, — właściciel prywatnej drukarni
Cwaniewicz, — właściciel prywatnej drukarni i inni.
-

W S T Ę P.

Miasto Cudno musiało być niegdyś istotnie piękne, bogate i od cudu brać swoją nazwę, gdyż najstarsze o niem kroniki opowiadają, że budziło pożądlivość najeźdźców, było przez nich pustoszone i palone. — — — — —

Miasto i ziemia cudeńska mogły też otrzymać swą nazwę od cudów, które się regularnie w ich dziejach zdarzały od czasów bajecznych aż do najnowszych. Cuda te rozmaite, dobroczynne i zgubne, rzekomo od świętych Patronów kraju i od pokutującego w nim wiecznie Licha pochodzące, stanowią treść główną historii tego kraju. Rzecz można, że Cudno rządziło się zawsze cudem, oczekując od niego rozwiązania zadań państwowych. — —

Gdyby z ogólnej ludności miasta, leżącego w odwiecznej strefie lechickiej, usunąć ogromną ilość zadawnionych gości obcoplemiennych, czyli żydów, — pozostałaby tu jeszcze ludność bardzo pstrokata co do właściwości i usposobień społecznych. — —

Podkreślimy tylko dwie odmiany Cudnian, coraz jaskrawiej występujące na tle epoki: Robów i Popsujów.

*Robowie są dużo liczniejsi i od wieków urabiają ziemię cudeńską; majstrują czasem usilnie i owocnie, czasem sobie zasną na czas dłuższy; dłu-
bią w mózgach i serecach współobywateli; dbają o dorobki i tradycje: windują do góry ducha Cudnian zapomocą starych metod: oświaty i dogmatyki narodowej; mają zwyczaj sprawdzania zawartości swych prądów, przesiewania ziarna, przeznaczonego*

do siewu przez sita krajowego pożytku — jakby w ziemi cudeńskiej nie wolno było plenić się każdemu ziarnu według rodzaju swego! Przy tych operacjach czyszczenia Robowie obchodzą się z przeciwnikami ideowymi gburowato, nazywając ich szkodnikami, za co im ci znowu odrzucają okrutne przezwisko: endecy! Ale Robowie, czy należący, czy nienależący do tego stronnictwa, znoszą przezwisko, byle postawić na swoim. — — — — —

Bądź co bądź, i pomimo wad od ludzkiego działania nieodłącznych, Robowie stworzyli Cudno, jakie jest i upierają się przy dalszem lepieniu go z rodzimej gliny, choć sporo w niej błota i ostrych kamieni. Mało się nawet różnią od dawnych budowniczych, dzisiaj już nie wzorowych, lecz jeszcze wspomnianych w podręcznikach szkolnych, jako twórcy myśli narodowej, założyciele potęgi, przewidywacze upadku. — — — — —

Wszystkie te dawne wzory i dzisiejsze konsekwencje niczem są dla Popsujów. Choć dużo mniej liczni od Robów, czują się oni gospodarzami ziemi cudeńskiej; stawiają łatwo każdy jej interes na hazardowną kartę; namiętne podkopywanie dzieł Robów, dawnych i nowych, starczy im za widoczny program. Jakie zaś wymarzyli sobie w przyszłości idealne Cudno? — nie daje się to określić w paru dobitnych wyrazach.

Myliliby się, ktoby sądził, że do Popsujów należą tylko „cepepy“ („Cudeńska Partja Przewrotowa“), którzy się podobno mają za socjalistów. Są to wprawdzie umiejętni wichrzyciele, ale wichrzycielstwo nie było dotychczas jedynym celem socjalizmu. Popsuje szerzej się rozrosli, niż stronnictwo

cepepów. Dużo nowsi od Robów, Popsuje właśnie z nowożytności wyciągają swoją chlubę i racje istnienia. — — — — —

Zagadkowość pożytku Popsujów dla sprawy ogólnej możnaby wytłumaczyć przez zależność ich działań od interesów tak zwanych „międzynarodowych“, czyli od spraw ludzi będących między narodem, lecz do narodu nienależących? Ale nie! Nie wszyscy Popsuje są żydami, chociaż niema w ich szeregach antysemitów. — — — — —

Miewali Popsuje adherentów do swych robót politycznych w arystokracji, w obozach rojalistów i w różnych warstwach o socjalizm podejrzanych. Nie są to zatem na ogół ani socjaliści, ani agenci przez kogokolwiek nasłani; są to Popsuje z powołania, z konieczności historycznej, której zgłębienie wymagałoby osobnego i przykrego studjum.

Niektórzy wywodzą Robów od przedwiecznych Słowian, Czy Polan. Popsujów zaś mają za produkt, pomieszania autochtonów z jedną z ras napływowych, — może z Chazarami? — Ale trudno tego dowieść. Więcej prawdopodobieństwa zawiera prosta legenda, że Robów nastali święci Patronowie cudzeńscy, Popsujów — przekorne Licho.

(„Cudno i Ziemia Cudeńska“).

JÓZEF WEYSENHOFF.

Bezpośrednio po ucieczce z Cudna teutońskiego najeźdźcy w jednym z zakątków oswobodzonej od wroga krainy cepepy obwołały sobie nowy rząd niepodległy. Miał to być rząd całkiem republikański. demokratyczny i ludowy, a zmajstrowany był głównie przez towarzyszy: Wichrowatego i Bluszczyńskiego.

Ten samorzutny czyn garstki cepepów rozradował wielce wszystkich Popsujów, którzy wnet uczuli twarde grunt pod swemi stopami. Natomiast endecy i wszyscy wogóle Robowie oniemieli na widok olbrzymich plakatów, rozlepianych otwarcie w biały dzień nawet w stolicy, a obwieszczających utworzenie nowego rządu samozwańczego.

Naczelnych majstrów, tow. Bluszczyńskiego i tow. Wichrowatego, nikt za dokonany zamach stanu nie aresztował. Popsuje zachowywały się wyzywająco. Wiecowali i gardłowali ile tylko wlazło, publicznie nawołując do czynów zdrożnych, skutkiem czego Robom włosy na głowach się jeżyły. Rada Rojalistyczna, dzierżąca jeszcze w drżących w dłoniach władzę, od byłych okupantów otrzymaną, nic przeciw zamachowi uczynić nie śmiała i nie chciała, bo siły nigdy nie miała. A, że nawet oszołomiona milicja cudeńska również najmniejszych wstrętów Popsujom nie czyniła, Robowie doszli do wniosku, że to, co się stało, miało źródło w konspiracji, uprawianej zawodowo przez cepepów, a uknute zostało i zaakceptowane z góry przez kogoś nieznanego.

Gdy się to działo, zabiegliwe cepepy umyślili sobie, ku zadowoleniu wszystkich Popsujów, sprowadzić do Cudna słynnego patryotę, swego starego towarzysza ideowego, który za rządów dawnego najeźdźcy, nigdy w środkach walki z nim nie przebierał.

Powracającego z niewoli teutońskiej słynnego patryotę witały delegacje cepepów i ich organizacji związkowych, witały różne inne partje przewrotowe, któremi kierowały Popsuje, witały tłumy proletariatu, nawet wielu Robów stanęło na placu przed dworcem, aby

choć zdala zobaczyć tego, co cierpiał za wolność i niepodległość Ojczyzny.

Słynnego patriotę, zwanego popularnie „Stryjem“, ostentacyjnie przewieziono przez ulice Cudna i osiedlono w pięknym pałacu, ongi magnackim, zwanym Belloną. W tem zacisznem ustroniu rozpoczęto żwawo robotę, dzięki której został niebawem stworzony nowy rząd ogólnie - dzielnicowy — o, dziwo! — z tymi samymi towarzyszami: Bluszczyńskim i Wichrowatym — na czele.

W robocie polityki wewnętrznej, obejmującej tylko dwie połączone dzielnice, nie chcieli pozostać w tyle i Robowie, których o wściekłość przyprawiał czerwony kolor sztandaru wszystkich Popsujów, jaki cepesy zawiesili na starym zamku królewskim w stołecznem Cudnie. Przecież między nimi byli i urodzeni rojaliści i urobieni aktywiści. Jednym i drugim wczorajszy okupant obiecywał króla osadzić na zamku osierociałym, lecz — nie zdążył, sromotnie z Cudna uciekłszy. Nie myślał jednakże teutoński najeźdźca wynieść swych larów i pnatów z trzeciej prastarej dzielnicy cudeńskiej, w której już od wieku siedział.

Umyślili więc i Robowie — wszyscy, bez względu na różnicę przekonań politycznych, — sui generis samorzutne wystąpienie. Ni mniej, ni więcej, jeno wzywali przez tajną robowską organizację wojskową — powstanie zbrojne. Gdzie? — W kraju, przeciw Popsujom?... — Broń Boże! — W tej właśnie trzeciej prastarej dzielnicy, najkulturalniejszej pod względem gospodarczym, bo przez Robów wyłącznie, bez Popsujów zamieszkałej.

Umyśliwszy przyłączenie tej pięknej ziemicy do jednoczącej się Rzeczypospolitej Cudeńskiej, ostateczny moment zbrojnego wybuchu powierzyli kierownictwu swego, robowskiego mistrza-patrioty, jedyne go bodaj społecznego cudnianina o sławie wszechświatowej.

Wielki patriota czynu dokonał: Powstanie wybuchło, najeżdżąc zbrojnie wygnano, łupy olbrzymie zdobyto.

Mistrz po dokonanych czynie w aureoli sławy promiennej powrócił do stołecznego Cudna. Jako pół-boga witano i tego patriotę na dworcu kolejowym. Zasypano go kwiatami, wyprzagnięto konie z powozu i przy iluminacji pochodni i dekoracji Cudna flagami i dywanami młodzież robowska zawiozła swą chlubę narodową do jego własnego pałacu, zwanego Polimnją. Dokonano tego, z trudem przeciskając się poprzez ulice, zatłoczone publicznością, głównie z Robów złożoną. Entuzjazm był tak wielki, a nastrój tak podniosły, że z ócz wielu cudnian płynęły łzy radości, niepowstrzymanej nawet przez tragiczny wypadek, spowodowany zarwaniem się przepełnionego publicznością balkonu na jednej z ulic, kiedy ciągnął trjumfalny pochód, wiozący mistrza-zwycięzcę.

Wypadek ten miał być złym prognostykiem dla zacnego patrioty. Narazie jednak nikt nie przywiązywał wagi do nieszczęścia, o jakie w tłumie ludzi pijanych choćby radością i szczęściem. — nie trudno.

Niektórzy z tych, co witali uprzednio słynnego cepowskiego patriotę, Stryja, przyłączyli się i tym razem do rozentuzjazmowanych tłumów robowskich, stwierdzając naocznie znaczną większość olbrzymią

większość Robów, wobec znikomej garstki Popsujów, jacy rej w Ziemi Cudeńskiej wieść już zaczęli.

Entuzjazm ogółu cudeńskiego odbił się przygnębiającym echem o kolumnadę ustronnego pałacu Bellony. Cepepy, zgromadzeni w antykamerze swego wodza, spojierali po sobie w milczeniu. Osłabiony niewolą teutońską słynny patrijota dumał nad niechybnie mającym nastąpić podziałem władzy, pomiędzy dwoma wybitnymi mężami cudeńskimi.

Jeden z nich cieszył się w cepepowskich organizacjach partyjnych, oraz w pewnych kołach wojskowych wielkim uznaniem, miłością i przywiązaniem ślepem, bezgranicznem, a u wszystkich Popsujów nadzieją był sytego i beztroskiego jutra. Drugi zaś, uosobienie cnót prawego obywatela kraju, dużo już zasług dla Ziemi Cudeńskiej położył i dzięki stosunkom osobistym, jakie łączyły go z ukoronowanymi i nieukoronowanymi dyplomatami całego świata, wiele bardzo nadziei rokował wśród wszystkich robów cudeńskich, którzy go uwielbiali bez granic.

Jeden z nich — mąż, jak stal, hartowny w bojach, gdzie nie zawsze przyłbicę uchylić można było, — twardy był. Drugi zaś, o sławie mistrza wszechświatowego, kulturą i polorem wytwornym imponujący, — miękki był. to prawda, ale... Jeden miał garstkę za sobą oddanych, no i tłum proletariatu międzynarodowego, na który nie zawsze można rachować, słowem — Popsujów. Drugi miał za sobą kwiat narodu cały: jego inteligencję, jego wiedzę i sztukę, — jego autochtonów, patrijotów i ludzi pracy twórczej, słowem — Robów.

A przecież w Ziemi Cudeńskiej, jak zresztą i wszędzie na świecie, rzetelnych Robów jest więcej, niż gorliwych Popsujów.

Co będzie? — rozważała noc całą Bellona i sprawy nie zasypiała.

Alści sam mistrz-patrjota ułatwił rozwiązanie. Nazajutrz bowiem około południa pałac Bellona zelektryzowany został zapytaniem telefonicznem czy Stryj-patrjota jest w domu i czy może przyjąć mistrza-patrjotę...

Właśnie Bellona miała o to samo pytać Polimnji...
Konsternacja...

— Prosić, czekam!...

Bellona rychło otrząsnęła się z oszołomiającego zdumienia i robiącego pierwszy krok wielkiego patrjotę powitała — nieco po-napoleońsku, tak jakoś marsowo, i — jakby z góry.

Stalowy mąż zatrjumfował.

Wówczas Rada Rojalistyczna, zrzekając się czempredzej swej władzy, otrzymanej z rąk najeźdźcy teutońskiego, — w porozumieniu z buńczuczными cepami — przelała tę władzę problematyczną na rzecz stalowego męża-patrjoty, noszącego groźne imię zagorzałego w różnych bojach partyjnika.

Nowokreowany Namiestnik Rady Rojalistycznej zarządził wybory do parlamentu ludowego, i jał przyjmować usługi w trudnej pracy rządu przedewszystkiem swoich dawnych wyznawców i spółtowarzyszy. a następnie i różnych majstrów, majsterków i partyjników cepowych i wogóle Popsujów, choć w szlachetnej swej tolerancji nie pomijał i Robów. Dla tych endeków

i nie-endeków też często - gęsto znalazło się jakieś wybitniejsze stanowisko, nawet z tą lub ową teką. Zwykle jednak taki Rob schodził wkrótce do roli manekina, o ile ulegał mocy ukrytych po majstersku sprężynek cepepowych, lub też — opuszczał posterunek, nie chcąc się nagiąć do chaotycznego programu i poczynań Cudeńskiej Partji Przewrotowej.

Cepepy niepodzielnie objęły ster władzy nad Cudnem i Zjednoczoną z trzech dzielnic Rzeczpospolitą Cudeńską.

I oto powstała nowa era w tym biednym kraju, wyjałowionym przez długotrwałą wojnę i przez stuletnią niewolę wynędzniałym. Zaczęły się czasy niby odrodzenia politycznego, a naprawdę — czasy nierządu, okres nieróbstwa, przekupstwa, paskarstwa, korupcji i wszechwarstwowej zgnilizny moralnej.

Splęnęły na powierzchnię życia szumowiny, trjumfowali Popsuje, gnębić zaczęto Robów. Proletariat zaczął opływać w dostatki, inteligencję zaś w orchłań nędzy i głodu spychano coraz głębiej. Jedni wciąż strejkowali, inni ciągle wzdychali, a wszyscy zle czasy przeklinali.

Rozgorzała walka o karierę, o byt, o pieniądz.

Zjednoczona Rzeczpospolita Cudeńska pieniędzy miała mało. A i te, co posiadała, różnej były waluty. a głównie marki i korony papierowe, które pozostawił w obiegu ostatni okupant, oraz — ruble, jakie napływać zaczęły wraz z imigrantami ze Wschodu mongolsko-bolszewickiego.

Należało swój pieniądz stworzyć, swoją własną walutę ustanowić, ze swego kruszcu bić własną monetę.

Kruszcu jednak narazie w Kraju brakowało. Okupanci bowiem nie tylko złoto i srebro ale miedź, mosiądz, nikiel, ołów i cynę powywozili, zerwawszy dachy z kościołów, zjawszy dzwony ze świątyń, poukręcawszy klamki u drzwi i pieców we wszystkich domostwach na całej Ziemi Cudeńskiej, zabrawszy wreszcie maszyny fabryczne i materiały surowe.

Znalazł się jednak dobry człowiek, niezmiernie miłujący Ojczyznę, niejaki Weidecki, autochton cudeński i właściciel zakładów graficznych, który dowiódł jasno, jak na dłoni któremuś tam z rzędu ministrowi skarbu cudeńskiego, że produkowanie pieniędzy własnych, pomimo zrujnowanego przemysłu, jest w Cudzie możliwe. Należy tylko mieć — papier.

Bank państwa postarał się o papier, Weidecki dał druk i farbę, a wnet własne, państwowe banknoty, wypuszczone przez skarb cudeński załwały rynek wewnętrzny pod nazwą bonów. Figurowały na tych banknotach rodzimych wizerunki czczonych oddawna bohaterów narodowo-radykalnych i widniał skromny, lecz wyraźny podpis dzielnego wykonawcy - rodaka, Weideckiego, a nawet — nazwisko rysownika-projektodawcy, niejakiego Charkowskiego. Zupełnie tak samo, jak i na wszelkich artystycznych dyplomach, ozdóbkach lub etykietach.

Niewiadomo, czy dzięki tej okoliczności reklamowej, czy też jakimś lapsusowi, popełnionemu w tekście banknotów, — dość, że po pewnym czasie kurs bona cudeńskiego zaczął spadać. Spozstrzegły to przezorne jak zwykle żydowiny cudeńskie i jeły się gorliwego wyławiania marek, koron i rubli okupacyjnych

po to, aby rozwinąć choć jedną gałąź podupadłego handlu krajowego — spekulacji na czarnej giełdzie.

Dzięki temu wrodzonemu sprytowi mniejszości narodowej, kurs bonów cudeńskich spadać zaczął z przerażającą szybkością. Drożyzna wzmaęać się zaczęła w tempie niebywałem. To, co przy okupantach kosztowało jedną markę, a po wypuszczeniu pierwszej edycji waluty cudeńskiej — jednego bona, to samo podskoczyło wkrótce do dwóch, trzech, czterech, pięciu, dziesięciu bonów z tendencją coraz bardziej zwyękową.

Nic dziwnego, że strąjki ekonomiczne (o politycznych się nie mówi, bo te były uprzywilejowaną bronią Popsujów) wzmogły się i wybuchały co chwila po całej Rzeczypospolitej Cudeńskiej z żywiolową siłą. Ledwie zdążono uwzględnić jedne żądania, gdy inne już napływały. Zaledwie przyznano jedne podwyżki, znów o tyle wzrosła drożyzna, że wnet musiano nowe wypłacać robotnikom dodatki, aby uniknąć nowego bezrobocia.

Z takiego stanu rzeczy cieszyli się paskarze, spekulanci, czarnogiełdziści i inne hjeny społeczne. Cieszył się wraz z nimi i Weidecki, bo — uruchomiwszy wszystkie swoje maszyny, — nie mógł nadażyć zapotrzebowaniom na banknoty państwowe, za które kazał sobie płacić rządowi ile sam chciał, a ceny stawiał coraz wyższe i wyższe. No, bo jakże? — Produkcja coraz drożej kosztuje, i kurs bonów stale się obniża. A czem wreszcie rząd płaci? Złotem, srebrem, czy produktami codziennej potrzeby, których drożyzna z każdym dniem wzrasta? — Bynajmniej! Temi samemi bonami płacono Weideckiemu, które on i jego robotnicy wyprodukowali.

Coraz drożej kosztowało rząd cudeński wyprodu-

łowanie swoich banknotów, bo różne pasożyty i miszuresy, które jeszcze za okupantów obległy finansową gospodarkę w państwowym banku cudeńskim, umiały usprawiedliwić niepomierne, zda się, żądania fabrykanta bonów, pana Weideckiego. Wiadomo: „ręka rękę myje“. Weidecki — szajgecom - pasożytom, pasożyty — bankowi, bank państwa — ministerjum skarbu, ministerjum rządowi, rząd Weideckiemu i tak wkoło jedni drugim wygodę czynili.

A rząd potrzebował tych bonów papierowych coraz więcej i więcej. Niepomierne rosły wydatki na organizację administracji, na wojsko, na przeróżne subsydia partyjno -polityczne, a wreszcie — na różne eksperymenta, wyprawy wojenne i klęski, za które trzeba było nie tylko ofiarę z krwi cudeńskich żołnierzy - bohaterów ponosić, ale i gotowym groszem płacić, płacić, wciąż płacić.

W banku cudeńskim chroniczny brak bonów się odczuwał. Weidecki zaś już nie mógł zapotrzebowaniom podołać. Skarbowe szajgecy umyśliły dopomódz w tej ciężkiej trosce rządowi i aż w zagranicznej stolicy jednego z niedawnych okupantów zamówiły gotowe bony. Nic to, że dzięki tej delikatnej tranzakcji pomysłowi urzędnicy skarbu państwa, do krajowych cudzoziemców się zaliczający, otworzyli szerokim koryterem ujście dla odpływu waluty cudeńskiej zagranicę. Nic to, bo dla siebie i różnych innych Popsujów stworzyli poważne źródło dochodów pobocznych. Wiadomo: pecunia non olet.

Nowe spadki kursu bona cudeńskiego giełda notować zaczęła, nowa drożyzna się wzmagala, nowe straj-

ki w Cudnie i Ziemi Cudeńskiej wybuchały, a skarb państwa, ciągle nienasycony, coraz bardziej brnął w długi miliardowe.

Wojna przytem trwała rujnująca. Jedna wewnętrzna, gospodarcza — w kraju, druga — ościenna, niemal na włosku wciąż wisiała na wszystkich frontach Ziemi Cudeńskiej.

Rząd w Cudnie posiadał był w spadku po okupantach kilka zakładów drukarskich. Te jednak nie były odpowiednio urządzone do produkowania pieniędzy, a jeno zaopatrywały instytucje rządowe w niezbędne druki buchalteryjne i wydawnictwa. Walory zaś państwowe, jak: różne obligacje, pożyczki, druki skarbowe, a także banderole monopolowe rząd cudeński produkował w różnych prywatnych zakładach graficznych, uważając słusznie, że najdrożej zapłacony tego rodzaju druk, posiadał w rękach rządu znacznie większą wartość, a dzięki temu zawsze się opłacał.

To samo dało się zauważyć przy produkowaniu banknotów w zakładach Weideckiego. Taką samą równie z kalkulacją kierowano się przy zamawianiu banknotów zagranicą, — dopóki kurs bonów nie spadł tak nisko, że koszt ich wykonania poza granicami kraju wzrósł ponad giełdową wartość tych banknotów cudeńskich.

Między innemi rząd posiadał zakłady menniczne, produkujące wszelkie walory skarbowe z wyjątkiem banknotów bonowych. Napróżno zarząd tych zakładów, na czele których stali tacy, co się za Robów mieli, już zdawną zagranicą wykwalifikowani w sztuce produkowania banknotów, czynili zabiegi drukowania wszyst-

kich walorów skarbowych w zakładach menniczych. Długi czas Popsuje, którzy opanowali bank państwa i ministerjum skarbu, bronili przywileju oddanego Weidekiemu, dzięki czemu Mennicy państwowej rozwijać się nie dawano.

Tak stały sprawy mennicze w Rzeczypospolitej Cudeńskiej w chwili rozpoczęcia naszej opowieści.

I.

W jednej z podrzędniejszych restauracji, popularnie zwanej „u Małgosi“, w sobotę wieczorem zgromadzi się pracownicy Mennicy na zwykłą libację powyplatową.

Już to leżało zawsze w tradycjach robotniczych zarówno w Cudnie, jak i wszędzie na całej kuli ziemskiej, aby sobotni dzień uświęcić kieliszkiem.

Święcono więc przykładowo. Cała knajpa pełna była gości. Wrzało w niej coraz większym gwarem, a z kłębów dymu tytoniowego zrywała się coraz częściej zachrypla przyśpiewka, często głośny pijany pokrzyk wybuchał, albo twarde jak pięść przekleństwo wypadało i rozwiewało się w dymnej atmosferze knajpy, o ile nie było wnet podchwyczone i z nawiązką odbite.

Wrzało „u Małgosi“ jak zwykle, przy sobocie.

Pracownicy Mennicy zamknęli się w ostatnim pokoju, w t. zw. szumnie „gabiniecie“ i sami sobie godność świadczyli, spożywając dary Boże i monopolowe, a przeplatając je rozmową, niby swobodną, a jednak brzemienneą w troskę i ból ukrywany. Poruszano coraz to inne tematy oderwane, a zgodnie przeżuwano jedną

myśl, dręczącą wszystkich towarzyszy pracy: sprawę znienawidzonego majstra Mundraka.

W miarę podniecania się umysłów przyczajona do skoku drażliwa sprawa przybierała w słowach formy coraz konkretniejsze. Zrazu powściągliwie, lecz coraz wyraźniej ta myśl, dręcząca współbiedników, ubierać się poczęła w aluzję coraz bardziej dwuznaczne, coraz wyraźniejsze, jakby mające na celu wzajemne prowokowanie się do wywołania gnębiącej wszystkich sprawy na porządek dzienny.

— Słyszysz, Franiu! — odezwał się wreszcie nłby wyłącznie do przyjaciela, siedzącego przy drugim końcu stołu, jeden ze spółbiedników. — Antoś powiada, że znów Mađral od jego nakładaczki, wycygał dzisiaj spirytus...

Znienawidzone przezwisko Alfonsa Mundraka w uragliwej, a przyjętej ogólnie trawestacji jego nazwiska, padło między zebranych. Wszystkie oczy skierowały się na mówiącego, następnie przeniosły się na spółtowarzysza pracy, Antoniego Flakiewicza, i spoczęły pytająco na jego ustach.

Zainterpelowany Franciszek Turkowski, widząc, że bez narażania się może przyśpieszyć požądane przez wszystkich omówienie sprawy Mundraka, zainterpelował Flakiewicza:

— Jakże to było, Antoś?

Flakiewicz z wolna powiódł oczami po wszystkich obecnych kolegach i, jakby podejrzewając, że wś. od tego grona majster Mundrak może mieć swoich adherentów, odezwał się wymijająco:

— A, no — podobno... Tak mi mówiła nakładaczka z mojej maszyny, Stefcia.

— Co ci mówiła „Czarna Stefka“, powiedz!

— Mówiła, że Małdrał kazał jej oddać sobie butelkę spirytusu, jaki wszyscy otrzymaliśmy w deputacie...

— Toż to zwyczajna rzecz! — zauważył Bogatek Feliks z całą pewnością siebie.

— Ale!... I cukier zabiera wszystkim nowoprzyjętym — ktoś zauważył.

— Albo i coś słodsze, niż cukier! — dwuznacznie dorzucił wesół na obliczu Dąbkowski Janek.

— Panowie!... Co tu dużo gadać! — przerwał Józef Mańczak, dzielny w swoim zawodzie maszynista, a zdeklarowany przeciwnik Mundraka. — Wszyscy o tem wiemy, bo dziewczęta płaczą i narzekają... Wiadomo, że każda nowa kandydatka musi się opłacić jeśli nie przed, to — po otrzymaniu posady... Od jednej bierze w naturze spirytus lub cukier, od innej — coś słodsze...

— Hycel z pod ciemnej gwiazdy! — syknął stary Józwiak Stanisław.

— Musi, powiada, wprzódy wypróbować towar, nim go Żbikowskiemu dostarczy, — dodał śmiało, bo już dobrze podpity, Jakób Kielbasiński.

Niektórzy z obecnych zerknęli oczami ku tym kolegom, którzy do wiązanki oskarżeń przeciw Mundrakowi nie dorzucili dotychczas ani słówka, milczac dyplomatycznie. Nie wiedziano, co o nich sądzić. Są li to zausznicy Mundraka, czy też — ludzie, nieposiadający odwagi cywilnej, biernie myślący, a spożywający zwykłe kasztany, cudzemi rękoma z pieca wyjęte. Tak, czy owak, — obawiano się za dużo powłedzieć, bo tacy towarzysze byli zawsze prawie elementem niepewnym,

chorągiewkowym, za podmuchem silniejszego wiatru idącym na oślep.

Na takich polegać nie można było. Należało najprzód ostrożnie ich wysądować. Mundrak bowiem miał poparcie nie tylko u dyrektora Żbikowskiego, ale i samemu prezesowi zarządu umiał tak oczy swoją erudycją i pewnością siebie zamydlić, że robił w Mennicy, we wszystkich pawilonach drukarskich, co chciał i jak chciał.

Chwilową ciszę, jaka po pijanem wyznaniu Kiełbasińskiego zaległa wokoło stołu, przerwał odważnie Pańkowski Józef, który, przestawiając z mocnym stukiem butelkę przed sobą, odezwał się twardo i ponuro:

— Prawdę powiedział Kiełbasiński!... Franek Turkowski na własne uszy słyszał, jak Mądral rozmawiał o takiej sprawie ze Żbikowskim!... Powiedz Franek jak to było, powiedz! Niech wszyscy wiedzą co to za drań ten nasz wszechwładny „majster“.

Turkowski się wahał. Oczy w szklance czarnej kawy utopił i bębnił po niej palcami.

— Dla dobra nas wszystkich, powiedz pan! — zachęcał go jeden z milczących dotychczas kolegów. — Łajdactwa nie trza ukrywać...

— Jeśli tak, to powiem, — rzekł wreszcie Turkowski, — bo to już rzeczywiście: łajdacka rzecz!... Oto siedzę ja sobie kiedyś w „dwóch zerach“, gdy wtem słyszę, że ktoś wszedł, trzasnąwszy drzwiami i skierował się do tej sąsiedniej ubikacji... z korytkiem, do której wszedł już ktoś przed chwilą. Słyszę. — rozmawiają, ale nie przysłuchuję się, choć odróżniam głos Mundraka, czyli naszego Mądrala... Nie lubię

podsluchiwać, bo niczym zausznikiem nigdy nie byłem i nie będę...

W tem miejscu Turkowski powiódł okiem po zgromadzonych kolegach i ciągnął dalej:

— Ale, gdy usłyszałem drugi głos i poznałem po nim Żbikowskiego, przyznam się, że zacząłem nasłuchiwać o czem dyrektor może w takim miejscu rozprawić z majstrem półgłosem. Siedząc cicho, dosłyszałem tylko tyle: — „A może wołałbyś dyrektor tę pulchną, brunetkę, nakładaczkę z IV oddziału?“ — pyta Mundrak. — „Wolę tamtą, blondynkę“. — „To może obie przyprowadzę? Tamtą fajną dziewczuszką, wypróbowaną...“ — „To kiedyindziej. Dzisiaj tę wysmukłą blondynę mi sprowadź... Nie lubię — mówi dyrektor — z dwiema naraz knajpować, a z jedną zostać... Plotki tylko z tego powstają...“ — „Dobra!“ — odpowiedział Mądral, a Żbikowski dodał, wychodząc: „Punktualnie o ósmej będę w tym gabinecie, co to wiesz, u Hipolita“ „Zrobione, panie dyrektorze!“ — odparł Mundrak niby oficjalnie, bo ktoś trzeci wszedł do ubikacji...

— To oni aż „na ty“ są ze sobą — wtrącił półgłosem Bogatek.

— Widocznie, skoro Turkowski tak powiedział, zapewnił go sąsiad przy stole. — A Franek nigdy nie świci...

— Poczekawszy aż wszyscy powychodzą — kończył rewelacje Turkowski. — i ja się stamtąd wysunąłem, nie śmiąc bez jakiegoś wstydu patrzeć przez dłuższy czas na Żbikowskiego i nie mogąc spojrzeć bez odrazy na Mundraka, z którym w tak haniebnym sposobie

pospolituje się nasz derektor, taki niiby — jenteligent...

— Nie powiedziałem, że hycel z pod ciemnej gwłazdy! — zauważył stary Józwiak. — Oba huncwoty!

— Cichaj stary! — zgromił go Stanisław Gagatek, sam starszy już wiekiem, ojciec licznej rodziny. — Chciecie, żeby wasz z dzieciami na bruk wyleli?

— Za co mają wylać?... Za to, że prawdę gadam?

— A, jakbyście wiedzieli: za prawdę wyleją wasz za bramę i szlus. Dwutygodniówkę dadzą wam na odprawę i szukaj se, bracie, po innych budach prewatnych takiej letkiej pracy i fajerantów takich, jak u nasz. A wnet zima przyńdzie, to i zęby dziecińskie na półkie położycie... Nie bójcie się; znam ja to, znam!

— Ma rację ojciec Stanisław — odezwał się Flakiewicz. — Tu wymyślanie nie pomoże!.. Całkiem o co innego się rozchodzi... Już nam się przejadły takie rządy sobiepańskie tego z kurjerka wyciętego syna, naszego majstra!..

— Wielki mi „majster“!... Knociarz, co ino gazety drukował — wydziwiał jeden z towarzyszy.

— A i to wyliwali go z każdej budy!...

— Tak ci oni i „majster“!...

— I po mordzie mu kładli — ktoś dorzucił.

— A, bo nie?! — wtrącił Dąbkowski, silnie rozwinęty w barkach mechanik. — Ten złoty ząb w gębie Mađrała, to — moja przecież robota!... — Jakem skuczysyna raz jeden i to tylko delikatnie zasmarował, to się krwią zalał i rodzinny ząb wypluł za drzwiami...

Drałował wtedy psia jego mać ode mnie
ile tylko miał pary w giczalach...

— Kiedy to było, dawno?

— To było już ze trzy lata, w tamtej budzie, jeszcze za okupantów... Wyleli go później na pysk za złodziejstwo: papier, kańciarz, wynosił pod paltem, a często i materiał, i kliny i co się dało...

— Słyszeliście? — ktoś wtrącił.

— ...A jak do nas nastał — ciągnął Dąbkowski ciekawe rewelacje o obecnym majstrze, — to ci zaraz mój niby przyjaciel... Idź, ty chałuju, — mówię do niego, — tobie nic do mnie, a mnie do ciebie!... Cheba, że chcesz się więcej złotych zębów dorobić... A nie, to siedź sobie — mówię — przy maszynie spokojnie i ju!... Rób swoje, skoro cię przyjęła Mennica państwowa i waruj!... Ja tobie, kańciarzu, ani brat, ani swat!... Zrugalem psiakrew i odwróciłem się do niego zadkiem... Takie było moje powitanie z Mundrakiem, gdy nastał do naszej budy.

— A on co?

— A, no — nic! Robił na maszynę i, jak zawsze, knocił. Ale, że dostała mu się jakaś zwyczajna robota, bo banderolki zapalkowe, to jechał na całego i podlizywał się, psia jego mać, wszystkim po kolei, u kogo tylko czuł władzę, a przede wszystkim u dyrektora i prezesa. Jak prezes obchodził fabrykę, a zaczynał od naszego pawilonu, to już Mundrak tańczy koło starego i przyświadcza mu, i kaździ i udaje mądrego, obchodząc z nim wszystkie maszyny na sali... Chytry był, draniarz jeden!... I przez to wysadził się na majstra.

— A jak to było? — Opowiedz no, Dąbek!

— Kaźcie no jeszcze dać kawy gorącej. W gębie mi zaschło i chryпки dostałem — odparł Dąbkowski, nalewając sobie kieliszek benedyktynu.

— Jak to było?... Oni pamiętają jak to było — zapewnił, zwróciwszy się głową w stronę dawniejszych towarzyszy pracy w Mennicy.

— No, opowiedz Jasiu, jak to było. Niech wszyscy, wiedzą jakiego to mamy „mistrza“.

— A, no — pewnego razu przyszedł do nas na salę zara po obiedzie stary prezes, razem z d e r e k t o r e m i nadkontrolerem. Mundrak zaraz do nich podleciał i łąził za nimi po wszystkich maszynach po kolei, wściągając, gdzie się dało swoje trzy grosze. Przy mojej maszynie nic nie miał do gadania, bo się mnie zawsze boi... Jenó przekładał prezesowi na swój sposób, że to niby klisze t r z a zmieniać często, bo się zbijają. że lepiej byłoby klisze robić miedziane, albo te cynkowe miedziować, toby na dłużej starczyły i nie byłoby mitręgi w robocie przy częstem narządzaniu... Amerykę niby odkrył!.. Prezes kiwa grzecznie głową: „A tak, a tak! — potakuje.—Dobrze pan mówi, panie Mundrak... Ale, widzi kochany pan, w całej Ziemi Cudeńskiej niema blachy miedzianej, a o sprowadzeniu jej z zagranicy mowy być nie może, przynajmniej na razie... Ma pan jednak słuszną rację. Tak, tak! bardzo rozumnie pan dowodzi i bardzo praktycznie, bardzo!..“ Stary, swoim zwyczajem poklepał naszego Mądrala po ramieniu, a temu aż skry ze ślepiów strzeliły z uciechy...

— Owa, wielką mądrość wykazał — przerwał

stary Józwiak. — To ci dopiru!... Wszyscy wiedzą, że cynkowa klisza słabsza jest od miedzianej...

— A stalowa najwytrzymalsza! — dodał ktoś inny.

— Nie o to idzie, cichajcie panowie!

Dąbkowski ciągnął dalej:

— A, chcąc wobec prezesa podkądzić Żbikowskiemu dodał, psia jego mać, niby skromnie: „My już z panem d e r e k t o r e m obmyślamy, jakby to zrobić aby klisze na dłużej starczyły“...

— Podkładać trza umieć delikatnie na cylindrze, a zbijać się nie będą — wtrącił ktoś z boku.

— Wiadomo! Idź dzieci uczyć, jak się klisze r y c h t u j e...

— No, i co? No, i co? — dopytywano.

— Prezes z d e r e k t o r e m przeszli do innego oddziału, a Mundrak wymknął się za nimi, zostawiając swoją maszynę na opiece tej rudej Mańki, nakładaczki... Moja maszyna stała. Narządzałem na niej k l i s z e pod te obligacje krótkoterminowe. Potrzebny mi był młotek i gwoźdźki, które pożyczyłem ojcu Gagatkowi. P o s z ł e m więc do niego, do III pawilonu, gdy akurat trafiłem na awanturę. Wtedy na Mühlowskiej Nr. 2 robił ten, jak go tam?... Studziński, co go w y l a l i... Otóż nakładacz Studzińskiego, bardzo porządny chłopak, kończył już ryżę, a zaczynał drugą i nie zauważył, bo nie m ó g ł zauważyć, że do spodniego arkusza przylepiona była pestka... To te liczarzki, cholera, tak urządzają, bo przy robocie ciągle coś przegryzają... Nakładacz, nic nie podejrzewając, spuszcza arkusz z blatu, a pestka spada na kliszę i gniecie ją pod cylindrem... Akurat pre-

zes ze swoją świtą podszedł wówczas do maszyny... Trach!... Stop — stop!... Awantura z konfiturą!... Przy odbieraniu — na arkuszu rozgniecioną pestka, na drugim — plama... Skandal!... Prezes ogląda zepsute arkusze i przechodząc na tył maszyny obejrzeć zepsutą kliszę, nic nie mówi, tylko z gniewu jak rak zaczerwie- niał. Żbikowski z podębta patrzy na nakładacza i klnie na Studzińskiego, bo — trzeba trafu, temu z kieszeni wyglądała torebka ze śliwkami... A Mundrak, który miał złość do Studzińskiego, bo to nie z jego pułku był człowiek, woła na całą parę: „Panieś winien! pan jadłeś śliwki przy robocie!“... Akurat ja na to we- szłem, przystanąłem z boku i słucham o co chodzi... Taka mię złość wzięna na tego psubrata Mądrala, — bo przecież Studziński nie mógł z ziemi pluć pestkami na blat maszyny o trzy łokcie w górę, gdyby nawet jadł śliwki, — że odzywam się niby do siebie: „Te liczarki zawsze jedzeniem wszędzie paskudzą“... A Mundrak, psia jego mać, do mnie z pyskiem: „Co to pan od swojej maszyny odchodzi? Jakiem prawem?“ — Uważacie panowie? — Chciałem mu zwrócić uwagę, że to on nie- prawnie swoją maszynę opuszcza, a ja przecież mogę odejść, bo moja stoi... A ten pieski syn, nie da mi gęby otworzyć, tylko jak ekonom, albo innszy dowódca: „Jazda do swojej maszyny!“... W oczach mi pociemnia- ło ze złości! W trampie tę chciałem go, drania- rza, zamałować, ale w ten moment odwrócił się Żbi- kowski i jak nie ryknę na mnie: „Co to znowu za por- ządki?! Co to za spacerowanie po innych pawilonach? Kto panu pozwolił wychodzić ze swego oddziału?“ Tak wsiadł na mnie, jak na garbatego!... Chciałem się uspra-

wiedliwić, że niby po młotek i gwoźdźki przyszedłem, co przecież była prawda, ale gdzie tam! „Na miejsce!” — krzyknął na mnie Żbikowski, jak na konia... Co miałem robić? Wróciłem do swego oddziału, a po młotek posłałem chłopaka...

Przerwał swoje rewelacje Dąbkowski, bo w gardle do cna mu zaschło. Sięgnął po butelkę wina czerwonego i wypił duszkiem całą szklaneczkę.

— To ci checa!...

— A. to — bydlę — rzucono tymczasem uwagi.

— No, no?... I co dalej?...

Dąbkowski pociągnął jeszcze kawy, opróżnił kieliszek likieru i ciągnął dalej:

— Tego samego dnia Słudziński i jego nakładacz dostali szpicem w szynkę, a nazajutrz przyjęty został nowy maszynista, protegowany przez Mundraka, a do nakładania postawiono odbieraczkę, tę Józję Milczarkównę...

— Za tę pretekcję Mundrak wziął pewno łapówkę — rzucił z boku Kielbasiński.

— A wziął, napewno wziął! — mruknął Bogatek z drugiego końca stołu. — Czterotygodniowy zarobek, bez pofajerantów...

— To jego rzecz i tych, co dali! — zaopiniował ktoś niechętnie. — Jak się chodzi bez kondycji, to warto dać procent za wyrobienie dobrej posady..

— Wiedomo! Ale — świństwo!... Robociarz bierze łapówki od robociarza... Nigdy tego nie bywało...

— A bo to on jeden taki w naszej Mennicy?... A Orylski z warsztatów lepszy?...

— Cichajcie, panowie! Dąbek, co było da-

lej? — dopytywał ciekawie Mańczak. — To wtedy Mańdrał na majstra się wy kierował?

— A wtedy!... We dwa dni potem jeszcze jednego maszynistę przyjęli, Mundrak postawił go przy swojej maszynie, a sam, psia jego mać, niby to majster się zrobił i zaczął chodzić po wszystkich pawilonach drukarskich i po kolei dopiekać tym, co go przedtem za psi ogon nie mieli... Nikomu dobrego słowa, jak wiecie, nie powi, bo albo wymyśla od ostatnich, jak andrus jaki, albo głupiemy żartamy dogryza do żywego, a stara się zawsze mądrzyć, szczególnie w obecności prezesa albo d e r e k t o r a... Co to zresztą gadać? Wszyscy dobrze wiecie, jaki on jest ten nasz „majster“.

— Przeciwnie, jest o czym gadać! — zawołał Turkowski. — Właśnie, że jest o czym gadać... I o tem właśnie musimy pomówić!... Cóż to? Byle kanalja przewodzić nad nami będzie? Byle kańciarz i taki, za przeproszeniem skurczysyn, jak go nam odmałował Dąbek?... Niedość, że Mundrak robotnikom zwyczajnym o bele co urąga od ostatnich, ale i nam, pracownikom - maszynistom, ordynarnemi słowami wymyśla, a jak którą z dziewczyn macierzystemi wyrazami obsztorcuje, to nie wiedzą, gdzie oczy schować... Nawet te, z którymi go bliższe łączą stosunki...

— Tak dłużej być nie może! — krzyknął jeden z kolegów.

— Tak jest! — podjął Turkowski. — Dłużej tego tolerować nie możemy!...

— Nie możemy, nie możemy! — powtórzyło kilka głosów.

— Mineli już te czasy — ciągnął mówca — kiedy wogóle robotnika traktowano jak wołu roboczego!... Mineli te czasy kiedy nami wrogowie rządzi-
li!... Dziś, dzięki Bogu, inne czasy nastali i rząd
mamy swój własny cudeński ludowy!... I w parlamen-
cie i na fotelach ministerjalnych kto głównie się rozsia-
duje? No kto?... Przecież — nasz człowiek, nasz brat:
albo robociarz, albo chłop, — albo cepepowiec, albo lu-
dowiec, — albo taki wogóle, co broni naszych spraw
robociarskich.

— Dobrze gada!...

— Różnij, Franiu, dalej!...

Turkowski podstawił szklaneczkę i, myśląc coby
dalej mówić, odtrącił ręką butelkę z winem czerwonym,
z której chciano mu nalać i wskazał zamglonemi oczami
na peperment. Nalano mu likieru, a siedzący obok nie-
go Bogatek zapytał półgłosem:

— Może kazać podać lodu?

Turkowski skłinał głową, upił ze szklaneczki i cią-
gnął dalej:

— Mineli te czasy, kiedy żyły z nas wyciągał
burżuj, a mieliby nastać takie czasy, gdy krowopij-
cą naszym ma być proletariusz?! Czyż my pozwolimy
na to, panowie?...

— Nie pozwolimy!... Ma się wiedzieć, że nie mo-
żemy pozwolić! — huknęły różne głosy.

— Czyż mamy pozwolić, aby nasz taki sam,
jak my, proletariusz espo... eksplo... esplo., atował?,,

Język nieco podwinął się mówcy, który jednak,
nie tracąc fantazji, chciał ciągnąć dalej a, dostatecznie

rozgrzani spółtowarzysze pracy, jeśli wykrzykiwać jeden przez drugiego:

— Nie pozwolimy!

— W taczki psubrata i za bramę!...

— W worek go i do kanału!...

— Kanalja, ścierwo jedno!...

— Drapjchrust, kańciarz!...

— Krowopijca, psia jego mać!...

— Cichajcie, panowie, cichajcie!... Niech jeden gada!...

— Cichajcie! Gadaj Turkowski...

— Mineli te czasy — dodał Turkowski do swej przemowy. — Już dawno mineli. Tera nasze na wierzchu i musi być na wierzchu!...

— Musi być na wierzchu! — podjęto chóralnie, wypito zgodnie i napełniono solidarnie opróżnione kieliszki i szklaneczki.

— Radźcie więc, panowie, co zrobić, aby nasze było na wierzchu! — krzyknął Kiełbasiński.

— Aby Mundraka się pozbyć! — dodał inny. — Co na łapówkach i na pofajerantach majątku się dorobił!...

— Raz na zawsze, panowie, trzeba z tym draniem skończyć!...

— Radźmy więc, radźmy! — wołano.

Gdy nieco się uciszyło, zerwał się z miejsca Pańkowski Józef i zauważył:

— Na wstępie do obrad muszę zaznaczyć, że twar-
dy orzech mamy do zgryzienia, bo Mundrak ma za sobą silne plecy dyrektora, z którym razem broił... Ten go będzie i bronił...

— Nie obroni!... Żadna siła nie obroni tego łajdusa, jeśli solidarnie coś uchwalimy!...

— A więc radźmy co solidarnie uchwalić!

— Radźmy, radźmy!...

Radzono do późnej nocy, bo gdy knajpę o zwykłej godzinie, przepisanej przez policję, zamknięto od frontu, pożądanym gościom, jakimi byli pracownicy Mennicy, zostawiono do dyspozycji tylne wyjście od podwórza.

II.

Prezesem Cudeńskiej Mennicy Państwowej i jej twórcą był Fortunat Stanisław Odrowąż-Podborski, mąż jeszcze w sile wieku, aczkolwiek starożytny rzymianin powiedziałby o nim raczej „senex“, a już nie „vir“.

Był to mężczyzna postawny, barczysty, choć ciężarem życia nieco już pochylony, o twarzy pięknej, sarmackiej, ogorzalej i — wbrew panującej modzie kurtyzowania koniom ogonów, a mężczyznom wąsów, — nosił piękny, choć całkiem już siwy zarost w kształcie długiej brody, rozdwojonej u dołu.

Prezes Podborski był właścicielem dziedzicznego majątku Podbory, doszczętnie zrujnowanego podczas długotrwałej wojny, skąd pan Podborski nie zdążył nie uwieść, prócz młodej jeszcze żony, pani Eufemji i kilku jej kostjumów. Reszta dobytku padła pastwą żagwi

wojennej lub w końcu stała się łupem dziczy mongolsko-bolszewickiej, która dokonała dzieła zniszczenia na dużej przestrzeni Ziemi Cudeńskiej.

Znalazłszy się na bruku stołecznego miasta Cudna, pan Podborski zetknął się przypadkiem z dawnym swoim podwładnym, Konradem Żbikowskim, z którym przed wojną pracował w mennicy zagranicznej, gdzie im obu powodziło się wcale nieźle.

Prawdę mówiąc, nie tylko przypadek grał rolę w zejściu się na bruku cudeńskim Żbikowskiego z Podborskim. Przysłowie ludowe utrzymuje, że „gdzie djabeł nie może, tam baba pośle“. Tym razem Licho przekorne wydelegowało ładną fertyczną balzakowską kobietkę o zwinnych ruchach a oczach, płonących żarem i wsaadziło ją do tramwaju. Z za okien mknącego szybko ulicą cudeńską wagonu, dawna adeptka Terpsychory z corps—de—ballet'u zoczyła zdała pana Konrada, byłego pomocnika swego męża. Niezwłocznie więc udała się do biura adresowego, gdzie zdobyła adres Żbikowskiego. Tego samego dnia jeszcze, znalazłszy mieszkanie pana Konrada, pani Eufemja podczas dłuższej i wyczerpującej z nim konferencji uplanowała całą przyszłą akcję współpracy dla dobra Ojczyzny, poczem znalazła okazję „przypadkowego“ spotkania się swego męża z Konradem.

Tedy obadwaj panowie, jako byli zawodowi wytwórcy pieniędzy zagranicą, uchwalili zorganizować mennicę w kraju, a dla siebie stworzyć warsztat pracy i otworzyć szerokie pole do działania.

Niezwłocznie podjęto energiczne zabiegi.

Pomimo, że rząd cudeński sprzyjał w zasadzie

wszelkiego rodzaju eksperymentom politycznym i gospodarczym, dużo jednak trudów obaj pionierzy menniczni musieli włożyć w sprawę przekonania wadz państwowych o nieodzownej potrzebie powołania do życia swojej własnej, rządowej instytucji, produkującej pieniądze i walory państwowe.

Po długich wreszcie, a mozolnych staraniach, po złożeniu różnym władzom mnóstwa memorjałów, udowodniających jasno, jak na dłoni, niewątpliwe korzyści i wygodę dla skarbu państwa, udało się w końcu tym dzielnym i energicznym ludziom uzyskać odpowiednie zezwolenia, kredyty, otworzyć narazie w szczupłym zakresie zakład menniczny i stanąć na czele mającego olbrzymią przyszłość warsztatu państwowego.

Pan Podborski objął stanowisko prezesa zarządu Mennicy, Żbikowski do pewnego czasu pełnił przy nim obowiązki urzędnika do zleceń, a następnie — w miarę rozwoju i rozbudowy zakładów, — zajął stanowisko dyrektora technicznego.

Ci dwaj naczelni kierownicy dopełniali się wzajemnie. Żbikowski Podborskiego — młodością i temperamentem, Podborski Żbikowskiego — statecznością i odwagą. Obu zaś cechowała znajomość rzeczy i stanowczość zarządzeń i decyzji. Żbikowski ponad to posiadał wysoce rozwinięty, choć skromnie kryjący się spryt życiowy i dużą odwagę cywilną, z którą przebojem szedł naprzód.

Zarząd stanowili przeważnie Robowie, ludzie dobrych chęci i dobrej woli, choć nie brakowało między nimi i takich, których należałoby nazwać Popsujami, nie tyle dla ich przekonań politycznych czy społecznych,

ile dla zwyczaju psucia roboty, prowadzonej przez prezesa i dyrektora. Takich prędko umiano z drogi usuwać a aganżować na ich miejsce mniej - więcej statystów lub zwykłych zjadaczy chleba, a więc — pionków.

Drugim dyrektorem t. zw. handlowym był niejaki Chwytowski August, który będąc z zawodu handlowcem z branży towarów aptecznych, dostarczał był do zakładów, jako agent różnych firm kupieckich międzynarodowo - krajowych, przeróżne artykuły z różnych branż, bo czemuż to nie kupczyło się, mój Boże!, w tym ciężkim okresie odbudowy ojczyzny, byle ta ostatnia dobrze za wszystko płaciła.

Pan August był człowiekiem giętkim, wymownym i sprężystym, który umiał sobie prędko zjednać pana Żbikowskiego, a nawet i samego pana prezesa. To też po dostarczeniu ostatniej partji szarego mydła, udało się jakoś Chwytowskiemu wsunąć „na posadę“ do Mennicy, gdzie wkrótce, po umiejętnem zostosowaniu podstawienia nogi, pan August, przy poparciu Żbikowskiego, zajął stanowisko kierownika zakupów i pozyskał prawa drugiego dyrektora, wpisując się z punktu na trzeciego do triumviratu tych, co się za Robów mieli, a mianowicie: Podborski, Żbikowski i Chwytowski.

Absolutne rządy wewnętrzne tej trójcy paraliżowała jedynie kontrola, która była oddzielnym wydziałem zarządu Mennicy, zależnym jednak wyłącznie tylko od prezesa.

Nadkontroler Mennicy, Kajetan Bykowski, przy pomocy wielkiej liczby kontrolerów, kontrolerek, podkontrolerów i podkontrolerek i t. zw. „liczarek“, chcąc możliwie głębiej sięgnąć i swe atrybucje rozszerzyć,

uzurpował sobie i te, co w jego kompetencje nie wchodziły. Kontrola, nie zadowolając się zakresem swej działalności, który ograniczał ją tylko do sprawdzania ilości wyprodukowanych walorów państwowych, usiłowała stale wtrącać się i do jakości produkcji, co wchodziło wyłącznie w zakres czynności dyrektora technicznego, lub też pragnęła wnikać w sprawy zakupów maszyn i materiałów, co znów leżało w atrybucji dyrektora handlowego.

Stąd zrodził się antagonizm obu stron: administracji, t. j. tych, co się uważali za Robów i kontrolerów, uważanych przez tamtych za nałogowych Popsujów. Stąd wynikały ciągle scysje, nieporozumienia, zatargi, osobiste wycieczki, a nawet — awantury, łagodzone i zacierane dyplomatycznie przez prezesa Podborskiego.

W poniedziałek przed południem do budynku, w którym rezydował zarząd Mennicy, wpadł niezwykle podniecony dyrektor Żbikowski i, mijając wartownika, zapytał w przelocie:

— Pan prezes w gabinecie?

— Tak jest, panie dyrektorze! — odparł służbowo wartownik, prężąc się na baczność.

Żbikowski szybkim krokiem przeszedł korytarz i, nie meldując się przez siedzącego w poczekalni urzędnika, skierował się wprost ku drzwiom gabinetu prezesa. Dowiedziawszy się od wyprostowanego tuż obok woznego, że prezes jest sam, zastukał w drzwi i wszedł do gabinetu.

— Co pana sprowadza, panie Konradzie? -- zapy-

tał Podborski, wyjmując olbrzymie, jak marchew, cygaro, które trzymał w ustach.

— Ważna bardzo sprawa, panie prezesie...

— O, widzę malujące się na pańskiej twarzy wzburzenie... Czy znowu z kontrolą jaka scysja wynikła?

— Tym razem o co innego chodzi, panie prezesie...

— No, no!... Niech pan siada, kochany panie Konradzie... Proszę papieros zapalić i spokojnie powiedzieć co panu dolega.

Siląc się na równowagę, Żbikowski rzekł krótko:

— Bunt mamy w Mennicy!...

— Prezes aż się uniósł w fotelu i, odłożywszy na bok cygaro, zapytał zdetonowany:

— Bunt? Jaki bunt?

— Robotniczy, panie prezesie...

— Strajk?

— Jeszcze nie...

— Więc co się dzieje? Powiedz pan!

Żbikowski począł zdawać szczegółową relację z sobotnich obrad, prowadzonych przez maszynistów podczas obfitej libacji w restauracji, gdzie uchwalono usunąć z Mennicy majstra Mundraka i uprzedził, że lada chwila mają się zgłosić do prezesa liczna delegacja.

Uchwała taka, jak twierdził Żbikowski, mogła zapasć tylko po pijanemu, bo przecież nie jest do pomyślenia, aby usuwać z Mennicy najzdolniejszego majstra, który wobec robotników ma ten jeden tylko grzech na sumieniu, że wymaga możliwie doskonałej roboty, a ten tylko zarzut mogą mu postawić, że się nie bardzo salowo wyraża... Inne zaś jakoby przestępstwa, przypię-

sywane majstrowi Mundrakowi, niczem nie są stwierdzone, ani udowodnione, gdyż ani jedna skarga ze strony pseudo - pokrzywdzonych ani do zarządu, ani do dyrekcji nie wpłynęła...

— A zresztą, — kończył Żbikowski — zostawiam całą tę sprawę do uznania pana prezesa, boć przecież pan prezes rządzi Mennicą, a nie — robotnicy...

— A to dobre sobie! Rozumie się, że ja tu rządę!... Już ja tam z nimi odpowiednio pomówię.

— Jeszcze jedno, panie prezesie... Inna rzecz, że pan Mundrak może jest zbyt wymagający, bo to człowiek starego r e g i m e ' u... Mogę mu udzielić poufnie admonicji... Ale fantastyczne żądanie malkontentów-robotników, którzy chcieliby usunąć tak pożytecznego majstra, jakim jest znany w całym Cudnie, pan Alfons Mundrak, uważam za grube..., za grubyy...

— Nonsens, panie Konradzie, gruby nonsens! Rozumie się... Niema nawet o czem dyskutować...

W pół godziny po konferencji Żbikowskiego z prezesem, do poczekalni weszło siedmiu maszynistów, ubranych w bluzy robotnicze i zatrzymało się w zwartej grupie opodal drzwi gabinetu.

Jeden z najinteligentniejszych maszynistów, Pańkowski Józef, wyforowany przez kolegów na głównego rozmówcę, podszedł do stołu urzędnika dyżurnego, zawiadamiając go o nadeszłej do prezesa delegacji.

— Nie wiem, czy pan prezes będzie mógł w tej chwili przyjąć panów, gdyż jest bardzo zajęty.

— Nie bój się pan, — przyjmie — zapewnił Pańkowski, — tylko niech pan zechce nas zameldować.

— Doprawdy — odparł urzędnik, podnosząc się

z krzeselka, — nie wiem jak to będzie, bo tam jest sesja... Delegat z ministerjum, nadkontroler, skarbnik...

— Dobrze będzie! — rzekł Pańkowski z aplombem. — Tam delegat z ministerjum, a tu delegaci od warsztatów... Niech pan nie zwleka z meldowaniem, bo my czasu wiele nie mamy: nadchodzi pora obiadowa...

Urzędnik wstał, podszedł do drzwi, zatrzymał się przy nich i wreszcie pochylił się do dziurki od klucza. Spojrzawszy, wyprostował się, a, patrząc na grupę delegatów robotniczych, zaczął skrobać się po skroni z wyraźnym brakiem decyzji co ma robić.

Wówczas Pańkowski podsunął się ku drzwiom gabinetu i szepnął urzędnikowi na ucho:

— W Imię Ojca i Syna... Śmiało, lu!...

Urzędnik, jak podminowany, wpadł do gabinetu i drzwi przymknął za sobą.

Po chwili z pokoju prezesa wyszli kolejno członkowie przerwanej sesji, a za nimi urzędnik dyżurny, który wygłosił tonem oficjalnym:

— Pan prezes prosi panów delegatów...

Weszli.

Prezes Podborski stał przy biurku w pozie wyczekującej. Ujrawszy wchodzących robotników, wyciągnął wielkopańskim gestem swą prawicę, podszedł dwa kroki i ścisnął kolejno ręce delegatów, a jednocześnie zadzwonił na woźnego.

— Janie, proszę podać panom fotele...

Foteli dla wszystkich nie wystarczyło, śpiesznie dopełniono ich liczbę krzeselkami, przyniesionemi z biura zarządu.

— Czemuż zawdzięczam tak liczne odwiedziny

kochanych panów? — zapytał prezes z uśmiechem, rozdawając swą piękną brodę rękami.

— W ważnej przychodzimy sprawie, panie prezesie! — odparł Pańkowski, który zajął miejsce tuż przy biurku, opodal Poźborskiego.

— Oho!... W ważnej? — powtórzył prezes z odzieniem słodkiego powątpiewania. — A może papieroska panowie pozwolą? — dodał, częstując ze złotej papierosnicy.

Delegaci zapalili papierosy, poczem Pańkowski zabrał głos i potoczyście, a płynnie wypowiedział to, co czują robotnicy Mennicy, pozostający w jakiegokolwiek zależności od majstra Mundraka, który się wprost znęca nad wieloma, używając w ordynarnych wymysłach słów, wysoce nieprzyzwoitych, — który wyzyskuje materialnie i moralnie nowoprzyjętych pracowników i pracownic. — który pod każdym względem jest człowiekiem nieetycznym i do szpiku kości zdeprawowanym. W końcu delegat Pańkowski w imieniu całej delegacji, występującej z ramienia wszystkich pawilonów zakładu wystąpił z kategorycznym żądaniem wydalenia majstra Mundraka z Mennicy, jako funkcjonariusza, nie obdarzonego zaufaniem i szacunkiem swoich bezpośrednich spółtowarzyszy pracy, człowieka wysoce nieetycznego, pozbawionego ambicji, czci i wiary...

Prezes słuchał cierpliwie zażalenia delegacji, uśmiechając się zlekka i — jakby potakując poszczególnym zarzutom, stawianym Mundrakowi. Nie zmienił nawet jowialnego wyrazu twarzy, gdy Pańkowski wyraził w formie kategorycznej żądanie wydalenia znenawidzone-

o majstra, a gdy mówca delegatów skończył, Podborski odezwał się w te słowa:

— Niezmiernie jestem zmartwiony przykrym objawem niesolidarności koleżeńskiej, jakiej dopatruję w tem wystąpieniu kochanych panów.

— Jąko: niesolidarności, panie prezesie? — wtrącił Pańkowski.

— Przepraszam bardzo!... Ja kochanemu panu nie przeszkadzałem podczas jego przemówienia... Zechciej pan przeto łaskawie i mnie pozwolić odpowiedzieć, proszę pana o to uprzejmie...

Pańkowski zasiadł głębiej w fotelu, a prezes ciągnął pompatycznie:

— Powiedziałem: niesolidarności! Bo czyż może być coś przykrzejszego nad skargę robotnika — na robotnika, jednego towarzysza na drugiego towarzysza?... I to wówczas, gdy nareszcie po tak długich wiekach, po tak obficie przelanej krwi robotniczej za sprawy robotnicze, dobiliście się panowie jakiego takiego bytu i stanowiska socjalnego, — dziś oto wszczynacie ze sobą jakieś swary, waśnie, — jakieś zatargi sami ze sobą prowadzicie... Boć przecież zarówno panowie, jak i pan Mundrak, jesteście tymi samymi pracownikami, tymi samymi robotnikami, — tymi samymi, zapewne, członkami partji C. P. P., która bezwzględnie i bardzo słusznie solidarnością, daleko idącą się kieruje...

— Przyznaję — kontynuował prezes, pociągnąwszy wonnego dymu z cygara, — że pan Mundrak nie jest tak dobrze wychowany, jak wielu innych z pomiędzy panów, tu oto obecnych... Więcej powiem: pan Mundrak jest znacznie gorzej od panów wychowany... To prawda,

to... bardzo przykra prawda. Ale cóż? Nie wszyscy mogą być salonowcami... To jeszcze nie zbrodnia... Nawet najbardziej gburowaty człowiek ogląda się i polewuje z czasem w towarzystwie ludzi kulturalnych. A więc panowie sami winni się o to postarać, aby pana Mundraka nieco towarzysko oglądzić... Zarzuty zaś nieuczciwości, stawiane panu Mundrakowi, uważam za gołosłowne, bo ani jeden nie poparty został przez skargę poszkodowanej lub poszkodowanego... Co się zaś tyczy odwrotnej strony medalu, że tak powiem z niemiecka „fachowych“ zalet pana Mundraka, to te stoją ponad wszelkie insynuacje, a tak dobrze są znane zarządowi Mennicy, że pozostawcie panowie zarządowi, przez rząd mianowanemu, kompetencję w ocenie tych zalet i oszacowania wartości pana Mundraka, jako pracownika i zawodowca...

Tu przerwał pan prezes, aby po chwili nieco mocniejszym tonem zakończyć:

— To też tylko zarząd Mennicy państwowej, na którego czele ja stoję, może decydować o usunięciu danego pracownika z zajmowanego stanowiska... Nikt inny nie ma prawa narzucać zarządowi swej woli, boć przecież od tego tu ja jestem, — ja!...

— Pan prezes pozwoli mi parę słów powiedzieć? — odezwał się po chwilowem milczeniu stary Kiełbasiński.

— No, proszę, słucham.

— Bo to, proszę pana prezesa, majster Mundrak zawiele sobie pozwala... My go niby mamy za parszywą owcę, której całe stado nie chce... (Tu kolega Pańkowski pociągnął Kiełbasińskiego za bluzę). My, panie

prezesie, jesteśmy rzetelni robotnicy, a on — kto?... On? proszę łaski pana prezesa, on jest z przeproszeniem za robociarskie wyrażenie — zwyczajny łobuz i chałuj skończony...

Kielbaśńskiego z dwu stron pociągnięto za bluzę i niefortunny mówca zamilkł skonfudowany.

— Bardzo mi przykro, kochany panie, że pan taką złą opinię wygłasza o swoim bezpośrednim zwierzchniku — rzekł prezes.

— Ja tylko... — bąknął Kielbaśński i wnet umilkł.

— Bardzo mi przykro, kochani panowie!... Sądzę jednak, że ten smutny fragment niesolidarności koleżeńskiej da się jednak zatrzeć, — że to naszych dobrych stosunków nie nadwyręży i — że pozostanie wszystko in statu quo! — rzekł prezes, powstając.

Delegaci również się podnieśli i spoglądali po sobie pytającym wzrokiem.

— Nie będę kochanych panów zatrzymywał, bo oto godzina dwunasta nadchodzi... Szkoda drogiego naszego czasu, a czasu obiadu — przedewszystkiem, — rzekł prezes, podając kolejno wszystkim rękę na pożegnanie.

— Ostatecznie wychodzimy z niczem, panie prezesie? — stwierdził pytająco delegat Pańkowski.

— Musi pozostać, kochani panowie, tak, jak zarząd Mennicy postanawia. Ja tu jestem po to, aby rządzić i kierować, a panowie są na to, aby według tego kierownictwa spokojnie produkować walory państwowe... Wszędzie i zawsze musi być przestrzegany podział pracy... Przeciwdziałać temu porządkowi nie możemy...

Delegacja na takie stanowcze dictum już nie

nie miała do powiedzenia i opuściła gabient prezesa w ponurem milczeniu.

Na podwórzu zatrzymano się chwilę, aby omówić niewyraźną sytuację. Pierwszy raz bowiem od stworzenia Mennicy robotnicy spotkali się z odmową. Nie żądali przecież podwyżki, bo tę sprawę już od dłuższego czasu regularnie co miesiąc załatwia Zawodowy Związek Mechaników Cudeńskich w porozumieniu się z ad hoc wyłonionym urzędem państwowym. Żądali tego, co — zdawało się — winien był prezes, jako człowiek wysoce kulturalny, poprzez bezwzględnie. Żądali przecież uzdrowienia stosunków, a przez to i podniesienia wartości moralnej pracowników Mennicy. Dobrze nazwał Kielbasiński Mundraka parszywą owcą. Taką parszywą owcę należy ze społeczności mennicznej usunąć. Ale poco mówił o stadzie?... Ten ojciec Kielbasiński zawsze musi niepotrzebnem gadaniem sprawę pokielbasić!...

— Powiedam wam, że tu Żbikowski wlaźł nam w paradę — zauważył po wymianie powyższych ^{tes}strzeżeń Józwiak Stanisław.

— Uprzedzałem was o tem, panowie, w sobotę — potwierdził przypomnieniem Pańkowski. — On musiał o wszystkim się dowiedzieć od jakiegoś zdrajcy-psu brata i prezesa odpowiednio nastroił...

— Pójdziemy wyżej! — zaproponowano.

— Dokąd? Do ministerjum?... Kruk krukowi oka nie wykole...

— Bo i prawda!

— Więc jakże nasze ma być na wirzchu?

— Będzie! — zapewnił Pańkowski. — Mamy na to Związek...

— A, prawda! Związek, co nam zarobki normuje, może i w tej sprawie za nami się ująć...

— Związek nasz nic dla nas dotychczas nie robi— podjął Pańkowski, dosiadając ulubionego swego konika. — Związek tylko handryczy się o nasze podwyżki... Chociaż kwestja bytu jest dzisiaj najważniejsza, to prawda, ale mógłby też Związek coś więcej robić dla swoich członków!... Mógłby szkoły zakładać dla uczniów i kursa dla dorosłych, — mógłby odczyty organizować z dziedziny naszego zawodu i ogólnie kształcące. Nic z tego wszystkiego Związek nam nie daje, a bajońskie sumy zbiera co tydzień od wszystkich cudeńskich towarzyszy naszej sztuki w drodze opłat i składek... A co za to mamy? Mamy choć emeryturę zapewnioną?... Mamy choćby jaki przytułek, dom starców dla niedołężnych drukarzy? Mamy naprz. tak pospolite wszędzie zagranicą miasta ogrodowe, a w nich każdy z nas — swój domek na własność?... Za te pieniądze, co Związek już od nas pobrał, moglibyśmy to wszystko mieć, gdyby Związek coś robił!... Niechże chociaż Związek dopomoże nam w sprawie usunięcia z budy jeunej parszywej owcy!...

— Racja, niech chociaż w tem dopomoże! — potakiwano.

— Otóż, panowie! Delegacja się nie rozwiązuje, a dziś wieczorem każdy zwolni się w swoim pawilonie (godziny muszą być zaliczone bo to w sprawie społecznej) — nie później, niż o jakiej ósmej, bo we wszystkich pawilonach robota ma trwać dzisiaj do dziesiątej, — i o godzinie dziewiątej zbierzemy się w siedzibie Związku, a tam już pogadamy.

Rozległy się dokoła dzwonki elektryczne, sygnalizujące godzinę dwunastą. Wszczął się ruch na podwórcach mennicznych, we wszystkich pawilonach, składach i warsztatach, a przy specjalnym u wyjścia na ulicę budynku wartowniczym, zaczął się wyciągać ogonek, szybko jednak posuwający się naprzód.

Wartownia był to budynek, argusowemi oczami strzegący jedynej bramy, przez którą można było wjechać na obszerną posesję Mennicy i jedyne wejście, przez które można było dostać się do wnętrza zakładów.

Wjazd był nieco mniej skomplikowany, bo zajeżdżający furgon, powóz i samochód zatrzymywał się pod oszkloną drewnianą hallą, gdzie specjalna straż zbrojna skrzętnie sprawdzała dokumenty zarówno pasażerów, jak woźniców i towarów, odbierając przepustki, a *ad hoc* za każdym razem wydawane przez zarząd Mennicy. Nawet jeśli sam minister przyjeżdżał do zakładów, musiał się wylegitymować specjalną przepustką. W razie nieposiadania takiego dowodu, pozostawał w halli dopóty, dopóki z zarządu na telefoniczne wezwanie nie nadeszło imiennego certyfikatu dla pana ministra. Ó, bo rygor w wartowni był nader surowy, a w stosunku do władz ministerjalnych — nieubłagany...

Natomiast wejście pojedynczego człowieka, a w dodatku obcego, było niezmiernie utrudnione. Pracownik Mennicy, czy to urzędnik, czy to robotnik, zaopatrzone był w specjalną legitymację z fotografią, którą przy wejściu do Mennicy musiał okazywać na kilku kolejnych posterunkach, w korytarzu wartowni rozstawionych. Obcy zaś interesant nieraz bardzo długo musiał w komendzie warty przesiedzieć, zanim otrzymał stoso-

wną przepustkę, wyraźnie określającą do jakiego biura może za tym dowodem być wpuszczony. Do jakiegokolwiek pawilonu fabrycznego wstęp dla obcych był bezwarunkowo wzbroniony.

Wyjście zaś dla wszystkich było jeszcze więcej utrudnione, każdy bowiem, wychodzący z Mennicy, bez względu na to: swój czy obcy, robotnik czy urzędnik, zajmujący niższe lub wyższe stanowisko, niosący cokolwiek ze sobą i bez niczego idący — musiał minąć dziesięć posterunków w specjalnie zbudowanym labiryncie wartowni i poddać się oględzinom conajmniej dwudziestu oczom bystrym i podejrzliwym, nim się wydostał na ulicę. Przytem niosący cośkolwiek w rękę musiał zatrzymać się w jednym z wgłębień labiryntu aby pokazać wynoszony przedmiot i wręczyć nań odpowiednią przepustkę. Sam prezes nawet, wychodząc z jakąkolwiek paczką z Mennicy, bodaj z książką, oddawał ją przy wyjeździe straży wartowniczej do obejrzenia.

Zdarzało się czasem, że posterunki wartownicze, licznie po wszystkich pawilonach Mennicy rozstawione, zauważyły ze strony któregośkolwiek pracownika jakie nadużycie, połączone z wynoszeniem materiałów poza obręb zakładu. Wówczas miano go na oku i przy upatrzonej okazji wypraszano przy przejściu przez labirynt do komendantury warty i tam w oddzielnej ubikacji poddawano go rewizji osobistej. Zwykle w takich upatrzonych przypadkach znajdowano przy delikwencie wynoszone gwoździe, czy mosiądz, czy klej, czy wreszcie jakie narzędzie, a wówczas taki pracownik miał raz na

zawsze wstęp do Mennicy zamknięty. Nazajutrz bowiem, tam w warfowni, otrzymywał dwutygodniową odprawę pieniężną i tyle go widziano.

Rzadko jednak coś podobnego zdarzało się w Mennicy.

Robotnik nie łasczył się na przywłaszczenie sobie materiałów lub narzędzi. A nie było wypadku, aby wynoszono wydrukowane walory państwowe lub gotowe banknoty, których drukowanie przeszło w następstwie wyłącznie tylko do Mennicy.

Robotnik menniczny szanował swój warsztat pracy i cenił go, bo roztropnie zeznawał, iż — straciwszy część i miejsce w razie przywłaszczenia sobie gotowego „towaru“, — straci przelewszystkiem dobre i wygodne miejsce zarobkowania, a następnie pozyska u społeczeństwa miano złodzieja, który własny skarb państwa okradał, co leżało i leży w atrybucji obywateli, znacznie wyżej postawionych w hierarchji społecznej...

Palma zasługi za doskonałą organizację straży wartowniczej i wartowni należała się bezwątpienia trzem głównym Robom mennicznym: prezesowi Podborskiemu, oraz dyrektorom Zbikowskiemu i Chwyrowskiemu, a głównie — temu ostatniemu, który po dokonanej organizacji straży, został jej naczelnym zwierzchnikiem.

Nie wszyscy pracownicy wychodzili na obiad poza obręb Mennicy. Większość posilała się na miejscu w kasynie, gdzie wydawano obiady względnie dobre i tanie, choć skromne i niezbyt obfite.

Halle maszyn drukarskich i wszystkie pawilony podczas jednogodzinnej przerwy obiadowej były dla pra-

owników zamknięte. Odbywało się w nich sprzątanie, zmiatanie i czyszczenie maszyn przez wyznaczonych do tego robotników pod okiem kontrolerów i straży warowniczej.

Praca w Mennicy, niezależnie od ośmiu godzin normalnych, trwała jeszcze po pięć lub więcej godzin nadnormowych, co pracowników wyczerpywało, ale i znaczne korzyści materialne im przynosiło. Stosownie bowiem do ogólnych warunków najmu robotników nadnormowa praca, czyli t. zw. *pofajeranty*, wynagradzana była znacznie lepiej, niż praca normalna, a mianowicie: za pierwsze dwie godziny takiej nadnormowej pracy płacono po 50 proc. drożej, niż za godzinę normalną, a za każdą z następnych godzin o 100 proc., czyli podwójnie. Przytem w wigilję świąt i soboty, przyjętym w Anglii zwyczajem, praca trwała normalnie tylko sześć godzin. ze względu jednak na pełną potrzebę pracowano w Mennicy znacznie dłużej, za każdą jednak godzinę ponad tę sześciogodziną normę sobotnią pobierano zapłatę podwójną, tak samo jak za pracę w dni niedzielne i świąteczne, a ta się też często traflała.

Średnio biorąc, przeciętny pracownik Mennicy zarabiał trzykrotnie więcej, niż pracownik odpowiedniej branży w innych, prywatnych zakładach cudeńskich. Bo choć normalne stawki płacy ustanawiane przez Związki Zawodowe wspólnie z Urzędem Normowania Płac Zarobkowych, obowiązywały jednakowo wszystkich pracowników cudeńskich, to jednak w Mennicy stale były prace nadnormowe, czego w całym Cudnie w żadnej fabryce robotnicy nie mieli.

To też otrzymanie miejsca w Mennicy państwowej

czy to w drukarniach, w litografji, czy w kliszarni, czy też w warsztatach lub przy rozbudowie zakładów,— uważano w Cudnie za szczyt marzeń w środowisku pracownikóv różnych branż, którzy chętnie decydowali się pracować po 15, a nawet więcej godzin na dobę, aby tem samem polepszyć sobie byt i odżyć nieco po okrutnej stagnacji, jaką w przemyśle cudeńskim wytworzyła długoletnia wojna i ekonomiczne zrujnowanie kraju przez okupantów.

III.

— Aaa, pan Cwybelduft!... Witam pana. Pan do mnie?

— Stawiam się na telefoniczne wezwanie szanownego pana dyrektora — odparł jak z igły ubrany, elegancki, wygolony po angielsku jegomość, jeden z generalnych dostawców Mennicy.

— I punktualnie! — dodał, wyciągając przed oczy Żbikowskiego rękę, ozdobioną szeroką, złotą bransoletą, wysadzaną kamieniami z maleńkim wśród nich zegarkiem.

— Pan zawsze jest punktualny, gdy chodzi o wzięcie poważnego zamówienia i grubego zadatku... Ale zato dostawy doczekać się później nie można...

— Pan dyrektor łaskawie żartuje...

— No, no! Tym razem nie żartuję, bo zamówienie bardzo poważne, ale i bardzo pilne... Idź pan do mego biura, ja tam za chwilę przyjdę.

Cwybelduft szykownie się uklonił i elastycznym krokiem podążył w stronę pawilonu, gdzie mieściły się biura techniczne, a Żbikowski wpadł, jak bomba, do centrali elektrycznej.

— Gdzie jest Tasiemski? — krzyknął.

— Pan Tasiemski jest w transformatorni — wskazał wylekły chłopiec na drzwi żelazne w głębi sali.

Żbikowski udał się we właściwym kierunku.

— Co się tu u diabła dzieje z tym transformatorem, do cholery ciężkiej!... Ze wszystkich pawilonów sygnalizują mi, że maszyny stoją, bo prądu niema!...

Tasiemski wyprostował się, wskazując ręką na odwróconego tyłem mężczyznę, uzbrojonego w olbrzymie izolowane szcypce i ubranego w gutaperkowe rękawice i takie same olbrzymie quasi-kalosze.

Mężczyzna ów manipulował przy dziwnym przyrządzie, składającym się z kilku szeregów dużych cylindrów szklanych, stojących poziomo na żelaznych wiązaniach, połączonych grubymi przewodnikami.

Niebezpieczną pracę włączenia jednych linii, a wyłączenia innych, pracę, która wymagała nie tylko specjalności, ale i wprawy, wykonywał osobiście i z zamiłowaniem inżynier - elektrotechnik, choć to samo mógł był zrobić i majster Tasiemski.

— Dlaczego tak częste niespodzianki robi nam ten transformator, panie Wasylu?

— C z t o ż? — odparł inżynier w rosyjskim języku, rzucając rękawice po ukończeniu roboty. — M a s z i n a d r i a ń!... N i c z e w o n i e p a d i e ł a j e s z... (Maszyna kiepska. Nic zrobić nie można).

Inżynier Mangołow mówił dotychczas swoim tylko językiem, albowiem państwowe instytucje cudeńskie, jako że były wysoce tolerancyjne, nie wymagały znajomości języka krajowego i państwowego, dając u siebie chleb najrozmaitszym cudzoziemcom nie tylko „krajowym“, ale i zagranicznym.

Można było nie mieć żadnej specjalności w jakimkolwiek kierunku pracy, wystarczyło mieć — poparcie. Bez poparcia bowiem i protekcji w tych ciężkich czasach powojennych można było w Cudnie zginąć z głodu.

I ginęli ludziska śmiercią głodową, ale tylko — cudnianie z krwi i kości. Odbierali sobie życie zdemobilizowani wojskowi, dla których pracy w Cudnie nie było... Ginęli marnie tułacze, którym wojna, jak zeszlęmi liśćmi miotłała najprzód po obczyźnie, a później i po różnych ziemiach cudzeńskich... A najwięcej ginęło fizycznie i moralnie młodzięży, która powróciła do pieleszy rodzinnych, strawiwszy lata szkolne na roncie i straciwszy zdrowie i wiarę w rząd i społeczeństwo, które im pracy zarobkowej obojętnie nie dawało...

Natomiast dla cudzoziemców piastowali cudnianie dziwny kult, który pozwalał im dopuszczać obce, a często i wrogie żywioły na urzędy państwowe. Dopuszczano je na kierownicze nawet stanowiska do instytucji państwowych, skąd łatwo było wynieść i tajemnice polityczne i zdradzać sekrety specjalnej wytwórczości, a natomiast jakże często dla swoich ludzi, swoich własnych rodaków, miejsca na urzędach i przy warsztatach państwowych nie było...

— Trzeba będzie kupić nowy transformator — zauważył Żbikowski, wychodząc z Mongołowem z centrali elektrycznej.

— Dorogo stoit...

— To cóż, że drogo kosztuje?

— Prawda, sami bu'diem pieczatati dieńgi! (sami będziemy drukowali pieniądze!) — przyznał z pewnym przekąsem Mangołow, robiąc aluzję do zamiaru odebrania od Weideckiego druku bonów pań-

stwowych i przekazania tej roboty wyłącznie Mennicy.

— Napiszcie raport, panie Wasylu, z murowanemi motywami nieodzownej potrzeby zmiany transformatora... Obróbcie to z punktu widzenia swojej specjalności, w imieniu zarządu Mennicy do ministerjum... Zaznaczcie pilną konieczność bo drukowanie banknotów mamy rozpocząć w najbliższej przyszłości.

— Zaraz napiszcie po swojemu, a ten nowy pracownik, Porajski, wam przetłumaczy — dodał Żbikowski, wchodząc do swego pawilonu.

W przyległym do gabinetu dyrektora pokoju biurowym siedział Cwybelduft i bawił urzędników opowiadaniem ucieśnych anegdotek, poczęstowawszy ich cygaretkami, przywiezionemi osobiście z Berlina.

Żbikowski zamknął się z dostawcą w gabinecie i przystąpił wprost do rzeczy.

— Panie Henryku, wezwałem pana po to, aby włożyć panu grube krocie do kieszeni...

— Przepraszam, panie Konradzie, czego krocie?... Bonów Weideckiego, czy marek?

— Marek! Rozumie się, że marek niemieckich, bo te tylko pan lubi, panie Henryku. Ja pański gust przecież znam! — rzekł, śmiejąc się nieco drwiąco dyrektor.

— Już, już! Dobrze jest!... A co trzeba dostarczyć?

— Ni mniej ni więcej, tylko dwadzieścia pięć maszyn drukarskich, systemu — ot tego, co tu w katalogu i takich wymiarów.

Cwybelduft aż się uniósł na krzeselku.

— Dwadzieścia pięć maszyn! — powtórzył uradowany, biorąc katalog do ręki. — To strach co będzie kosztowało!... A zadatek duży panowie dadzą? Tak ze siedemdziesiąt pięć procent?...

— Jak trzeba, to całe pokrycie może być z góry zapłacone... Złóż pan tymczasem ofertę, tylko — już! Rozumie pan? Sprawa pilna... Jutro oferta musi być zaakceptowana, pojutrze będzie pan mógł otrzymać asygnację do banku na podniesienie zadatku w walucie niemieckiej... Resztę to już omówi pan z panem Augustem... Niech pan się zaraz uda do niego. Pan Chwyrowski o wszystkim uprzedzony...

— Bardzo panu dziękuję za względy, jakimi mnie pan obdarza. Bardzo, a bardzo dziękuję, panie Konradzie! — rzekł Cwybelduft, potrząsając rękę Żbikowskiego.

— Bądź pan zdrow. Życzę powodzenia.

— Moje uszanowanie szanownemu panu dyrektorowi! — głośno i ostentacyjnie kłaniał się dostawca, cofając się przez otwarte drzwi gabinetu, poczem udał się do dyrektora handlowego.

Chwyrowski rozmawiał przez wewnętrzny telefon, gdy stały dostawca uchylił drzwi i wsunął się cichutko do jego pokoju.

— Co, pilniki kruche?... Zawracanie głowy! Innych niema, takie nam dostarczono... Zagraniczne, bo w całym Cudnie i Ziemi Cudeńskiej nie mamy fabryki pilników...

— ...

— Że transport duży?... To dobrze! Nie będę przecież potrochu zamawiał... Powiedz mu pan, żeby robił takimi, jakie są na składzie.

— ...

— Prędko się zeńdra? To właśnie dobrze: nie będzie miał długo zmartwienia... Sprowadzimy wówczas lepsze. Niech przyjdzie do mnie, ja go uspokoję...

— ...

Zadzwoił telefon miejski.

— Przepraszam, nie mam czasu!

Położywszy jedną słuchawkę, ujął za drugą, a — spostrzegłszy Cwybeldufta, — skinął mu głową i wskazał krzeselko.

— Hallo, słucham?

— ...

— Tak jest, Chwytowycki... Moje uszanowanie panu!

— ...

— Owszem, mogą panowie dzisiaj jeszcze przesłać swoją ofertę.

— ...

— Teraz jestem bardzo zajęty. Niech pan z łaski swojej pofatyguje się jutro o tej porze.

— ...

— Ja szanownemu panu powiem otwarcie: panowie zwykle za dużo chcecie zarobić... Tak nie można, proszę pana: Skarb państwa jest biedny...

— ...

— Bo inni taniej nam dostarczają... Uprzywilejowanych dostawców nie mamy: ten lepszy, kto tańszy... Trzeba, proszę pana trochę więcej po obywatelsku traktować sprawę zaopatrywania instytucji państwowej... Tego nawet względy patriotyczne od nas, autochtonów, wymagają...

— ...

— Owszem, proszę!... Pan będzie tak uprzejmy... Moje uszanowanie!...

Skończywszy rozmowę, dyrektor Chwytowycki zwrócił się do dostawcy:

— No, i coś pan powie, kochany panie Herszku, vel Henryku Cebulopachnicki?...

— Pan zawsze sobie ze mnie podkpiwa, panie Au-
guście — odparł nieco zażenowany Cwybelduft, częstu-
jąc Chwytowskiego cygarami — E c h t berlińskie...

— E r s a t z e ?

— Po dziesięć marek berlińskich każde cygaro!...
To E r s a t z ? — obruszył się dostawca.

— No, no... Zawróć pan w głowie! — rzekł dyre-
ktor, zapalając cygaro. — Co pan masz na sumieniu? —
zagadnął, pykając wonnym dymem.

Dostawca uśmiechnął się dyskretnie i, spojrzaw-
szy na drzwi, rzekł głosem przyciszonym:

— O rzeczach przebrzmiałych się nie mówi... A je-
śli o now_e chodzi, to ja dopiero chcę obciążyć swoje su-
mienie temi... dwudziestoma pięcioma maszynami dru-
karskimi...

— O, trudno panu będzie udźwigać taki ciężar.

— Ja też wiem, że na pana dyrektora zawsze mo-
żna liczyć: pan mi dopomoże w tem dźwiganiu...

Obaj roześmieli się głośno.

— Najgorsze to, że ja nie wiem jaką złożyć ofertę?

— Ja panu pokażę. Oto mam tu jedną od Majera
i S-ki. Solidna przecież firma. Niech pan rozpatrzy tę
ofertę... Drugą jutro dostanę od Towarzystwa Akcyjnego
„Gapski i Polkowski“. Właśnie przed chwilą telefo-
nem z Gapskim rozmawiałem... Ale muszę zebrać trzy
oferty, pan wie?

— Więc moja będzie ta trzecia?

— Tak jest. I chcę, aby pan się utrzymał przy do-
stawie... Miljonowa prowizja...

— To się wie... Dziękuję panu. Jutro dopiero be-
dę mógł tamtą ofertę Gapskiego zobaczyć?

— Poco panu ją widzieć? — zaoponował Chwy-
towski.

— Jakto poco?... Przecież muszę być tańszy... Obywatelskie uczucia! Względy patriotyczne! — podrwiwał Cwybelduft. — Skarb cudzeński biedny... Ja to rozumiem!

Chwytowski spojrział na dostawcę z pod oka.

— Idź pan do diabła!... To dobre dla gojów! Czy pan Greka ze mnie robi, warjata?...

Cwybelduft spojrział na zagniewanego dyrektora zdetonowany, „nie wiedząc jak się w tym przypadku zachować...

— Myślałem, że pan masz trochę lepsze kiepełce... Pan mnie nie bierz na swój patriotyzm... Jaki patriotyzm?... U was wszystkich „krajowych cudzoziemców“ patriotyzm kończy się tam, gdzie się zaczyna osobisty interes... A i u mnie — tak samo!... Co mi pan będzie gitarę zawracał z jakimś tam patriotyzmem!

— Niech się pan nie gniewa, panie Augustcie. Nie ma o co... Czego się nieraz nie mówi dla interesu? Ajajaj, nie takie jeszcze słowa!...

— Słowo — dym, a interes — grunt! — przyznał po chwili uspokojony Chwytowski. — A zatem — do rzeczy...

— Zamieniam się w ucho — rzekł dostawca, przysuwając się z krzeselkiem.

— Otóż, oferty Gapskiego pan nie potrzebuje widzieć. Pokazałem panu dla orientacji w cenach ofertę Majera i S-ki... Pan nie potrzebuje w swojej ofercie żadnych cen podawać, bo pan nawet nie może żadnych cen podać... Nie tylko przecież u nas, ale i zagranicą wszystko drożeje lub może podrożyć... Pan mnie rozumie?...

— No, no?

— Pan złoży nam ofertę całkiem zwyczajną: „według oryginalnych faktur danej fabryki“, od której pan dla nas nabędzie maszyny i Schlus s!... Pan mnie rozumie?...

— A, czy to przejdzie?

— Nasza w tem rzecz...

— A koszty transportu? A cło?

— Mennica zapłaci...

— No, dobrze! — rzekł Cwybelduft. — Ale ja mam poprzestać tylko na prowizji, otrzymanej od firmy? To mało... Co oni dają? Trzy procenty, no — pięć procentów!... Co dzisiaj znaczy pięć procent przy takim dużym nakładzie gotówki... Oni nie kredytują...

— Wykładać gotówki pan nie potrzebujesz. Damy panu taki zadatek, który z góry pokryje to, co pan zapłaci. Pan mnie rozumie?... A powtóre nie graj pan ze mną, kochany panie Henryku, w ciuciubabkę...

— Jakto w ciocię-babkę?...

— Przecież oni na oryginalnej fakturze takie wystawią panu ceny, jakie pan sam im podyktuje!... Co tu dużo gadać!

— No, to jeszcze pięć procent się dopisze...

— Jak pan zarobisz dziesięć procent czysta g a n o m na takim dużem zamówieniu, to jeszcze mało dla pana?

— Dla mnie, toby starczyło... Pan wie, że ja się skromną prowizją kontentuję...

— Gadaj pan zdrów! — wtrącił Chwytowski, szydząc.

— ...Ale, gdy trzeba się podzielić?...

— Powiedziałem panu wyraźnie, po chrześcijańsku; czysta g a n o m będziesz pan miał dziesięć

procent, — o ile pan więcej jeszcze nie wydebisz od Niemców... Pan mnie rozumie?... Dziesięć procent na czysto, netto, nettissimo...

Cwybelduft, zdumiony wielce, wybałuszył i tak wylupiaste oczy.

— Nic nie rozumiem, panie Auguste...

Dyrektor śmiał się, udając szczerłość i serdeczność.

— Pan pewnie w dobroci swego serca martwi się o... koszty handlowe, które pan musi tu, u mnie... zostawić?

Dostawca kiwał głową, nie spuszczać pytających oczu z Chwyrowskiego, który wreszcie zagadkę rozwiązał:

— W ofercie pan zaznaczysz, że do kosztu maszyn według oryginalnej faktury doliczysz pan sobie dziesięć procent tytułem prowizji, czy komisowego... Te dziesięć procent, uważa pan, będą do mojej dyspozycji... Rozumiesz pan teraz, kochany panie Henryku?

Cwybelduft odetchnął głęboko.

— No, teraz już wszystko zrozumiałem!... To i ja będę miał dziesięć procent i tu będzie dziesięć procent... Aj-jaj, jaki pan mądry człowiek jest!... A Kopf, a grojse Kopf!... Z panem Augustem to aż przyjemnie robić interes!... Skąd pan taką śliczną wymyślił kombinację?...

— Skąd?... Żydy mnie nauczyły! — rzekł otwarcij dyrektor, a wyciągając rękę do Cwybeldufta, zapytał:

— Idzie?

— Co nie ma iść?... Idzie!... G e m a c h t.

— Tylko żeby znowu w oceanie nie utonęły, jak tamte, co to pan wie...

— Ja takich ordynarnych kawałów nie robię, pa-

nie Augustcie! Ja uczciwie dla państwowej Mennicy pracuję...

— Omówienie wysokości zadatku i podyktowanie treści oferty już nie wiele czasu zajęło.

Pęczem Cwybelduft pożegnał Chwytowskiego i pośpieszył do domu, aby przepisać ofertę na firmowym swoim blankiecie: „Cudeński Krajowy Dom Handlowo-Komisowy — Henryk Cwybelduft — Spółka z o. o. w st. m. Cudnie“.

Nadszedł wieczór.

Znużony całodzienną pracą dyrektor Chwytowski spoczywał sobie, wyciągnięty na kozetce, oddając się słodkim marzeniom. Podwładni mu urzędnicy wchodzili od czasu do czasu do pokoju szefa po dyspozycje, które im dyrektor wydawał, nie otwierając nawet zmęczonych oczów.

Około godziny ósmej do pana Augusta przyszedł Żbikowski i usiadł obok przyjaciela na kozetce.

— Słuchaj-no, Gustek, — zagadnął, zamknąwszy wprzód drzwi za sobą. — Co zacz jest ten wartownik, co stoi obecnie w pawilonie Nr. 4, niejaki Chromecki?

— Bardzo dobry służbista, były sierżant wojskowy... Bo co?

— W paradę mi włazi... Podobno szalenie się kocha w Łodzi, tej wysokiej blondynce...

— Niech się kocha. Co ci to szkodzi?

— Podobno żenić się chce... Dziewczynę mi durzy.

— To właśnie powinno ci być na rękę... Masz zapewnioną lokatę gdy ci się Łodzią uprzykrzy...

— Ba! Ona jest za sprytna!

— No?

— Na kolację dała się skusić — zwierzał się Zbikowski. — Autem dała się przewieźć za miasto. Ale, gdy ją przywiózł do siebie, prysnęła mi w ostatniej chwili z przed bramy domu i uciekła...

— Dzika... Oblaskawi się — zauważył Chwytowski.

— To samo twierdzi i Mundrak... Ale ja nie lubię długich zachodów...

— Im dłuższe zachody, tem owoc zakazany lepiej smakuje.

— To prawda, Ta dziewczyna strasznie mi gra na nerwach...

— Warta grzechu! — zauważył Chwytowski. — Warta zachodu... Weźmiesz ją jeszcze raz na kolację, wódki jej nie żałuj, likieru... I — f e r t i g!...

— Ba!... Nic nie pije, nie chce. Boi się trunków, dowodząc, że djablik zwykle siedzi na dnie kieliszka... Tak matka ją zawsze straszy...

— Dobrze matka robi! — przyznał pan August.

— ...I twierdzi, że: „wszystko przyjmę: auto przyjmę, kolację przyjmę, ale co to, to nie“...

— Dalibóg, mądra dziewczyna! — zauważył Chwytowski.

— Nic wskórać z nią nie można, bo leci na sakrament z tym Chromeckim.

— No, to trzeba go usunąć z drogi i już!...

— Wydalić?

A choćby?... Ale to nie rozwiąże kwestji... Lepiej usunąć go z Cudna...

— ?

— Przenieś go „dla dobra służby“ do papierni w Krzakowicach, skąd nie będzie miał możliwości przyjeżdżania do Cudna, bo — za daleko, a zresztą i urlopu może nie dostać...

— Wiesz co? — ucieszył się Żbikowski — Dobry pomysł! Tylko trzeba go zaraz zrealizować.

— Już zrobione! Wielka historia!... Jutro już go tu nie będzie — zapewnił swego przyjaciela dyrektor Chwyrowski, którego jurysdykcji podlegała służba wartownicza w Mennicy.

Żbikowski uściskał dłoń uniwersalnego swego sojusznika i po chwili, zmieniając temat trosk bieżących, zapytał:

— No cóż? Z Cwybelduftem załatwiłeś pomyslnie?

— Rozumie się! Zrobione; ofertę jego już mam, jutro z rana Gapski nadeśle swoją i w południe można będzie cały referat oddać Słodkiewiczowi do akceptacji ministerjalnej. Pojutrze Cwybelduft podniesie zaliczkę, z której na poczet naszej prowizji wpłaci mi sto tysięcy... A dzisiaj na to conto chcę się z tobą zabawić...

— Dzisiaj nie mam czasu, jestem zajęty — odparł Żbikowski. — Ale jutro chętnie. Możemy nawet Łodzie wziąć z sobą...

— Do pani Eufemji dzisiaj idziesz? — zapytał półgłosem.

— Tak, będę u nich... Prezes prosił, żeby zająć na herbatę... Ale wiesz co? Ten Słodkiewicz coraz więcej wtrąca się do zamówień... On coś węszy... Nie na próżno go departament mianował swoim mężem zaufania... Załatwia naprawdę szybko wszystkie sprawy Mennicy w ministerjum, ale stale czyni aluzję do ubocznych dochodów naszych... Zauważyłeś?

— Owszem, uważałem... To też musi być kawał drania!... Ale i on też chce żyć! Gdy się wypowie wyraźnie, albo wstępy jakie zacznie nam czynić, to trzeba będzie mu rzucić od czasu do czasu jaki ochłap... To golec, jak każdy urzędnik państwowy...

Chwytowski pogardliwie wyrażał się o urzędnikach, kiepsko przez rząd uposażonych. Sam bowiem wraz z całym personelem dyirekcji handlowej pobierał wynagrodzenie „kontraktowe“, na ogólnych warunkach płac robotniczych. Z takich samych przywilejów korzystała cała dyirekcja techniczna ze Żbikowskim na czele. Jedynie urzędnicy zarządu Mennicy i kontrola zadowoląć się musiała pensjami urzędniczymi.

— Ostrożnie jednak trzeba z nim poczynać... Ja się za to nie biorę — zauważył Żbikowski.

— Nie martw się, Konradzie! Połóż się w tym względzie na mnie samego... Jest tymczasem sprawa aktualniejsza. Mówiłem ci już o projektowaniu przeze mnie zrzeszeniu wszystkich pracowników Mennicy... Obecnie już przygotowałem szkic statutu takiego zrzeszenia. Przejrzyj go sobie, to ci pięć minut czasu zajmie, a pani Eufemja cierpliwie zaczeka...

— Bądź dyskretniejszy! — syknął pan Konrad.

— Pardon!... Szkic leży w prawej szufladzie biurka. Ja sobie trochę jeszcze poleżę, a ciekaw jestem twego zdania.

Żbikowski wyjął projekt statutu, przysunął się do lampy i jał go uważnie odeczytywać.

„Statut zrzeszenia pracowników Cudeńskiej Mennicy Państwowej“ głosił, że do zrzeszenia winni należeć wszyscy pracownicy, bądź dniówkowi, bądź miesięczni, zarówno robotnicy, rzemieślnicy, jak i urzęd-

nicy, wszyscy bez wyjątku, począwszy od prezesa zarządu, a skończywszy na stróżu, zamiatającym ulicę. Celem zrzeszenia ma być wzajemna pomoc materialna, wspólna kooperatywa spożywcza, oraz wspólne dążenie do ogólnego podniesienia poziomu etycznego wszystkich pracowników Mennicy. Na ten ostatni punkt szczególniejszy nacisk w statucie położono i zaznaczono, że wobec bezpośredniego ocierania się pracowników o cenne walory, jakie produkuje Mennica, a nawet banknoty i monety, jakie wkrótce wytwarzać będzie, wszyscy zrzeszeni winni baczną nadzór roztoczyć wzajemnie nad sobą, i w tym celu zaprzysiądź się, że jakiegokolwiek objawu złej woli tolerować wśród zrzeszonych nie będą. Nieprzystąpienie któregolwiek pracownika do zrzeszenia uważać się ma za dobrowolne ustąpienie z Mennicy.

Skończywszy czytać, Żbikowski zwrócił się do Chwyrowskiego:

— No, wiesz? Gdybym nie wiedział, że to ty pisałeś, mógłbym przypuszczać, że to projektował jakiś wielki ideowiec, dążący do szczytu doskonałości duchowej i pragnący wraz ze sobą wprowadzić wszystkich pracowników Mennicy w niedostępną dla wielu sferę etyki i nieskazitelności...

— Czyż masz mnie za niezdolnego do takich wzniosłych polotów?... Ja tu, uważasz, wystąpię jak ten proboszcz w odległej parafji na niedzielnym kazaniu, co to prawił o pijaństwie, mówiąc: „Łajduszy jesteście pijaki!... Nic nie robita, tylko pijeta i Pana Boga obrażata!... Zara po sumie większość z was pójdzie do karczmy, żeby się uchlać jak te nieboskie stworzenia...” A chłopcy, słuchając, śmieją się w kulak, bo przecież

proboszcz największym był pijakiem w całej parafii... Spostrzegł się wówczas kaznodzieja, uderzył pięścią w ambonę i huknął na swoje owieczki: „Wy, psiekrwie, nie róbtą tak jak ja robię, a róbtą tak, jak ja mówię, o!“... Tak samo, uważasz, i ja... Bo teoria i praktyka, to dwie rzeczy różne...

Chwytowski roześmiał się cynicznie, a Żbikowski zauważył:

— No, tak, zapewne... Ale ogół pracowników będzie uważał podobne zrzeszenie, do którego przymusowo trzeba należeć, — wprost za zamach po pierwsze — na całość Związków Zawodowych, a powtóre — na wolność osobistą każdego poszczególnego pracownika Mennicy.

— Niech tak uważają...

— No, to nikt się do Zrzeszenia nie wpisze...

— Niech się nikt nie wpisze...

— Nie rozumiem. Poco w takim razie ta pisanina, te gadania, to omawianie sprawy? — pytał Żbikowski, chcąc dowiedzieć się o co właściwie chodzi Chwytowskiemu.

— Poto ta pisanina i gadanina, poto obaj zwołamy walne zgromadzenie wszystkich pracowników Mennicy, poto zrobimy huczek, który aże zimne mury ministerjum się obije, — aby wyrobiono sobie o nas dwóch opinię ludzi nieskazitelných, aby na nas obu wskazywano jako na kryształą nieposzlakowane, aby twierdzono, że Chwytowski i Żbikowski to uosobienia czystości i przejrzystości w swych czynach i postępkach, podejmowanych w Mennicy ku chwale ojczyzny...

Chwytowski śmiał się demonicznie, a Żbikowski patrzył na przyjaciela swego z podziwem i uwielbieniem.

IV,

W dużym, podłużnym pokoju, przylegającym do gabinetu dyrektora Żbikowskiego, przy biurkach, stołach rysunkowych i stolikach pracowało kilka osób, a w ich liczbie i maszynistka.

Nad „rajsbretem“ siedział pochylony inżynier Mangołow, a w pobliżu niego najczęściej beczynn timerze przesiadali technicy Młynarski i Porajski, jako nowicjusze, oraz technik Wieloczyński, który przyspadał do swego biurka tylko na odpoczynek, biegając cały dzień po obszernym terenie zakładów i wyręczając w czynnościach dyrektora Żbikowskiego.

Młynarski i Porajski byli kandydatami na zarządców poszczególnych oddziałów mennicznych, a tymczasowo wtajemniczali się w bieg pracy w Mennicy, spełniając drobne zlecenia Żbikowskiego i słuchając częstych jego prelekcji na temat urzędzenia wzorowych zakładów mennicznych w stolicy rosyjskiej, — ideału, do którego dążył zarząd Mennicy cudeńskiej.

Stanowiska poszczególnych w każdym pawilonie zarządców miały być niebawem stworzone. Dotychczas kierował wszystkimi oddziałami sam dyrektor Żbikowski, mając do pomocy swoją „prawą rękę“ (jak się wyrażał) w osobie Wieloczyńskiego, nader ruchliwego i energicznego technika fabrycznego, który długie lata pracy administracyjnej strawił w wielkich zakładach przemysłowych w kraju i zagranicą. Pomocnikiem Żbikowskiego w dziale wyłącznie graficznym był doświadczony doradca artystyczny, stary grafik Karol Fiszer, z rodziny od trzech pokoleń szerszącej

sztukę graficzną w Ziemi Cudeńskiej i wielce dla kraju zasłużonej.

Młynarski i Porajski w oczekiwaniu nominacji spędzali czas w dyrekcji technicznej na „obsłuchiwaniu się“, jak radził Żbikowski, a tymczasem tylko „odsiadywali“ swoje osiem godzin normalnych i tyle godzin nadnormalnych (płatnych dodatkowo), ile sami chcieli. Dzięki tej tolerancji „odsiadywania“ pracownicy techniczni, pobierający t. zw. dniówkę na ogólnych warunkach pracy robotniczej, dorabiali sobie godzinami nadnormowemj tyle, że jako-tako żyli, aczkolwiek wysokość dniówki pracownika inteligentnego była znacznie niższa od dniówki pracownika fabrycznego, — niższa nawet od płacy zwykłego robotnika podwórzowego.

I słusznie poniekąd! Bo czyż można ciężką pracę robotnika, dźwigającego ciężary, albo zgrzebującego błoto lub śnieg na podwórcach mennicznych porównać z lekką pracą różnych skrobipiórków-burżujów, udających, że coś tam piszą, coś tam liczą, czemś kierują, coś kontrolują, a w samej rzeczy nic nie robią, bo ich pracy i nie widać wcale?!

W krótkim okresie swego kandydowania Porajski i Młynarski w braku innego zajęcia wyręczali pracowników dyrekcji technicznej w różnych robotach kancelaryjnych, to znów pomagali Mangołowowi w wykonaniu na czysto jego projektów budowlanych i wogóle musieli wypraszać robotę, której dla kandydatów na zarządców na razie nie było.

— Panie Porajski — zwrócił się Mangołow w swoim języku do jednego z techników, — może pan przetłumaczy ten referat na język urzędowy.

To wyrażenie „język urzędowy“ dziwnem echem

obiło się o uszy pracowników, którzy byli — z wyjątkiem Mangołowa — autochtonami cudeńskimi z krwi i kości.

— Bardzo chętnie! — odparł Porajski, biorąc do ręki podany papier.

— To ma być raport zarządu Mennicy do ministerjum Skarbu? — zauważył, przejrzawszy treść papieru. — Nie znam formy pisania i zwrotów, używanych w naszym zarządzie...

— Niech pan pisze po swojemu, jak pan uważa, byle żwzięle i jasno. Żbikowski kazał mnie narzucić motywy, a panu polecił przetłumaczyć i obrobić w formie raportu, gdyż ja językiem urzędowym nie władam.

— To źle! — wtrącił Młynarski, który miał zwyczaj „pikowania“ cudzoziemca. — To bardzo źle, panie Bazyli, że pan się nie stara nauczyć naszego języka.

Mangołow nic nie odpowiedział, pochyliwszy głowę nad rysunkiem.

— Pan inżynier powinien głośno czytać, rozmawiać, a wkrótce sobie nasz język cudeński przyswoi — zachęcał Porajski, zabierając się do tłumaczenia raportu. — Jutro przyniosę panu ciekawą a łatwą książkę do czytania, dobrze?

— D z i e k u j u panu!

— O, inżynier wcale nieźle będzie mówił — zauważył Porajski. — tylko odwagi potrzeba.

— I dobrych chęci — dodał uszczypliwie Młynarski.

Rozmowę przerwało wejście dyrektora Żbikowskiego, za którym szedł jeden z uprzywilejowanych dostawców Mennicy państwowej, pan Icek vel Ignacy Medaljon.

Przeszli na konferencję do gabinetu.

Po dłuższej chwili do dyrektora został wezwany Mangołow, celem udzielenia wyjaśnień co do warunków, jakim winien odpowiadać transformator.

Zanim tę sprawę w gabinecie załatwiono, Porajski ukończył napisanie raportu i oddał go Mangołowowi, a ten odniósł Żbikowskiemu.

Po chwili wyszedł dyrektor z gabinetu i oddając raport maszynistce do przepisania, rzekł z uznaniem, zwracając się do Porajskiego:

— To, to rozumiem! I język, i styl i logika. Aż miło! Tam w zarządzie z tydzień czasu pisaliby, przepisywali, układali i w końcu napisaliby i rundu (nie-dorzeczność).

Przepisany na maszynie raport powędrował do prezesa zarządu do podpisu, a Żbikowski, jakby w nagrodę za dobrze wykonaną pracę zaproponował Porajskiemu pokazanie mu wszystkich pawilonów Mennicy, do których prawa wstępu, jako nowicjusz, dotychczas nie miał.

Porajski, niezmiernie ciekaw prac mennicznych, chętnie skorzystał z propozycji dyrektora i udał się z nim na inspekcję.

Z kolei obeszli pawilon artystyczny, gdzie rysownik Drewnowski i dwaj młodzi chłopcy wykonywali projekty różnych papierów państwowych, — pawilon fotograficzny, gdzie z zaprojektowanych rysunków robiono zdjęcia i przygotowywano kopje na cynku, — pawilon trawienia klisz, gdzie z kopji fotograficznych na cynku trawiono klisze, z których następnie drukowano walory, — pawilon farbiarski, gdzie mieszano i rozcie-rano farby przeróżne, a w końcu — pawilony litografi-

czne i drukarskie, gdzie wrzała praca wytwórcza, choć wszystko wokół jeszcze z fazy organizacyjnej nie wyszło, bo nowe pawilony się wznosiło, dla pośpiechu drewniane, wszystko się ciągle rozszerzało, rozbudowywało, przerabiało, zmieniało, montowało.

W pawilonie drukarskim Nr. 1 wartownik zameldował dyrektorowi zawezwanie go do prezesa. Żbikowski, pozostawiając Porajskiego samemu sobie, rzekł doń na odchodnym:

— Tym pawilonem będzie pan zarządzał. Niech pan rozejrzy się tymczasem, a później podzieli się pan swemi wrażeniami ze mną...

Po odejściu dyrektora kandydat na zarządcę obszedł wszystkie maszyny, na których drukowano jakieś obligacje skarbowe i zapoznawał się kolejno z każdym mechanikiem, oglądając systemy maszyn i czyniąc specjalne uwagi zawodowe.

Maszyniści już z kilku słów, jak to zwykle bywa, wyczuli w nowicjuszu „swojego człowieka“, który widocznie w zawodzie drukarskim pracował i zżył się z wymaganiami postępu w tej dziedzinie przemysłu, oraz z potrzebami pracowników, które znał i rozumiał. To też robotnicy chętnie udzielali przyszłemu swemu zarządcy wyjaśnień i, darząc go intuicyjnie zaufaniem, śmiało wypowiadali się ze swojemi bolączkami, a głównie podkreślali anormalne stosunki pracy z pseudo-majstrem Mundrakiem.

W trakcie podobnej konferencji z jednym z mechaników, Bogatkiem, podszedł do Porajskiego nieznanemu pracownik z chytrą twarzą Mefistofela i latającymi oczami, wtrącając się natrętnie do rozmowy. Wówczas Bogatek odszedł, zostawiając go sam na sam z nieznanym pracownikiem.

Kandydat na zarządcę zwrócił się tedy do intruza z zapytaniem:

— A pańska która maszyna?

— Moja? — odparł z jakąś wyższością. — Wszystkie! Ja tu majstrem jestem we wszystkich pawilonach drukarskich.

— Przepraszam, nazwisko pańskie?

— Alfons Mundrak. Ja szanownego dyrektora mam honor znać... Kiedyś chciałem się zaangażować do pana, ale miejsce już było zajęte.

Porajski przyjrzał się bezczelnej twarzy człowieka, któremu rzeczywiście odmówił kiedyś miejsca, ale nie dla innych powodów, a wprost dla najgorszych referencji, jakie o kandydacie był otrzymał.

— Być może, nie pamiętam — odparł tytułowany dyrektorem perle zarządu Mennicy państwowej, na której poznali się jednak najbliżsi towarzysze pracy.

Rozległ się dzwonek, sygnalizujący południe. Maszyny stanęły. Mechanicy, nakładaczki, odbieraczki, liczarki i robotnicy rzucili się do wyjścia z pawilonu. Porajski udał się do biura.

Po obiedzie powrócił i kontynuował „rozglądanie się“ po terenie przyszłej swojej pracy kierowniczej.

Do jednego z mechaników Porajski powziął odrazu szczególniejszą sympatję dla jego rozwinięcia umysłowego, szczerości i dużej życzliwości, z jaką ten pracownik zwracał się do przyszłego swego zwierzchnika. Był nim Józef Pańkowski, do którego też Porajski zwrócił się z poufnym zapytaniem, jak właściwie jest ze sprawą usunięcia Mundraka ze służby w Mennicy.

— Proszę pana, myśmy gotowi pójść na wszystko... Nawet przed strejkłem się nie cofniemy o ile za-

rząd nie uwzględni naszego żądania. Toć byłby skandal, aby taki łobuz, taki nahał miał być utrzymany nadal na stanowisku!... Złożyliśmy całą sprawę w ręce Związku i w tych dniach wystosowane zostało odpowiednie pismo do zarządu Mennicy z prośbą o wydalenie Mundraka na żądanie ogółu pracowników.

— Czy to nie za ciężka kara? — zauważył Porajski. — W dzisiejszych trudnych czasach...

— Takiego łajdaka nie żal!... A zresztą on nie zgini: ma grube pieniądze. Mało to łapówek ponabierał? A z pofajerantów mało odłożył?

— No, czyż tak dużo?

— Proszę pana, on tu przez szereg miesięcy nie wychodził prawie z fabryki, zapisując sobie po 24 godziny pracy na dobę!

— No, czyż? — nie wierzył Porajski.

— Słowo honoru! Toć wszyscy wiedzą...

— A kiedyż spał?

— Wysypiał się dobrze na zmianę z innymi maszynistami. Cztery maszyny się kręciły, trzech maszynistów spało na papierach, a czwarty maszyn doglądał. I tak na zmianę. Wiadomo: nakładaczki tylko pracują, bo gdy mechanik klisze narządzi, to w ciągu paru tygodni nic przy maszynie niema do roboty, dopóki się klisze nie zbija. Najwyżej naoliwi raz albo dwa na dobę, albo farby podłoży do kałamarza. Bo nawet nie potrzebujemy odstawiać walcy, albo je myć! Od tego są robotnicy, którzy przy pomocy odbieraczki i maszyny muszą oczyszczać. Mechanik może sobie gwizdać!

— A dyrektor Żbikowski toleruje takie sypianie maszynistów w godzinach ich pracy?

— Co nie ma tolerować?! Mundrak tak sprawa.

pokierował, że nie tylko dyrektor, ale i pan prezes wszystko aprobują, byle tylko robota szła, bo walorów Skarb państwa bardzo potrzebował.

— No, dobrze — zauważył Porajski. — Ale przecież wasz Związek zawodowy nie pozwala jednemu mechanikowi obsługiwać więcej niż jedną maszynę. Wielu maszynistów siedzi w Cudnie bez pracy, bo pracy brak.

— Proszę pana, u nas to tak: gdy chodzi o podwyżki, to wówczas Związek dobry, bo te podwyżki wyrabia, gdy zaś chodzi o wzajemną pomoc koleżeńską, jak tutaj naprz. o podzielenie się pracą z innymi kolegami, którzy nie mają żyć z czego, to wtedy każdy jest sob-kłem i doi krowę dla siebie, póki krowa nie zacznie ryczeć.

— Ależ to djabelnie drogo taka produkcja kosztowała!

— Rozumie się! — przyznał Pańkowski otwarcie. — Zarabiali oni wtedy na dobę, bo ja od niedawna pracuję, — za 8 godzin normalnych, plus 2 godziny o 50 proc. droższe, plus 14 godzin o 100 proc. drożej płatnych, czyli razem wynosiło tyle za jedną dobę, ile otrzymaliby za pięć dni normalnej pracy.

— No, a przerwy na obiady, na wieczерze?

— Nie potraçało się za żadne przerwy. Nawet i na ulicę można było wyskoczyć na dwie, trzy godziny, za to też się nie odliczało.

— Bój się pan Boga! — zauważył Porajski. — Takiej kosztownej eksploatacji żaden prywatny zakład nie byłby w stanie wytrzymać!

— Prywatna buda do luftuby poleciała, wiadomo!

— Przy takim systemie prowadzenia pracy ci

pracownicy szczęśliwsi, co się dostali do Mennicy, dochodzą w krótkim czasie do majątków, a inni, bezrobotni, — zamiast pracować na drugą lub trzecią zmianę, zdychają z głodu.

— No, teraz to już takich pilnych robót niema, — wyjaśniał Pańkowski. — Najwięcej mamy po pięć godzin pofajerantu, no i niedzielę czasami. Ale Mundrak, to sobie tyle godzin wpisuje, ile sam chce. Jemu wszystko uchodzi na sucho. Toć on napewno dzieśnięć razy tyle zarabia miesięcznie, co sam pan prezes Podborski. I co robi? Robotę knoci, bo makulatury moc odchodzi tam, gdzie on się tylko dotknie do maszyny! Taki łobuz naraża Skarb państwa na wielkie straty, no i — koty drze z towarzysząmi pracy.

Kandydata na zarządcę wprost przeraziła ta rabunkowa gospodarka, jaką wyspecjalizowani zagranicą Robowie cudeńscy prowadzili w Mennicy ubogiego Skarbu cudeńskiego.

Wieczorem Porajski miał sposobność, przed rozmową relacyjną z dyrektorem, podzielić się swemi spostrzeżeniami z Wieloczyńskim w poufnej z nim pogawędce. „Prawa ręka“ dyrektora, uważnie wysłuchawszy nowicjusza, życzliwej udzieliła mu rady:

— Niech pan będzie ostrożny w swojej relacji wobec Żbikowskiego. Uprzedzić bowiem, muszę pana o jednej zasadzie, której bezwzględnie hołdować musimy: nie wolno krytykować tego wszystkiego, co dyrekcja i zarząd za dobre uznały.

Gdy wreszcie nadszedł moment podzielenia się z dyrektorem swemi spostrzeżeniami, Porajski, — idąc za radą Wieloczyńskiego — postanowił zaniechać krytyki, dotyczącej administrowania Mennicą, nie mógł jednak

— wezwany dla zdania relacji przez Żbikowskiego — nic nie powiedzieć o tem, co zauważył przy samem wykonywaniu druków walorowych.

— Dałoby się coś nie coś zarzucić systemowi prac, stosowanemu przez mechaników naszych — zauważył na wstępie Porajski. — Nie wiem jednak czy mogę być szczerym?

— W zupełności! — zapewnił Żbikowski. — Proszę mówić z całą otwartością co pan zauważył i co według pana należałoby zmienić.

Wówczas Porajski oględnie starał się wskazać na niedostateczne wykorzystanie maszyn, na których drukuje się tylko z klisz pojedynczych wówczas, gdy „blaty“ aż nadto są duże aby drukować od razu komplectami o dwóch, trzech, a nawet o czterech kliszach tych obligacji lub znaczków stemplowych, które się w danej chwili produkuje.

— Klisz nie mamy dostatecznej ilości — tłumaczył Żbikowski. — O blachę cynkową bardzo trudno. Prawda, panie Augustcie?

Obecny przy rozmowie dyrektor Chwyrowski, półleżąc w fotelu, palił cygaro i przysłuchiwał się z uwagą rozmowie kandydata na zarządcę. Zagadnięty przez przyjaciela w formie półurzędowej, pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Niemcy bojkotują Ziemię Cudeńską i nie chcą nam nic sprzedawać, co w przemyśle niezbędne...

— Czy panowie nie próbowali zwrócić się po blachę cynkową do Anglii? — zapytał Porajski.

— Właśnie o tem myślimy.

— Dopóki nie będziemy mogli rozporządzać dostateczną ilością klisz, należałoby może tylko część ma-

szyn eksploatować, ale kompletami? — proponował Porajski. — Robota szłaby znacznie prędzej i koszt byłby mniejszy.

— Papier będzie wówczas za mały — zauważył Żbikowski.

— O ile wiem, papier, sprowadzany obecnie, jest o tyle za duży, że bardzo szerokie pasy trzeba obcinać i bezużytecznie je odrzucać. A dobry papier — drogi. Trzebaby może sprowadzać o wiele mniejsze arkusze lub nieco większe. Te ostatnie możnaby przez pół przecinać. Mielibyśmy podwójną ilość arkuszy i uniknęło by się małowartościowych ścinek.

— Hm, tak! — przyznał Żbikowski. — Ale to zamówienie na obligacje wkrótce już się skończy.

— Następnie: — ciągnął Porajski — Miejsce nakładaczy zajmują dziewczęta, które praca zbyt nuży i z tego powodu są podobno w każdej sali zapasowe nakładaczki, wzajemnie się zmieniające co parę godzin. A przecież tylu jest bezrobotnych żołnierzy zdemobilizowanych, którychby można było wykwalifikować.

— Maszyniści niechętnie patrzą na mężczyzn-nakładaczy, w obawie aby w przyszłości konkurencji im nie robili po wykwalifikowaniu się na maszynistów — wyjaśnił dyrektor.

— Co się tyczy samych maszynistów, to widzę wśród nich pracowników dobrych i wyspecjalizowanych ilustratorów.

— Tylko takich przyjmujemy — wtrącił Żbikowski.

— Wobec tego uważam, że każdy z mechaników jest *sui generis* majstrem. A wówczas jeszcze jakiś majster lub nadmajster jest zbyt cenny, przynajmniej w moim pawilonie, — powiedział Porajski nie bez

pewności siebie. — Tembardziej, że mamy takiego wytrawnego kierownika artystycznego, jakim jest pan Fiszer.

Żbikowski spojrział uważniej na przyszłego zarządcę pawilonu drukarskiego i odparł, kończąc rozmowę:

— To się jeszcze zobaczy jak będzie... Dziękuję panu tymczasem za rzeczowe uwagi.

Po wyjściu Porajskiego odezwał się Chwyrowski ironicznie:

— Słuchaj, Konradzie! Czy on nie będzie dla nas za mądry? Wtrąca się w nieswoje rzeczy...

— Tego u mnie nie będzie — zapewnił Żbikowski. — Zarządcy pawilonów tak będą tańczyli, jak ja im zagram.

Nazajutrz Porajski, któremu już wstawiono biurko do I pawilonu, przebywał w halli drukarskiej do południa. W kasynie po obiedzie Żbikowski rzucił nowicjuszowi mimochodem polecenie:

— Od południa pomoże pan panu Wasylowi rysować. Macie duży projekt do zrobienia.

To niespodziane polecenie, odsuwające Porajskiego od objęcia stanowiska zarządcy, stropiło go niepomiernie. Podeszedł więc niezwłocznie do Mangołowa, który z wykałaczką w zębach stał w oknie opodal i zapisał poufnie coby to znaczyć miało.

Inżynier, rzuciwszy okiem dokoła, odparł półgłosem:

— Wasze miejsce w I pawilonie — fiut! Czy wy nie za dużo wczoraj ze Żbikowskim rozmawiali? Nie można być za szczerym krytykiem i za wiele wiedzieć. U nas, to — tak!..

Idąc z Mangołowem do biura dykcji technicznej Porajski się dowiedział, że dyrektor Żbikowski jest zły „jak czort“, co bezwzględnie wpłynęło na tę nieodwołalną decyzję jego. A wpadł w złość od samego rana dzięki temu, że Związek Zawodowy Mechaników nadesłał pismo, proponując zarządowi Mennicy usunięcie od pracy Mundraka, jako człowieka, poniżającego godność ludzką swych towarzyszy pracy, człowieka bez czci i ambicji, a zatem szkodliwego członka społeczeństwa, którego jednocześnie zarząd Związku usuwa z grona swoich członków.

— Jak na to zareaguje zarząd Mennicy — kończył Mangołow, gdy dochodzili do biura, — nie wiadomo. Ale Żbikowski okoniem staje i djabli go tymczasem biorą i na Związek, i na mechaników - buntowników i na Mundraka i na wszystkich, kto mu pod rękę wpadnie.

Otrzymałszy od Mangołowa szkic ołówkowy, projektujący nową tablicę rozdzielczą, Porajski zasiadł do pracy nad wykonaniem tego projektu w dużym powiększeniu, co miało mu zająć kilka dni gorliwej pracy.

Niedoszły zarządca pawilonem drukarskim, zwykle rozmowny i koleżeński, pograżył się w milczeniu. Na przechodzącego dyrektora Żbikowskiego spoglądał ukradkiem, nie mogąc odgadnąć czemu właściwie ma przypisać swoją degradację z kandydatury na zarządcę pawilonem. Czy rzeczywiście zbytnej swojej szczerości, czy też zmienności humoru dyrektora, czy wreszcie innym jakimś czynnikiem zakulisowym, o których nie wiedział, które jednak intuicyjnie wyczuwał we wszystkim, co się dookoła robiło i mówiło.

Tu, w Mennicy, czy to w biurze, czy w pawilonach, czy w wartowni, czy w zarządzie stale się czegoś

nie domawiało, ciągle coś wzajemnie przed sobą tajemnicą okrywano, — co tworzyło atmosferę przygnębiającą i chłodziło zapaly, nawet w najlepszych chęciach i w dobrej woli podejmowane ku pożytkowi Mennicy.

W ciągu tych kilku dni pracy, jakie zajął Porajskiemu rysunek, popadł w niełaskę dyrektora Żbikowskiego jego „prawa ręka“, technik Wieloczyński, i z nieoficjalnego jeszcze, ale już faktycznego stanowiska wice - dyrektora zdegradowany został na zwykłego zarządcę jednego z pawilonów. Ten objaw niełaski był osłonięty niezgłębioną tajemnicą. Jeden tylko Mangołow podejrzewał prawdziwy powód degradacji w tem, że Wieloczyński „za dużo starał się widzieć i wiedzieć“.

W ciągu tego czasu technik Młynarski objął zarządztwo jednego z pawilonów, — na podobne stanowiska w pozostałych pawilonach przyjmowano nowych kandydatów: komiwojażerów, kupców i różnych biurolistów, którzy pojęcia o drukarstwie i sztuce graficznej nie mieli, a natomiast posiadali więcej bo — protekcję wszechmożną.

O kandydaturze Porajskiego na stanowisko zarządcy pawilonu mowy już nie było. To też nowicjusz był w rozpacz beznadziejnej, bo pominięcie go w nominacji mogło Bóg wie jak długo pozostawić go na dwustu markach dniówki.

A nowy pracownik Menniczny ciężkie miał obowiązki rodzinne.

Drożyzna z dnia na dzień jak na drożdżach rosła. Cena chleba na rynku cudeńskim wynosiła już 70 bonów za kilo, a grudzień mroźny zadymką prószył, a nawskroś przedmuchiwał przetarte szubki i nawet w domu palce dzieciom odmrażał.

Bo opalić dostatecznie mieszkania nie miał za co w one ciężkie czasy pracownik - inteligent, a kupno nowej garderoby szczytem marzeń było niedoścignionym.

V.

Janusz Porajski, siedząc naprzeciw okna, miał przed sobą widok na jeden z obszernych podwórców mennicznych, na którym stały rzędem pawilony fabryczne, prowizorycznie z drzewa zbudowane. Najbliżej biura dykcji technicznej wznosiła się długa parterowa szopa, t. zw. pawilon Nr. 8, na którym widniał duży szyld z napisem: „Kliszarnia“, i drugi mniejszy: „Wstęp dla pracowników innych działów surowo wzbroniony“.

Mając po całych dniach przed oczami te dwa szyldy i, patrząc na wchodzących do kliszarni i wychodzących z niej dostatnio odzianych i solidnie wyglądających pracowników, zdegradowany kandydat na zarządcę rozmyślał nad niesprawiedliwym unormowaniem płacy za pracę, praktykowanem nie tylko w mennicy, ale i powszechnie na całej Ziemi Cudeńskiej. Niesprawiedliwym, bo praca inteligenta była stale niedoceniana, wówczas gdy fizyczny trud zwykłego wyrobnika dawał analfabecie i jego rodzinie byt względnie znośny a często dostatni.

Coprawda niesprawiedliwości tej winni byli sami inteligenci, chodzący wciąż samopas, wówczas gdy rzemieślnicy i robotnicy zrzeszali się w Związki Zawodowe, które za główny program swej działalności przyjęły normowanie płac pracowników i robotników w danej gałęzi przemysłu zatrudnionych. Normowano, a właściwie podnoszono stale, co miesiąc, płace w miarę

wzrostu drożyzny, a czyniono to nawet bez inicjatywy szerokich rzesz pracujących, dzięki czemu w Ziemi Cudeńskiej poczęła zanikać epidemia strajków, ku ogólnemu zadowoleniu i pożytkowi ogółu.

Nadmienić należy, że w nawskroś zdemokratyzowanym po swem odrodzeniu Cudnie wyraz „robotnik“ stosować się zaczął jedynie do człowieka, który wykonywa roboty pomocnicze, jak naprz. przenoszenie skrzyń, materiałów budowlanych, czyszczenie maszyn, zamiatanie podłóg i t. p. Natomiast jakikolwiek specjalistą lub rzemieślnik nazywać się zaczął „pracownikiem“, a przynależność swoją do sfery robotników przyznawał tylko w pojęciu zbiorowym.

Zewnętrznie taki „pracownik“ znakomicie się od różniał od robotnika“ swoim ubraniem najmodniejszym, eleganckim, prosto z pod igły, oraz gładko wygoloną twarzą, miną zamaszystą i pięknym ławatem. Robotnik zaś zwykły pozostał nadal tym zahukanym robociarzem, obdartym, zaniedbanym, brudnym, zaróżniętym, — słowem wołem roboczym. To też szanujący się „pracownik“ nie zwykł ręki podawać takiemu robociarzowi, co to parjasem tylko społecznym miał nadal pozostawać. Sam sobie winien: poco się zeni osła za cńego nie nauczył.

Taką samą winę mógł sam sobie przypisać inteligent, który ubraniem prawie wcale nie różnił się od zwykłego robociarza. Poco lata całe trawił na jakichś tam naukach, miast tego, aby rękawy zakasawszy, wziąć się do uczciwej pracy? Burżuja grał rolę, a teraz głodem przymiera i w wyświechtanem ubraniu dziurami świeci...

Sic transit gloria mu'n'd'i.

Taki pracownik w kliszarni napewno zarabia z 500 bonów dziówki, bo stawka zwykłego robotnika pomocniczego wynosi 240 bonów, a on, inteligent, pracownik biura dyrekcji technicznej otrzymuje załedwie 200 bonów dziennie.

Czyniąc w myśl te zestawienia, Porajski, — jako niedoszły inżynier, mając za sobą już kilkanaście lat pracy, a w tem dużą praktykę drukarską na przedwojennem stanowisku zarządzającego drukarnią, — czuł krzywdę, jaką nowe hasła socjalne wyrządzają inteligentnej części społeczeństwa.

Umiał jednak pogodzić się z tym demokratycznym stanem rzeczy, będąc z przekonani szczerym demokratą. Lecz obowiązki rodzinne zniewalały go do myślenia nad poprawą swego bytu.

I oto szyld kliszarni nasunął mu sposób rozwiązania tego zagadnienia ekonomicznego:

— Zostać robotnikiem.

Olśniony tą myślą, zwrócił się Porajski z wyznaniem swoich zamiarów do siedzącego tuż obok Mangołowa.

— Wasylu Iwanowiczu, cobyście powiedzieli gdybym tak wstąpił na trawiacza do kliszarni?..

— A, cztóż?... — Niczewo! — odpowiedział po namyśle Mangołow — Jaby sam maszynistom został, ale kudy! Nie dapustiat..

— Dlaczego nie dopuszczą? Kto nie dopuści?

— Drugije maszyni'sty... Ocho! Inżyniera mieliby dopuścić?!..

— No, zapewne! Trzeba umieć.

— Co umieć? Kliszę narządzić? Maszynę naoli-

wić? Motor w ruch puścić? To filozofja wielka?! —dowodził Mangołow, mówiąc po rosyjsku.—Nie darmo ja już trzy miesiące siedzę w Mennicy i maszyny montuję, a jak potrzeba to i reparacje robię własnemi rękoma.

— To i mnie do kliszarni mogą nie dopuścić trawiacze? — zapytał z obawą Porajski. — A chciałbym więcej zarabiać, bo — ciężko!

— O to samo i mnie chodzi! Chciałoby się coś z ubrania sprawić, bo człowiek uciekł z Bolszewji, obdarty do cna, jak „bosiak“. A tu skąd? I godzin nadnormowych wysiadujesz czort wie ile, aż wstyd tak dużo zapisywać. A bierzesz połowę tego co pierwszy lepszy pracownik fabryczny. Załedwie połowę.

— Ja mam mniej, niż robotnik analfabeta, co podłogi w hallach maszyn zamiata—uskarżał się Porajski.

— A wiem, taki u nas obyczaj. Niech pan się uda do Żbikowskiego, może pana wkręci do kliszarni. Spróbować można. Trafi pan jak raz na dobry humor dyrektora, bo właśnie konflikt z Mundrakiem pomyślnie się zakończył.

— I czem się właściwie skończyło?

— Tem, że *primo* na pismo Związku Zawodowego zarząd Mennicy nic nie odpowiedział, *secundo* — wobec grożącego strajku pracowników Żbikowski przyjął kilku maszynistów nad etat, i ci siedzą beczynie w pawilonach drukarskich, jako rezerwa.

— W charakterze kandydatów na „lamistrejków“ — wtrącił Porajski.

— No, niby tak. Tymczasem są postrachem przeciwstrajkowym. A *tertio* — ciągnął Mangołow w swoim języku — we wszystkich pawilonach Żbikowski ma zamiar utworzyć stanowiska starszych mechaników,

czyli majstrów, a Mundrak ma zostać majstrem tylko w swoim pawilonie, gdzie też ma swoich adherentów i — siedzieć cicho.

— Dowcipnie, — zauważył Porajski. — I wilk syty i owca cała.

— Tak wyszło, bo siedząca rezerwa umitygowała zapal strajkowy, a zapowiedź mianowania w każdym pawilonie oddzielnego majstra przynajmniej połowie wszystkich mechaników daje nadzieję zajęcia wakujących stanowisk. Chytry ten Żbikowski, oj, jaki chytry!

— Wobec tego zapewne stanowiska zarządców nie we wszystkich pawilonach będą utworzone?

— To swoim porządkiem, a to swoim porządkiem — zapewniał Mangołow. — Będą i zarządcy i majstrowie na każdej sali.

— Obciążą się strasznie koszty administracyjne, koszty produkcji — zauważył Porajski, troszcząc się o interesy Skarbu.

— A ile za te wszystkie znaczki stemplowe, za banderole i obligacje weźmie Skarb cudeński od ludności?

Tu przerwał Mangołow, do pokoju bowiem wszedł Żbikowski i zwrócił się doń w jakiejś sprawie, poczem zapytał Porajskiego:

— Jakżeż tam z tym projektem tablicy rozdzielczej?

Porajski rozłożył przed dyrektorem dwa duże rysunki, które Żbikowski uważnie przejrzał, pochwalił i dość życzliwie zauważył:

— Ale pan, widzę, panie Januszu jest „ein Mädchen für alles“.

— Chciałbym być do wszystkiego — odparł Po-

rajski i, korzystając ze sposobności, dodał: — Przeto prosiłbym pana dyrektora o wyświadczenie mi wielkiej przysługi.

— O co panu idzie? — zapytał Żbikowski jakby z obawą.

— O nic więcej, tylko o przeniesienie mnie do kliszarni w charakterze zwyczajnego robotnika.

Dyrektor cofnął się o krok wstecz a, rozkładając ręce ze zdziwieniem i pewnego rodzaju uznaniem, zawołał:

— Ależ panie Porajski, pan nam imponuje!

— Bynajmniej niczem nie chcę imponować. Tu chodzi mi przede wszystkim o względy materialne. Jako trawiacz znacznie więcej zarobię, niż jako pracownik administracyjny czy biurowy.

— Owszem! — zgodził się chętnie dyrektor. — Jutro o 8-ej rano niech się pan zgłosi do majstra Wojtkiewicza, a ja go jeszcze dzisiaj o tem uprzedzę.

— Dziękuję uprzejmie, panu dyrektorowi!

— Niema za co, panie Porajski. A to mi pan za imponował! — powtórzył Żbikowski z niekłamanem zadowoleniem.

Rad był zapewne, że pozbył się troski co ma zrobić z kandydatem na stanowisko zarządcy jednego z pawilonów, niebardzo pożądanym, bo za bardzo rozwiniętym pracownikiem, o którym wyraził się dyrektor handlowy, że „jest dla nas za mądry“.

Nazajutrz z rana przed godziną 8-mą do kliszarni wszedł nowy pracownik, ubrany jak wielu podówczas, w dobrze już nadwyrężoną kurtkę wojskową, także spodnie i długie buty. Zaraz na wstępie zapoznał się z pracownikami, których już zastał i tymi co na ósmą

zdażali do pracy, komunikując im, że jest przez dyrektora Żbikowskiego, przysłany „do roboty“.

Wkrótce nadszedł majster Wojtkiewicz, któremu się nowy pracownik przedstawił i stanął opodal, czekając aż majster powymuje z szaf rozpoczęte klisze cynkowe i kopje, na płytach cynkowych porobione, które rozdawał podchodzącym kolejno trawiaczom.

Ukończywszy to wstępne ranne zajęcie, majster zwrócił się do Porajskiego z zapytaniem:

— Cóż ja panu dam do roboty? Widziałem, pan tam rysował w dyrekcji, zdaje się?

— Tak jest, panie majstrze, umiem to i owo! — odparł Porajski. — Wszystko będę robił, co pan każe. Nawet podłogi będę zamiatał, bo i ta praca wchodzi podobno w zakres praktyki.

— E, tam znów... podłogi zamiatać! Od tego jest robotnik. Pan przecież, zdaje się, człowiek inteligentny...

— Praca nie hańbi, panie majstrze! A żyć trzeba.

— Ile pan dniówki tam otrzymywał?

— Dwieście marek, panie majstrze.

— O, to mało, to bardzo mało.

— Właśnie. Za zamiatanie podłóg więcej podobno płacą?

— A, no — niby tak — przyznawał majster. — Ale przecież pan coś więcej zrobić potrafi... Umie pan laubzegą wycinać w płytach cynkowych?

— Kiedyś, za młodu, wycinałem w deseczkach z pudełek od cygar...

— No, to pan będzie umiał — rzekł Wojtkiewicz i poprowadził Porajskiego do jednej z ubikacji swojej kliszarni, gdzie dwaj chłopcy kilkunastoletni wycinali laubzegami zbyteczne miejsca w kliszach cynkowych,

za płytko wytrawione przez jakąś prywatną kliszarnię.

Tam nowy praktykant otrzymał od majstra przyrządy laubzegowe, tuzin cienkich piłeczek i pomiędzy dwoma uczniami zasiadł do roboty.

Zajęła go ta monotonna praca i oryginalna sytuacja życiowa, w której on, dojrzały mężczyzna i „ojciec dzieciom“ siedzi oto pomiędzy dwoma smykami, których tytułuje „kolegami“ i stara się sprostać zadaniu i nie dać się chłopcom w pracy uprzedzić. Ale, gdzie tam! Chłopaki, jakby się zmówiły: pracują, jak na wyścigi. Zanim Porajski wybiję dziurkę durszłaczką, już chłopak, co z lewej strony siedział, założył laubzegę i zdążył piłeczkę przymocować, a ten, co z prawej strony — już macha laubzegą i piłuje, jakby ser krajał. Porajski chce pośpieszyć, — piłeczka wymyka mu się z laubzegi, która ją chwycić mocno nie może. Już wreszcie piłkę wkreślił, próbuje krajać, — warczy i nie idzie. Co u diabła? Bierze Porajski nieco mocniej, — zacina się i ani rusz. Szarpnął — piłeczka pękła i — zdechł pies!

— Chłopackowie, koledzy! — mówi strapiiony. — Pomóżcie no z łaski swojej, bo jakoś kiepsko mi idzie. Przy tamtej kliszy szło łatwiej, a tu, psia treść, nie chce brać i pęka.

— To się zdarza, proszę pana! Blacha jest gorsza, cynk nierówny, bo nieczysty, a przez to i ciężiej idzie — rzekł jeden z chłopców na pocieszenie niepraktycznego praktykanta.

A drugi, odłożywszy swoją robotę, chętnie pokazał grzecznemu „koledze“ jak najporeczniej zakładać piłeczkę, opierając laubzegę z jednej strony o stół, a z drugiej o piersi, a następnie jak sobie radzić, gdy się pił-

czka zacina i jak ją smarować w tych przypadkach oliwą.

Janusz sam paląc, chłopców papierosami częstował, to też w najprzykładniejszej zgodzie koleżeńkiej niedobrana trójka uczniów przepracowała do południa.

Podczas zmiany wyciętych płyt na inne nowy praktykant miał możliwość zwiedzenia wszystkich ubikacji kliszarni, gdzie mu jeden z trawiaczy pokazał cały przebieg trawienia płyt w kwasach o różnej mocy, zmywania ich, suszenia, pociągania farbą, poprawiania farby pędzelkiem, przysypywania asfaltem i ponownego trawienia, co się aż osiem razy z rzędu powtarza, nim wreszcie klisza jest dostatecznie na głębokość przez kwasy wyżarta. Wkońcu od trawienia przechodzi do rąk grawera, który ją „koryguje“, — od tego ostatniego idzie do stolarza i przybita na podkład drewniany lub ołowiany, wychodzi gotowa do użytku.

Praca — monotonna, mechaniczna, nie wymagająca ani specjalnej inicjatywy osobistej, ani specjalnych zdolności, — tylko nieco wprawy. A przytem praca dość nieprzyjemna, bo wydzielane podczas trawienia w kwasach żrące gazy, tamują oddech prawidłowy i szkodliwie działają na płuca. Jak każda praca, tak i ta ma swoje strony ujemne, a nie tylko w pracy mechanicznej, lecz nawet i w twórczej dużą rolę gra praktyka i wprawa.

Podczas przerwy obiadowej Porajski, idąc za przykładem innych pracowników, odgrzał sobie na piecyku posiłek, z domu przyniesiony w menażce, i gawędząc ze spółtowarzyszami pracy, spałaszował go z wielkim apetytem.

Przed samym dzwonkiem powrócił z obiadu maj-

ster Wojtkiewicz i wezwał nowego pracownika do siebie.

— Panie szanowny — rzekł na wstępie, prosząc Janusza aby usiadł. — Dowiedziałem się, że pan szkoły ukończył i poważne stanowiska w życiu zajmował.

— No, tak! Coś tam w życiu już się zrobiło... Ale wkońcu, jako szeregowiec w wojsku służyłem.

— Mówiono mi, że pan był ochotnikiem wojskowym i bronił pan rodzinnego Cudna przed najściem bolszewików. Bardzo to pięknie z pańskiej strony! Ale być takim sobie robociarzem na ochotnika, to chyba panu, jako człowiekowi inteligentnemu nie pasuje...

— Pasować, panie majstrze, dzisiaj wszystko pasuje, gdy o chleb chodzi. Z przekonani zawsze byłem demokratą, choć moi dziadowie Porajem się pieczętowali, i na rodzaj pracy patrzę z punktu widzenia praktycznego. Płaca inteligenta, jak panu wiadomo, na chleb powszedni dziś nie wystarcza, a ja mam ciężkie obowiązki, panie majstrze...

— Hm, rozumiem! — odparł Wojtkiewicz, drapiąc się po nieogolonej brodzie. — Ale, uważa pan szanowny, u mnie jest już dwóch uczniów w kliszarni i więcej, według ustawy naszego Związku Zawodowego, przyjmując nie mam prawa. Zresztą i pracownicy wszyscy będą temu przeciwni. Wreszcie, jeśli pan chce się już tej gałęzi sztuki graficznej poświęcić, to niech pan zacznie od działu fotografii. Tam jest początek naszej pracy.

— Z zamiłowaniem kiedyś zajmowałem się fotografią jako amator — wtrącił Janusz w zamyśleniu.

— A właśnie, jak to dobrze się składa. Tam i zajęcia czystsze, sympatyczniejsze i zdrowsze. Gdy pan wypraktykuje w dziale fotografii, to wówczas do-

piero będzie racja przejść do kliszarni. Ja już mówiłem o tem z dyrektorem Żbikowskim i zaraz zaprowadzę pana do pana Miodnickiego, fotografa. To bardzo porządny człowiek.

— No, cóż? — zaznaczył Porajski. — Skoro taka już decyzja zapadła...

— To chodźmy zaraz.

Janusz pożegnał się z towarzyszami niedługiej współpracy i wyszedł z Wojtkiewiczem do pawilonu fotograficznego, który leżał na czwartym podwórku menniczym.

VI.

W pawilonie fotograficznym Porajski zaklimatyzował się jako retuszer negatywów.

Zajęcia tam było niewiele, bo samych zdjęć fotograficznych robiono mało. A i te, które były, stary i doświadczony fotograf, mistrz Miodnicki, wykonywał bez zarzutu, tak, że jeśli negatyw wymagał zbyt wiele retuszu, Miodnicki go zmywał, preparował nanowo szkło emulsją kolodjonową i robił zdjęcia po raz wtóry, przekładając tę powtórna robotę nad poprawianiem zepsutego negatywu retuszem.

Mając bardzo mało zajęcia przy retuszowaniu, Janusz z zamiłowaniem pomagał w pracy swemu mistrzowi, który znał doskonale sztukę fotograficzną w wielostronnem zastosowaniu jej przy odmiennych sposobach reprodukcji graficznej.

W Mennicy wykonywano zwykle zdjęcia kreskowe, a także więcej skomplikowane, siatkowe — z rysunków, przygotowanych przez własną rysownię lub

zamówionych u artystów na mieście, a zatwierdzonych przez władze ministerjalne.

Taki rysunkowy projekt waloru skarbowego, zrobiony w zwiększonych rozmiarach, rozpinano na drewnianym ekranie, stawiano go przed aparatem, ruchomym na szynach i przy odpowiednim zmniejszeniu go do wymaganych rozmiarów, fotografowano na świeżej, mokrej kliszy, spreparowanej osobiście przez mistrza Miodnickiego. Po wywołaniu, utrwaleniu i wysuszeniu oddawano gotowy negatyw do kopjowania.

Kopista, którym był młody jeszcze pracownik, Ludwik Śliwek, przygotowywał potrzebną ilość polerowanych blach cynkowych, na których — po spreparowaniu ich białkiem z dwuchromianem amonu — kopjował przy lampie łukowej negatyw danego waloru tylekroć, ile trzeba było kopji przygotować. Gotowe kopje, pociągnięte farbą drukarską, wymyte i wysuszone, przesyłano majstrowi Wojtkiewiczowi do kliszarni, gdzie wytrawiano z nich klisze.

Wszystkie roboty wykonywane były pod okiem kontroli, którą w pawilonie fotograficznym reprezentował zgrzybiały staruszek, podkontroler Ospalski Pafnucy. Obowiązkiem jego było notowanie dokonywanych zdjęć fotograficznych i ilości wyprodukowanych kopji każdego waloru, a także — wysyłanie tych kopji pod eskortą kontroli do kliszarni.

Porajski, stosując się do zwyczaju robotniczego, wpisał się był zaraz na wstępie do grona spółtowarzyszy pracy, zaprosiwszy mistrza Miodnickiego i kopiste Śliwka „na kieliszeczek“ do podrzędnej knajpy, poczem pierwsze lody znajomości były przełamane.

Wkrótce też zaprzyjaźnił się z obu swymi kolega

mi i obu im w robocie pomagał, nie umiając siedzieć beczynnie. Pomimo tego, że kopista Śliwek miał do pomocy ucznia, Janusz, w braku innego zajęcia chętnie opiłowywał płyty z blachy cynkowej, czyścił je szczotką i kredą, lub szorował płytki z nieudanemi kopjami.

Śliwek chętnie tę pomoc nowego towarzysza pracy w „brudnej“ robocie przyjmował, natomiast nie dawał mu do rąk innej pracy, związanej bezpośrednio z samem kopjowaniem.

O ile stary mistrz Miodnicki nie kierował się za zdrością zawodową i chętnie dzielił się z nowym pracownikiem swemi wiadomościami — o tyle kopista Śliwek wszelkie zapytania Janusza, dotyczące czynności kopjowania, zbywał milczeniem lub odpowiadał na nie półgębkiem. Porajski bynajmniej tem się nie zrażał. Znał bowiem dobrze tę ogólną zasadę wszystkich robotników, którzy zdobywają wiedzę i doświadczenie długoletnią praktyką.

Nie mogąc niczego od Śliwka się nauczyć drogą objaśnień teoretycznych, nowy pracownik, starał się dokładnie wtajemniczyć i zaobserwować wszystkie re-koczyny, jakie kopista stosuje podczas swej pracy.

W ciągu dwóch tygodni Janusz względnie dokładnie poznał czynności pawilonu fotograficznego, lecz niedopuszczany do robót samodzielnych, zadowalać się musiał pracą podrzędną, przygotowawczą, no i — retuszowaniem.

Pewnego dnia, podczas chwilowej nieobecności nowego pracownika w pawilonie, w kilka dni po jego wstąpieniu, Śliwek zwrócił się do mistrza Miodnickiego z wymówką dlaczego właściwie wtajemnicza Porajskiego w arkana swojej sztuki.

— On, jako amator - fotograf i tak zna się na robocie — tłumaczył Miodnicki. — Interesuje się fotografją w zastosowaniu jej w grafice. Dlaczegoż go mam nie objaśnić lub nie pokazać takich robót, których nie zna?

— Poco kogo uczyć?! — oburzał się Śliwek.

— Do grobu przecież ze sobą nie wezmę...

— Ale pan wie, że Związek surowo zakazuje nadmierną ilość uczniów przyjmować do pracy! Już i tak mamy jednego... Związek nie pozwala stwarzać konkurencji zawodowej...

— Żle Związek czyni—zaopiniował stary Miodnicki.—Nie będzie konkurencji zawodowej to będziemy mieli samych partaczów... Poco kto ma się starać aby dojść do doskonałości, skoro konkurencji w pracy nie będzie i wystarczy partaczenie?...

Śliwek narazie nie odpowiadał. Wymierzając arkusz cynkowej blachy polerowanej i znacząc na niej oddzielne kawałki do pocięcia, po chwili dopiero ciągnął podjętą kwestję:

— Każdy z nas zaczynał od początku... Każdy z nas, będąc młodym chłopcem, musiał terminować, być uczniem kilka lat, dopóki się nie wyzwolił i nie doszedł od tego, co umie i ma... A taki sobie inteligent chce od razu nauczyć się naszego rzemiosła...

— No, i naucz się, bo jako człowiek umysłowo rozwinięty, prędzej się orientuje, prędzej nabywa wiadomości i prędzej dochodzi do perfekcji...

— O to właśnie chodzi — podchwycił Śliwek. — Dojdzie do perfekcji i stanie z nami do konkurencji...

— Hm, poniekąd ma pan rację.

— A widzi pan!... Nas tak prędko nie uczono... ganiano chłopakiem kilka lat: a przynieś-no papiero-

sów, a idź-no po piwo, a zanieś to, a skocz po tamto!... Lata całe trwała taka „praktyka“... Własnym sprytem i ciekawością musiał człowiek tę swoją specjalność zdobywać, prawda?

— No, tak! Ma pan rację—przyznał stary fotograf.

— A czy pański mistrz, panie Miodnicki, tak znów chętnie i prędko pana uczył? Przypomnij pan sobie... Jeżeli dał panu się przyglądać, to też nie wszystkiemu odrazu. Podglądać pan nieraz musiał, podpatrywać, omal że nie wykradać sposobów jak to ten mistrz robi i dlaczego to a to robi... Prawda?

— Tak było, rzeczywiście! — przyznawał Miodnicki.

— No, widzi pan... A jeśli dał panu pański majster coś zrobić samodzielnie, to tylko wtedy, gdy mu się samemu nie chciało robić, prawda? I to kiedy dopiero? — Po paru latach ciężkiej praktyki — dowodził namiętnie Śliwek. — To też Związki Zawodowe dlatego nie pozwalają uczyć inteligentów i innych burżujów, abyśmy nie schodzili na drugi plan i konkurencji w pracy mieli jak najmniej.

— Niby to tak, — potwierdził warunkowo stary fotograf. — Ale my, cośmy już doszli do perfekcji i długoletnią praktyką zdobyli znajomość naszego zawodu, nie powinniśmy kryć tego za pazuchą. Trzeba przecieź coś nowym pokoleniom w spuściźnie pozostawić...

— A, poco? Niech sami własnymi siłami w pocie czoła tę wiedzę i praktykę zdobywają!

— Gdyby tak wszyscy w myśl pańskiej orientacji postępowali, to wówczas przemysł rodzimy nie mógłby się rozwijać, a przeciwnie — kłapę zrobiliby w krótkim

czasie, ale zato generalną. Ucierpią na tem robotnicy, bo zagranica zaleje nasze rynki towarami. Ucierpi przemysł, ucierpi handel, ucierpią interesy ojczyzny całej...

— Co mi tam ojczyzna! — wybuchnął Śliwek. — Co mi dała ta ojczyzna?

— Et, takżeś pan wyjechał! — oburzył się mistrz Miodnicki, dla którego „Bóg i Ojczyzna“ było nie tylko hasłem, ale i ideją przewodnią w życiu. — Wy tylko psuć umiecie, burzyć, a nie — robić, budować!

Nie skończył jednak rozgniewany mistrz wypowiedzieć *verba veritatis* zagorzałemu cepepewcowi, gdyż do pawilonu powrócił Porajski i zabrał się do opiłowywania blach cynkowych.

Żadnego pracy twórczej nowego pracownika gnębiła ta niewyraźna sytuacja, w jakiej się znajdował. Z jednej strony, jako retuszer, a więc pracownik fabryczny, traktowany był fignsowo narówni z nowicjuszem biurowym, — z drugiej strony, jako robotnik, nie był dopuszczany do specjalnego warsztatu pracy, bo był inteligentem, ledwie tolerowanym.

Skorzystawszy ze sposobności, Janusz zwierzył się z gnębiącą go sytuacją kierownikowi artystycznemu Mennicy panu Karolowi Fiszerowi, niezwykle sympatycznemu i miłemu człowiekowi, którego tytułował arcymistrzem.

— Na to pan nic nie poradzi — mówił doświadczony i praktyczny życiowo grafik. — Inteligent, jako zawodowiec wyzwolony, czy to lekarz, czy inżynier, czy artysta - malarz, czy rzeźbiarz lub muzyk, — zawsze chętnie podziela się z panem swemi wiadomościami i pod korcem ich kryć nie będą. Owszem, specjaliści

z różnych dziedzin wiedzy i nauki chętnie wygłaszają odczyty, demonstrują swoje prace i rozpowszechniają je wśród społeczeństwa. Natomiast każdy zawodowiec-rzemieślnik posiada tak mały stosunkowo zasób wiadomości, a tak szczupły zakres swojej specjalności, że — dzieląc się swą wiedzą z bliźnim — w ciągu nader krótkiego czasu dałby z siebie wszystko, co posiada, stałby się mniej interesującym, a może i przestałby być niezbędnym na swem stanowisku, jako specjalista.

Aczkolwiek wywody te, oparte na wieloletnich spostrzeżeniach słynnego pioniera grafiki, zupełnie trafiły do przekonania nowego adepta mennicznego, jednakże, nie mogąc się z panującym w Cudnie zwyczajem pogodzić, Porajski próbował zaoponować:

— Toć przecież zagranicą — twierdził — wszędzie egzystują specjalne w każdej gałęzi sztuki stosowanej zakłady naukowe. O ile wiem, i szkoły graficzne są bardzo rozpowszechnione i specjaliści swą wiedzą nie drożą się tak, jak u nas.

— Przyznaję, że zagranica inaczej patrzy na sprawę „tajemnicy zawodowej“. Tam ludzie starają się spopularyzować wiedzę za pośrednictwem mnóstwa specjalnych podręczników. U nas, natomiast, grafika jeszcze w kolebce spoczywa, dlatego też i taki naprz. kopista, jak pan Śliwek, droży się swą szczupłą wiedzą w obawie aby konkurencji sobie nie stworzyć. No i ze swego, egoistycznego punktu widzenia, ma rację. Póki nie ma konkurencji, póty będzie dobrze zarabiał. A propos: czy dniówkę obecnie panu już podnieśli? -- zapytał kierownik artystyczny.

— Dotychczas, jeszcze nie, arcymistrzu — odparł z żalem Porajski. — Przypuszczałem, że objąwszy tutaj

czynności retuszera, otrzymam i stawkę odpowiednią, która akurat wynosi dwa i pół raza więcej od mojej płacy.

— A jakaż pańska stawka?

— Tylko dwieście bonów dziennie, wówczas gdy zwykle popychadło od zamiatania pobiera 240 bonów.

Kierownik artystyczny pokiwał ubolewająco głową i, patrząc z życzliwością na ignorowanego materiałnie pracownika, rzekł jakby z przekąsem:

— U nas, to — tak! Gdyby pan należał do Związku Zawodowego, zarząd Mennicy musiałby wypłacać panu stawkę, przyswojoną retuszerowi. Ale, że pan jest inteligentem, któremu się zachciało zostać „robociarzem“, to zarząd, choć z samych inteligentów złożony, a może właśnie dlatego, nie poczuwa się do należytego usytuowania pana na jego nowem stanowisku.

— A Związek nie przyjmie pana za swego członka — dodał po chwili arcymistrz. — Nigdzie bowiem dotychczas nie pracował pan jako retuszer, a zresztą i praktyki pan nie odbywał.

— W szkołach praktykowałem, na politechnice.

— Szkolnej praktyki i teorii nasze Związki Zawodowe nie uznają. Można i dwie politechniki ukończyć, a jednak przepisana praktykę i „terminowanie“ odbyć trzeba. Na to nic się nie poradzi! Gorsza ta okoliczność, że pański budżet pewno końca z końcem nie wiąże.

— Dorabiam, jak mogę, godzinami nadnormowemi.

— Kosztem zdrowia i czasu — odpowiedział Fiszler. — Znam ja to, znam.

— Gościem się jest w kółku rodzinnem — uskar-

żał się Porajski życzliwemu roznówcy. — Wyszedłszy z domu o godzinie pół do ósmej z rana, po ciemku, wracam do domu o godzinie pół do jedenastej wieczorem, a więc także po ciemku.

— Katorga, to prawda! Przypuszczam jednak, że Żbikowski odpowiednio płacę panu podniesie. Dobrze byłoby mu przypomnieć, bo może wprost zapomniał o panu.

Dużo kosztowało Porajskiego, aby przy okazji dyrektorowi technicznemu przypomnieć o swojej mizernej stawce. Żbikowski burknął coś swoim zwyczajem pod nosem i wyszedł z pawilonu.

Nadeszło wreszcie kolejne ogólne podwyższenie wszystkich płac robotniczych o 16 procent, dostali i pracownicy biurowi niewielkie podwyżki kilkoprocentowe. a Porajskiemu stawki dziennej nie zwiększono.

Nowicjusz wywnioskował wówczas, że dyrekcja techniczna albo chce go w stałości charakteru wypróbować, albo zupełnie do pracy w Mennicy zniechęcić.

Postanowił się nie dać i wytrwać na zajętem stanowisku. Pierwszy z rana rozpoczynał pracę i, ubrawszy się w długi niebieski kitel roboczy, zabierał się do retuszowania negatywów lub do opiłowywania i czyszczenia płyt cynkowych.

Wówczas bowiem gdy kopista Śliwek potrafił się spóźnić o kilkanaście minut, gdy wreszcie po przyjsciu czekał aż się dostatecznie piece w pawilonie ogrzeją, następnie brał się do mycia rąk i twarzy, czego w domu nie zdążył był załatwić, a w końcu przyrządzał sobie herbatę i spożywał śniadanie. — Porajski, przychodząc zawsze o czasie i będąc już po śniadaniu, brał się zaraz

do pracy, tak mu bowiem nakazywało sumienie uczciwego pracownika.

— Co pan taki jest gorliwy? — wyszydzał go Śliwek, który rozpoczynał zwykle dzień pracy dopiero o godz. 10-ej przed południem, t. j. w porze, kiedy schodziły się do Mennicy władze naczelne. — Za to jeszcze nikomu więcej nie zapłacili i panu nie zapłacą...

Bolały Janusza podobne uwagi, ze zgorzeniem bowiem patrzył na lekceważące traktowanie przez niektórych pracowników Mennicy czasu, za który płacił przecież Skarb państwa, tak ubogi w środki pieniężne. Porajski, jako dobry patriota, bolał nad tem, ale przeciwdziałać mógł tylko przykładem osobistym, czego nie zaniedbywał, co jednak przez towarzyszy pracy nie zawsze było dobrze widziane.

Inny jeszcze zwyczaj naganny panował w Mennicy, a mianowicie ten, że w ciągu ośmiu normalnych godzin pracy większość pracowników tylko przyrządzała, narządzała i przygotowywała się do pracy a produkowała z pewną powściągliwością, aby wywołać potrzebę pracy nadnormowej, za którą przecież znacznie więcej płacono.

Dzięki temu systemowi, do którego każdy nowoprzyjęty pracownik musiał się zastosować, wszystkie niemal pawilony menniczne pracowały do godz. 10-ej wieczorem, co przynosiło pracownikom poważne dochody.

— „Wlazłeś między wrony, — krakaj, jak i one!“ — powiedział kiedyś kopista Śliwek, zniewalając Porajskiego do mniej gorliwego traktowania swoich obowiązków.

Żadny jednak ciągle roboty retuszer fotograficzny

zaprzyjaźnił się z kierownikiem artystycznym, który coraz częściej zaglądał do pawilonu, i namówił go na wspólne tłumaczenie niemieckich podręczników graficznych na język cudeński. Godzinami całem przesiadywali obaj nad tą pracą, a do pomocy wciągali i mistrza Miodnickiego, który dużo cennych wskazówek praktycznych dodawał od siebie.

A, że Fiszer niezawsze rozporządzać mógł wolnym czasem, Porajski, niewiele mając zajęcia, umyślił stworzyć Książnicę Koleżeńską, złożoną z dzieł zarówno treści naukowej, jak i beletrystycznej, a stworzyć ją „z niczego“, wspólnymi siłami pracowników Mennicy.

W tym celu wystąpił przedewszystkiem do zarządu z prośbą o zezwolenie zebrania pomiędzy ogółem pracowników książek, leżących w domu najczęściej bez użytku, a także — składek pieniężnych w miarę możliwości i chęci. Przyczem ofiarowane dwie książki lub sto bonów gotówką miały dawać ofiarodawcy tytuł członka - założyciela Książnicy Koleżeńskiej przy Mennicy państwowej.

Zarząd Mennicy na wniesione przez Porajskiego podanie w kilka dni odpowiedział przychylnie i projektodawca w chwilach wolnych od pracy zajął się gorliwie urzeczywistnieniem swojej idei. Niezwłocznie rozpiisał w kilkunastu egzemplarzach stosowną odezwę, nawołującą wszystkich pracowników i urzędników do zapisywania się w poczet członków - założycieli, poczem osobiście rozlepił tę odezwę po wszystkich pawilonach i podwórcach Mennicy. Następnie w każdym niemal pawilonie znalazł chętnych, którzy zajęli się zbieraniem darów w swoim najbliższym środowisku

i w tym celu doręczył im specjalne listy ponumerowane. Akcja powoli się rozwijała.

W krótkim czasie Porajski miał możność przekonania się, że w ocenie doniosłości takiej instytucji użytku ogólnego, jaką miała być Książnica Koleżeńska przodowali nie ci, co wyśmienicie sytuowani byli materialnie, a tylko ci pracownicy, którym życie duchowe nie było obojętne...

Wówczas gdy młodzi, ale inteligentniejsi pracownicy fabryczni chętnie pośpieszyli ze swą ofiarnością, — starsi, nawet najlepiej uposażeni, jak naprz. maszyniści i „umdrukierowie“ z pawilonu litograficznego, grosza złamanego na wspólny cel dać nie chcieli.

— Co ja będę miał z tego? — pytał niejeden solidny majster.

— Będzie pan miał możność czytania książek...

— Ja nigdy nic nie czytam, chyba gazetę, a i to szkoda na taką bibułę pieniędzy.

— Żałuję pana szczerze... Ale toć dla kolegów należy coś zrobić dobrego.

— A cóż to ja filantrop jaki, czy Rotszyld? Sam ciężko pracuję i darmo mi nikt nic nie da.

Porajski aż zżymał się na takie niekulturalne traktowanie sprawy i, nie mogąc pohamować swego oburzenia, zauważył:

— Ale na knajpę pan majster nie żałuje i w gronie kolegów chętnie straci kilka setek „u Małgosi“.

— A stracę, gdy mi się tak spodoba! Swoją krwawicę stracę i nikt mi tego nie ma prawa zabronić...

Natomiast wszyscy urzędnicy zarządu, nie wyłączając samego prezesa, oraz pracownicy obu dyrekcji i kontroli składali nie tylko książki, ale i gotowiznę.

ofiarując jednocześnie swą pomoc przy zakładaniu fundamentów pod przyszłą koleżeńską placówkę oświatową.

Prezes Podborski, który niemal codziennie zwiedzał główne pawilony mennicze, doceniał wagę tworzącej się Książnicy Koleżeńskiej i, zauważywszy podczas swych odwiedzin inspekcyjnych całe stosy książek, piętrzące się w pawilonie fotograficznym, polecił dyrektorowi Chwyrowskiemu kupić specjalne szafy biblioteczne i ustawić je do dyspozycji Porajskiego w kasynie menniczym. Jednocześnie prezes pozwolił nieoprawione książki oddać do introligatorni mennicznej i — sprawa książnicy stała już na dobrej drodze.

Jeden z urzędników zarządu, widząc jak obojętnie niektórzy pracownicy menniczni traktują tę kulturalną akcję koleżeńską, wpadł na oryginalny pomysł i, ofiarowawszy na rzecz Książnicy butelkę spirytusu, zaproponował puszczenie jej na loteryj w cenie po 20 bonów za bilet.

Janusz przyjął ten projekt z pewną rezerwą, wahał się bowiem drogą rozpajania bliźnich zdobywać środki na kupno książek. Uległ jednak namowie i puścił na sprzedaż sto biletów dwudziesto - bonowych. Sprzedażą zajęła się jedna z podkontrolerek. W pół godziny już ani jednego biletu nie miała i wpadła do pawilonu fotograficznego po drugą serję. Porajski sprokurował drugą setkę biletów, która rozeszła się równie szybko, a że jeszcze nie wszystkie pawilony zdołała obejść kolektorka, i pracownicy wciąż jeszcze dopominali się o bilety. Janusz jeszcze jedną setkę tych biletów przygotował, ciesząc się, że choć tą drogą przysporzy funduszu Książnicy Koleżeńskiej.

Pozadaną przez wszystkich butelkę alkoholu wygrał jeden z pracowników fabrycznych, który ani słyszeć nie chciał o propozycji jednego z kolegów aby wygrany za 20 bonów fant, ofiarował na powtórna loterję lub amerykańską licytację.

— Dwadzieścia bonów dałem na Książnicę, butelkę sprawiedliwie wygrałem, i oddawać jej nie mam potrzeby.

Pewnego dnia przyszedł do pawilonu fotograficznego dyrektor Żbikowski i, zwracając się do obecnego tam Fiszera, który rozmawiał z Porajskim, piłującym kawałek blachy, powiedział z wielkiem ukontentowaniem:

— Jutro fotografia otrzyma do zdjęcia rysunki banknotów stubonowych.

I zwracając się do mistrza Miodnickiego dodał:

— Trzeba będzie z nadzwyczajną dokładnością tych zdjęć dokonać, aby ani jednej kreseczki, ani jednego punktu na negatywie nie zgubić.

— Nareszcie więc ta ciekawa robota do nas przechodzi! — zauważył Porajski.

— Odbieramy ją Weideckiemu, ale z trudem. Zębami i pazurami chciał ją przytrzymać, a że mu się nie udało, to oryginałów rysunkowych nie chce nam zwrócić.

— Mało się to obłowił na tej robocie! — oburzył się Miodnicki. Trzy olbrzymie kamienice sobie kupił, tak umiał zdzierać!

— Darł, gdy się dało — wtrącił Fiszera. — Ale po-

co nam czyni trudności? Z czego my zdjęcia zrobimy? Muszą być przecież jota w jotę identyczne z produkcją Weideckiego, inaczej publiczność będzie nasze banknoty uważała za fałszywe.

— Podobno już są w obiegu fałszywe banknoty. bo u Weideckiego jakieś klisze, jak mówią, zginęły.

— To jest tajemnicą naszej sławetnej kontroli, która przecież pilnowała produkcji banknotów u Weideckiego... O tem się głośno nie mówi, bo kontrola sama nie wie ile i jakich klisz zginęło...

A, zwracając się do Fiszera, Żbikowski dodał:

— Będziemy musieli porobić zdjęcia z tych kopii rysunków, któreśmy zdołali odebrać Weideckiemu. Właśnie je w rysowni korygują. Zechce pan wziąć, panie Karolu, w swoje ręce sprawę wyprodukowania pierwszej serji tych banknotów od samego początku aż do końca: od rysowni przez fotografię, kliszarnię aż do narządzenia gotowych klisz na maszynach, dobrania farb, wydrukowania, ponumerowania i wreszcie — pocięcia.

— Napewno zrobimy lepiej i dokładniej, niż Weidecki, bo on w ostatnich czasach okropnie partaczył.

— Czyby nie należało jednakże zaprojektować przy tej sposobności odrazu nowego typu banknotów, zamiast naśladować typ Weideckiego? — wtrącił Porajski. — Tembardziej, że podobno już te banknoty podrabiają fałszerze...

— Ja też byłem tego zdania — przyznał Żbikowski. — Ale ministerjum się uparło i zdecydowało, abyśmy takie same banknoty bili w dalszym ciągu. Podejrzewam tu zakulisową robotę Weideckiego, któremu się zdaje, że Mennica państwowa nie będzie w stanie go naśladować bez tych oryginałów, których nam nie chce

zwrócić, a eo ipso on z powrotem tę robotę otrzyma...

— To też, panowie! — zwrócił się dyrektor do wszystkich obecnych. — Honor Mennicy wymaga abyśmy pokazali co umiemy i produkcji banknotów odebrać sobie nie pozwolili...

— I, nie damy się! — z zapalem wyrwał się Porajski.

— A głównie mistrz Miodnicki pokaże nam co umie — zachęcał Fiszer. — Reszta, to bagatela.

— Panie Januszu, proszę się zająć i biurowością trochę. Zaprowadzić trzeba oddzielną kontrolkę klisz banknotowych. Niech pan sprowadzi sobie z magazynu książkę zapotrzebowań i na żądanie pana Miodnickiego proszę stale wypisywać potrzebne materiały, prowadzić kontrolki robotnicze i t. d. — czynności kancelaryjne spełniać...

Co zarządziwszy, dyrektor Żbikowski opuścił pawilon fotograficzny.

VII.

W gabinecie dyrektora Chwytwoskiego nadradca ministerjalny, pan Witold Słodkiewicz, wspólnie z obu dyrektorami Mennicy, omawiał sprawy zakupów.

— Tss, te drobne zamówienia na jakieś tam materiały pisemne, smary, lampy, krzeselka i t. d.—to mnie nie interesują,—cedził nadradca przez zęby, odsuwając cały stos papierów.—Zechcą panowie podawać mi do akceptacji ministerjalnej tylko poważniejsze zamówienia. przynoszące koszt stu tysięcy bonów... Wszelkie zaś zakupy do stu tysięcy panowie zaatwiać będą i nada!

sami, to jest za akceptacją tylko prezesa Podborskiego.

— Słucham, panie nadradco; — odparł służbowo Chwytowski.

— Zamówienia jednak, wydane przez zarząd Mennicy po dzień wczorajszy już akceptacji pana nadradcy nie podlegają?—informował się dyrektor Żbikowski.

— Prawo wstecz nie obowiązuje. A dużo panowie macie w danej chwili zamówień wydanych, a jeszcze nie wykonanych? — zapytał nadradca.

— O, tak... Bardzo dużo—pośpieszył z zapewnieniem Chwytowski.—Na papiery, na farby, na maszyny drukarskie i inne, na blachę cynkową i miedzianą, na budulec i t. d.

— Przed kilku dniami zaledwie poszło nowe zamówienie, o czym pan radca wie, zapewne, na dwadzieścia pięć maszyn drukarskich...

— Tss! Przypominam sobie... Ładny obiekt!—zauważył Słodkiewicz, uśmiechając się dwuznacznie...

— Onegdaj zarząd Mennicy przestał panu nadradcy referat o niezwłocznej potrzebie kupna nowego transformatora elektrycznego — wtrącił Żbikowski. Dołączono do tego referatu ofertę firmy Ignacy Medaljon...

— Tss!... Należało, proszę panów, jak zwykle, trzy oferty zebrać,—stosownie do przepisów...

— Jeden jedyny jest tylko transformator na zbyciu w Cudnie i bodaj w całej Ziemi Cudejskiej—zapewnił Chwytowski.—I to wcale niedrogi, jak na dzisiejsze czasy, bo zaledwie ma kosztować milion bonów...

— Tss, a co będzie, jeśli ja drugi znajdę?... I lepszy?...

— Pan nadradca znajdzie? — zapytał zdumiony wielce Chwytowski. — Doprawdy niewiem gdzieby

mógł się ukryć przed okupantami drugi transformator, skoro moje wyżły już dobrze węszyły po całym kraju...

— A jednak znajdę, zapewniam panów!—rzekł tajemniczo Słodkiewicz.

— Tss, ja nawet już znalazłem—dodał po chwili, składając papiery do teki.—I mogę panów zapewnić, że znacznie lepszy... dużo lepszy! Bo, o ile wiem, izolacja nawiniętych na te szpule, czy cewki, przewodników, jest rzeczą bardzo ważną!... Rozumie się, że będzie nieco droższy od transformatora tego tam Medaljona... Ale zato bez porównania będzie lepszy, bez porównania!..

— No, żegnam panów—rzekł wkońcu, biorąc kapelusz do ręki.—Do miłego widzenia!..

Nadradca wyszedł poważnym krokiem, odprowadzony do przedpokoju przez obu dyrektorów, żegnany z honorami.

— No i cóż ty na to?—zapytał Chwykowski przyjaciela po powrocie do gabinetu.

— Miałeś rację: on też chce żyć...

— Zważał się widocznie z jakim obcym dostawcą,—bo nie z naszym, ja ręczę,—i chce grubo na dostawie transformatora zarobić... Ty mnie rozumiesz?

— Ale skąd u diabła wytrzasnął transformator?

— W głowę zachodzę i nie wiem. Chyba z zagranicy go sprowadzą—przypuszczał Chwytowycki, — bo jestem pewien, że w kraju innego transformatora nie znajdzie.

— Niech sprowadza, niech też sobie zarabia. — Czort z nim! Tylko niech nam nie przeszkadza...

— Musimy jednak z tym łajdakiem dzielić się zarobkami.

— To się mówi: „trudno“... Tyle mamy w naj-

bliższej perspektywie sprowadzić różnych obiektów, że będzie się czem dzielić... A takiego cwaniaka dobrze jest mieć za sobą... Ale, a propos? Czy Słodkiewicz nie wyjawiał czasem chęci sprawdzenia inwentarza magazynów?

— Nie, a bo co?—zapytał Chwyrowski.

— Dobrze byłoby usunąć te olbrzymie ilości zakupionych farb, które się okazały do niczego... W razie czego byłaby chryja sraszna!...

— Masz rację, Konradzie. Nie tylko te nieszczęsne farby, ale i mnóstwo innego szmelcu trzeba przewieźć do Żabieńca, do składu papieru... Mamy tam obszerną pustą szopę, niech sobie te wszystkie wysortowane materiały bodaj do sądnego dnia leżą, a tu klucz oczów niczych nie będą... Ty mnie rozumiesz?

— A Wieloczyński już tam po magazynach nie szpera, nie węszy?—zapytał Żbikowski.

— Niby nie, bo do magazynów, stosownie do naszego rozporządzenia, nikogo nie wpuszczają. Ale zato on wszystko widzi z okien swego pawilonu, wychodzących na pierwszy podwórzec. I po dawnemu ciągle się wszystkim interesuje... Trzebaby go jakoś uspokoić.

— Nic łatwiejszego. Przeniosę go do pawilonu Nr. 9 na ostatni podwórzec i basta!—zdecydował Żbikowski.—A warcie zapowiedz, żeby o każdym jego kroku ci donosiła. Okiełznamy jegomościa i ani piśnie.

Załatwiwszy się w ten sposób z unieszkodliwieniem swej do niedawna „prawej ręki“, Żbikowski wyszedł.

Chwyrowski jął się załatwienia bieżących spraw biurowych, poczem przyniesiono mu obfity obiad, który

pracowity dyrektor spożywał z apetytem, nie przestając wysłuchiwania relacji, jakie zdawali mu podkomendni. —

Przed wieczorem zameldował się do Chwyrowskiego, jako do swego bezpośredniego zwierzchnika, komendant służby wartowniczej. Był to wysoki i tęgi mężczyzna w błyszczącym mundurze i w zawadjackim kapeluszu z kogucim pióropuszem, przypominającym średniowiecznego rycerza włoskiego z operetki, uzbrojonego w nowoczesne parabellum, wiszące ciężko u pasa.

— Proszę, co tam nowego, panie Smykałło?

Komendant warty, wszedłszy do gabinetu, zatrzymał się u drzwi, stanął na baczność i huknął grzmiącym głosem:

— Naogół dobrze, panie dyrektorze. Kradzieży nie zauważono, wypadków nie było, nieco opóźnień tylko zanotowano, jak zwykle...

— Że kradzieży nie zauważono, to nie dowodzi, że ich nie było—zaznaczył Chwyrowski.—Oj, kradną, panie Smykałło, kradną... Tylko, że nasza warta ciągle jeszcze nic nie jest warta...

— Dalibóg, panie Dyrektorze, moi podkomendni dobrze wytrzeszczają oczy na wszystkie strony.

— I uszy należy nadstawiać!... Ciągle panu to przypominam, jako komendantowi. Pan powinien wiedzieć nie tylko o tem, co ma za pazuchą każdy pracownik Mnicy, ale i to, o czem on mówi z towarzyszkami pracy i co ma na myśli... Pan mnie rozumie?

— Rozumiem, panie dyrektorze! Staram się jak mogę. Moi chłopcy—zuchy, a nie jeden jest urodzonym Szerlokiem Holmesem... Mam oto panu dyrektorowi do

zakomunikowania coś nie coś z podsłuchanych incydentów...

— Proszę, niech pan siada. Słucham — rzekł Chwytowycki, przysuwając się bliżej z fotelem.

Smyka łoś zniżył głos i zaczął poufny meldunek:

— Podkontrolerka Rozpychalska w bliższe weszła stosunki z trawiaczem Ładzińskim... Dzisiaj wartownik Czapła podsłuchał ich intymną rozmowę. Umówili się spędzić razem wieczór. Mają się spotkać przy wyjściu z Mennicy... Ale to chyba sprawa czysto prywatna, osobista?...

— Nic nie szkodzi,—zaopiniował Chwytowycki.— Posłać wartownika, niech wyśledzi gdzie i co będą robili...

— Rozkaz, panie dyrektorze!... Dalej: dziś z rana pawilon fotograficzny otwarto dopiero o godzinie 8-jej minut 32 z powodu nieprzybycia na czas kontroli. Z tego powodu pomiędzy starszym kontrolerem Udałowskim, a nowym pracownikiem Porajskim, który zwrócił uwagę Udałowskiego na zbyt późne otwieranie pawilonu.

— No, no, a co na to Udałowski?

— Udałowski oburzył się, odpowiedziawszy, że przecież sam nie będzie pawilonów otwierał, a Porajski mu odparł na to, że nie wchodzi w to, kto ma otwierać, zwraca się jednak do niego, jako do starszego kontrolera z interwencją, bo—jeśli kontroli nie chodzi o drogo płacony czas robotników, to jemu, jako pracownikowi, chodzi o zimno, jakie dokucza na podwórku przy oczekiwaniu na przyście kontroli, która się codziennie spóźnia.

— Dobrze mu powiedział. Złóż pan o tem raport, prześlę go prezesowi.

— Dalej: majster Orylski dziś głośno wykrzykiwał na podwórku przy budowie nowych pawilonów, że dyrekcja handlową kupuje kiepski budulec, że płaci zań niebывale wysokie ceny i, że dostawcy robią co chcą i jak chcą...

— Dobrze. Roztoczyć nad Orylskim baczniejszy dozór... To samo dotyczy zarządcy Wieloczyńskiego, który jutro będzie przeniesiony do ostatniego pawilonu. Donosić mi o nich — wszystko!

— Rozkaz, panie dyrektorze!

— Jednocześnie wziąć pod obserwację na mieście młodego Wieloczyńskiego, który pracował w mojem biurze, a od kilku dni jakoby na wzrok zachorował. Mieć go dobrze na oku i śledzić za każdym jego krokiem...

— Rozkaz, panie dyrektorze-

— Narazie wszystko? Żegnam pana, panie Smykajłło. A niechże nie mówią, że nasza warta nic nie warta. Pan mnie rozumie, panie komendancie?

Po wyjściu Smykajłły Chwytowski zapalił cygaro, które dziwnie nie pasowało do jego małej i młodej, choć dobrze utuczonyj twarzy i, pokręciwszy korbką telefonu wewnętrznego, kazał się połączyć z majstrem warsztatowym.

— To pan, panie Orylski? Proszę zaraz do mnie, do gabinetu, ale już! — zawołał rozkazująco.

Po upływie kilku minut wezwany wszedł do pokoju.

— Mój panie Orylski — zaczął dyrektor, patrząc z poć oka na majstra. — Podobno pan jesteś zdania, że

dostawcy niesumiennie wywiązują się z przyjętych zamówień?

— Niby tak, panie dyrektorze — bąknął ze zdziwieniem zagadnięty, — rzeczywiście materiał przychodzi kiepski, sękaty, deski wichrowate, popękane, albo całkiem mokre...

— Bardzo jestem rad, panie Orylski, że mnie pan uprzedza o lichym gatunku budulca... Ja muszę wiedzieć co dostawcy nam przemocą pakują, a sam przecież wejrzeć we wszystko nie mogę... Tylko, że ceny, jakie za materiały budowlane płacimy, — pan mnie rozumie? — nic a nic nie powinny pana obchodzić. A wszelkie rozmowy na ten temat z innymi pracownikami uważam za zbyteczne! Pan mnie rozumie?

— Ja z nikim, panie dyrektorze... — zaczął Orylski, lecz Chwykowski mu przerwał:

— Ja wiem, co mówię! I dlatego, powtarzam, jakiegokolwiek krytykowanie przez pana działalności władz dyrekcyjnych uważam za zbyteczne, panie Orylski!

I, patrząc znacząco w oczy delikwenta, dyrektor Chwykowski dodał, cedząc i podkreślając wyrazy:

— A jednocześnie poufnie pana przestrzegę: pilnuj się pan ze swojemi listami płacy... Za dużo podobno w nich „martwych dusz“ i za dużo „pofajerantów“, których... wcale nie było! Pan mnie rozumie?

Majster się zdetonował, zaczerwienił i, przestępując z nogi na nogę, odparł półgłosem:

— Zastosuję się do jednego i drugiego życzenia pana dyrektora.

— Radzę panu w pańskim osobistym interesie —

powiedział Chwytowycki przekonywująco, poczem za-
pytał:

— Okucia do mebli już pan otrzymał, panie
Orylski?

— Otrzymałem. Bardzo efektowne i bogate.

— Trzeba te meble na gwałt wykończyć. Mają
być niespodzianką dla pana prezesa... Za dwa tygodnie
muszą być gotowe.

— Oj, nie zdążę, panie dyrektorze!

— Musi pan zdążyć! Takiego głupstwa nie zrobi-
my panu prezesowi? Robotników wziąć więcej, „pofa-
jeranty“ dłuższe robić, ale faktycznie..., a zdążyć na ty-
dzień przed świętami trzeba koniecznie!

— Koszt duży — zauważył Orylski.

— Niech się pan tem nie martwi! Mennica nie
takie koszty wytrzymuje.

— Skoro pan każe, to się zrobi!

— Trzeba zrobić, panie Orylski, trzeba... Nasz za-
cny pan prezes wart chyba tego abyśmy trochę trudów
dlań ponieśli i zabiegów nie skąpilij.

— To się wie! — przyznał majster. — Porządne-
go mamy pryncypała i wszyscy go uważamy.
Za jedną drogą chciałem prosić pana dyrektora o mate-
riał na łóżeczko dla mego synka... Dyrektor Żbikowski
pozwolił mi użyć robociznę.

— No, dobrze, weź pan, co trzeba. Kiedy się je-
dnak o tem zgadało, to zrobi pan i dla mnie szafkę do
rzeczy, taką większą, solidną... Uważa pan — coś po-
rządniejszego.

— Może w tym guście, jak dla prezesa?

— O, o! Taką dębową, rozbieraną, gładką, angielską

ską, z okuciami. Już pan tam będziesz wiedział, panie Orylski... Tylko też muszę ją mieć na święta.

— Jak trzeba, to się zrobi. Będę musiał jeszcze ze dwóch stolarzy meblowych przyjąć, bo nie wydażę.

— To już ze Żbikowskim pan pogadaj. Jak trzeba, to trzeba! — zakończył Chwytwowski. — Skarb państwa przez to jeszcze nie zubożeje...

Nazajutrz z rana do gabinetu Chwytwowskiego uchylił drzwi dostawca Medaljon i zapytał:

— Czy pan pozwoli, panie dyrektorze?

Nie czekając przyzwolenia, wszedł, zamknął drzwi za sobą i bez wstępu zakomunikował:

— Już nie dostarczę tego transformatora...

— Dlaczego? — zapytał Chwytwowski. — Czy dlatego, że jeszcze oferta pańska przez ministerjum nie zatwierdzona?

— Nie. Ofertę trzeba wycofać. Już ten transformator jest kupiony dla wojska, podobno.

— Dla wojska? Kto go kupił? — dopytywał Chwytwowski.

— Kto? Nie wiem kto. Jakiś tam... katolik.

— No, więc?

— For baj! — Przepadło! Bo drugiego transformatora trzeba dopiero poszukać chyba zagranicą.

— Czy rzeczywiście w całej Rzeczypospolitej Cu-deńskiej niema drugiego transformatora na zbyciu? — upewniał się Chwytwowski.

— Skąd ma być? Niema. Czy już nie mówiłem panu, że to unikat, że to brylant! Jaki tam zresztą bry-

lant? Stary szmeln po okupantach, co go w okopach trzymali na froncie i przez niego prąd po drutach kolczastych puszczali.

— Czekaj pan! — przerwał Chwykowski. — Jestem w domu! Pan wiesz? Był tu u nas wczoraj nadradca Słodkiewicz i dał do zrozumienia, że ma drugą ofertę na transformator, jakoby znacznie lepszy od pańskiego, no i — droższy...

— To i ja jestem teraz w domu! — zawołał Medaljon w podnieceniu wielkiem. — Szyję daję, że to ten sam transformator! A g a n e f! A rozbójnik! I to — sam pan nadradca! Już teraz wiem! Ja już wszystko wiem! Ja miałem nieostrożność napisać w ofercie — pan pamięta? — „loco skład na Połajance“. Aj myszynie! Jaki ja byłem głupi! Czy to są dwie Połajanki pod Cudnem? — Jedną! To on sobie, ten pan nadradca, posłał człowieka, odnalazł skład, odnalazł transformator, stargował, podstawił jakiegoś znajomego goja, niby dostawcę dla wojska i — szlus! A rezultat ten, że Mennica zapłaci za tę przysługę nie milion, a półtora.

— Dlaczego nie dwa miliony, albo dwa i pół? — poprawił Chwykowski. — Przecież transformator jest „dużo lepszy i droższy“. Mennica może płacić. A pan nadradca ma dobry apetyt.

— I spryt — dodał Medaljon. — Aj, jaki spryt!

— Force majeure, nic nie poradzimy — rzekł po chwili rozmyślania dyrektor Chwykowski. — On też musi żyć!

— Ma pan rację, panie dyrektorze. To się mówi: „trudno“ i szuka się innego interesu... Mam motorki elektryczne, półkonne, maleńkie. Dużo motorków.

— Nie potrzebujemy.

— To nic, niech idą na skład...

— Już i tak mamy zawałone magazyny różnemi rupieciami...

— Co to szkodzi? Będzie więcej! Czy to takłe małe motorki dużo zajmą miejsca? Towar, to dziś całe bogactwo, — zauważył Medaljon.

— Trzymaj go pan u siebie, na pasek. Mennica paskować motorami nie będzie.

— POCO paskować? Można je użyć...

— Do czego?

— Choćby do wentylatorów, — poddawał myśl dostawca. — W pawilonach pewno duszno. Ciężkie powietrze. Szkodzi robotnikom. Zdrowie robotników to rzecz bardzo ważna w dzisiejszych czasach.

— Wentylatory, pan powiadasz?

— No, dlaczegóżby nie? Robotnicy wdzięczni będą za świeże powietrze. A my odbijamy sobie stratę na transformatorze.

— Dobra! — rzekł Chwytyowski zdecydowany. — Pisz pan ofertę. A drogie? — zapytał.

— Co mają być drogie? Tańsze przecież od transformatora.

— Złóż pan ofertę na taką ilość motorków, aby nie kosztowały więcej nad sto tysięcy.

— To dużo będzie za tę sumę? Może dwa najwyżej. A ja ich mogę mieć bardzo dużo.

— Później dostarczy pan drugą partję znowu za sto tysięcy i jeszcze za sto tysięcy i znowu jeszcze, aż do skutku.

— Kiedy „później“?

— No, co parę dni, bodaj nawet codziennie — zdecydował dyrektor Chwykowski.

— Gemacht, zrobione! — odparł z zadowoleniem pan Ignacy Medaljon i wyszedł z gabinetu, pocieszony po stracie transformatora.

Tegoż dnia o godzinie drugiej po południu komitet, organizujący Zrzeszenie Pracowników Mennicy Państwowej, zwołał więc wszystkich urzędników, pracowników i robotników zakładu.

Zebranie odbyło się w obszernej sali kasyna mennicznego, w obecności prezesa i członków zarządu, oraz przydzielonego do Mennicy delegata ministerjalnego, nadradcy Słodkiewicza. Zaproszony na wiec wiceminister Skarbu z dyrektorem departamentu kredytowego w ostatniej chwili telefonicznie wyrazili żal, że z powodu nadzwyczajnej sesji przyjechać nie mogą.

W imieniu komitetu organizacyjnego z obszernym przemówieniem wystąpił dyrektor Chwykowski, rozwodząc się szeroko o doniosłych celach Zrzeszenia i pożytku, płynącym stąd dla pracowników Mennicy. Chwykowski mówił płynnie, potoczyście, przekonywająco. Wyliczał niepomierne korzyści, jakich spodziewać się mogli zrzeszeni po kooperatywie, która zaopatrywać ich będzie we wszystkie absolutnie produkty codziennej potrzeby, poczynawszy od chleba, a skończywszy na odzieży. Wykazał dobrodziejstwa kasy wzajemnej pomocy, która — funkcjonując przy Zrzeszeniu — będzie mogła, bez uciekania się o pomoc materialną do zarządu Mennicy, udzielać potrzebującym bezprocentowych po-

życzek, a w razie nieszczęścia, czy śmierci — i zapomóg bezzwrotnych. W łonie Zrzeszenia miał powstać specjalny komitet kulturalno-rozrywkowy, który miał dostarczyć pracownikom Mennicy godziwej rozrywki poza pracą i t. d. i t. d.

Zebrani pracownicy z pewnem zainteresowaniem słuchali elokwentnych wywodów Chwytwoskiego dopóki mówca nie przeszedł na temat wspólnego dążenia wszystkich zrzeszonych do ogólnego podniesienia poziomu etycznego pracowników Mennicy. Gdy projektodawca dość zręcznie wywodził jak to wszyscy zrzeszeni winni będą roztoczyć baczny nadzór wzajemnie nad sobą, — na sali dał się słyszeć dyskretny pomruk niezadowolonia. A, gdy mówca zaproponował zaprzysiężenie się zrzeszonych na to, że jakiegokolwiek objawu złej woli tolerować wśród zrzeszonych nie będą, — rozległy się głosy:

— To będzie zrzeszenie szpiclujące!

— To dobre dla naszej warty!

— Niech się sami wartownicy zrzeszają!

Uwagi powyższe, dość głośno wyrzeczone, zbiły z tropu mówcę, który zaproponował zebrany wypowiedzenie się na temat proponowanego zrzeszenia.

Wystąpił wtedy maszynista Pańkowski i wygłosił swoje zapatrywanie na tę sprawę, dowodząc, że przede wszystkim ogół pracowników, należąc w większości do Związków Zawodowych, nie bardzo chciałby obciążać budżetu swego nowemi składkami, jakie wypadłoby wpłacać na rzecz Zrzeszenia. To raz. A powtóre, że wzajemne szpiegowanie się towarzyszy, zarówno on, Pańkowski, jak zapewne i wszyscy jego koledzy, uważają za rzecz wysoce niekoleżeńską i nieetyczną i dlate-

go wątpi, aby to Zrzeszenie miało mieć zwolenników.

— Do luftu z takim zrzeszeniem! — zawołano ze wsząd. — Ma rację Pańkowski! Co to my, szpicle jesteśmy? Niech warta wyłapuje tych co kradną, bez żadnych względów dla nikogo!

Aż nadto było widoczne, że projekt Zrzeszenia odrazu się zdepopularyzował.

— Przewidywałem, że tak będzie — szepnął Żbikowski do ucha Chwytowskiemu.

— I co tu można dobrego zrobić przy takim poziomie kulturalnym! — skarżył się Chwytowski półgłosem prezesowi Podborskiemu i nadradcy Słodkiewiczowi.

A, zwracając się do zebranych, zaproponował im aby projekt powoli rozważyli i w ciągu tygodnia każdy z pawilonów aby obrał delegatów, celem ewentualnego wprowadzenia poprawek do statutu Zrzeszenia, co w ściślejszem gronie będzie niebawem dokonane.

Szlachetnie powzięte zamiary umoralnienia pracowników Mennicy przez dwóch „nieskazitelnych ideowców“, Chwytowskiego i Żbikowskiego, na tem wystąpieniu się skończyły i wznawiane już więcej nie były.

VIII.

Minęły święta Bożego Narodzenia, święta zwykle radosne, wesołe, najmiłsze bodaj ze wszystkich świąt roku, szczególnie dla tych, którzy nie są zmuszeni krępować się zbytnio wydatkami, tak nieodłącznymi z okresem przedświątecznym.

Inteligencja cudeńska wiedziała o tych świątach jedynie z kalendarza. Ogólna drożyzna, jaka się wzmo-gła, i niesłuchanie wysokie ceny sprzedawanych z pod

kontuaru sklepowego najniezbędniejszych produktów, jak: mąka, cukier, masło i jaja, — wielu, bardzo wielu cudniamom uniemożliwiły nie tylko upieczenie kawałka tradycyjnego ciasta świątecznego, ale nawet zaopatrzenia się w jakie takie zapasy żywności na czas świąteczny dla wielu rodzin było wprost niedostępne.

To też święta były głodne, chłodne i oplakane dla jednej części ludności, a syte i wesołe tylko dla wybranych, — dla ludzi pracy fizycznej, dla robotników, no — i dla kupczących, a głównie — dla paskarzy.

Gratyfikacja dwutygodniowa, jaką otrzymali przed świętami pracownicy Mennicy, a wynosząca średnio po 10.000 bonów na osobę, pozwoliła każdej rodzinie na wyprawienie, co się zowie, hucznych świąt Narodzenia.

Panie majstrowe, mechaniczne i inne żony sfery robotniczej skrzętnie rozkupiły ryby, indyki i szynki, jakie dostarczyli na rynek cudeński poczciwi kmiotkowie, którym z łaski parlamentu chłopskiego i rządu „robotniczo-włościańskiego“ nieźle się działo na odrodzonych ziemiach cudeńskich.

Kmiotkowie od ust sobie odjęli nadmiar darów bożych i dostarczyli je wygłodniałym mieszcuchom na święta. Dobry mieli zbyt, z góry zapewniony po sklepach paskarskich, które wiedziały, że kto jak kto, ale każda pani robotnikowa kupi czempredzej coś dobrego w obawie, aby jej nie uprzedzono i dobrze zapłaci bez targu, bo ją stać na to, aby się targować niepotrzebowała. To też rozchwyte ryby, drób i zwierzyna znalazły się na stole robotnika, który jak Cudno Cudnem, nigdy takich świąt jeszcze sobie nie wyprawiał. Wystarczyło na wszystko: były i baterje różnokolorowych

wódek i likierów, były i pierniki, i bakalje i ciasta. Dzieci robotnicze choinki miały śliczne i uciechy co niemiara.

Nareszcie robotnik cudeński doczekał się świąt, prawdziwie chrześcijańskich, nareszcie i on poczuł, że nie tylko dla ciężkiej pracy jest stworzony!

Janusz Porajski, choć był robotnikiem, lecz jako nowicjusz, otrzymał tylko jednotygodniowy zarobek tytułem gratyfikacji, co mu wyniosło zaledwie 1200 bonów. A i te trzeba było wydać niezwłocznie na podzielówki i nowe buciki dla dzieci. Musiał dzięki temu, jak zresztą większość inteligentów cudeńskich, poprzestać na skromnej wieczerzy wigilijnej, bo tylko ze śledzi i zupy grzybowej złożonej. Zamiast choinki, jarzącej się świeczkami, rodzicom i dzieciom, lepsze czasy wspominającym, świeciły łzy w oczach, a ciasta i pierniki zastąpił z powodzeniem już nie chleb powszedni, „komitetowy“, razowy z obierkami ziemniaczanemi upieczony, a z prawdziwej mąki chleb jasny, pyłowy, który wszystkim niezwykłe smakował.

Minęły święta, Nowy Rok nadchodził i nowe nadzieje niósł na skrzydłach czasu.

Rok stary, brzemienny w troski i kłopoty zegnało grono pracowników mennicznych w ulubionej knajpie „u Małgosi“. Żegnano go bez żalu za odchodzącym, nie żałując również pieniędzy na godne powitanie nowego zwiastuna czasu. Gościli bowiem wśród siebie panowie majstrowie i mechanicy nie tylko swoich najbliższych zarządców, ale i dyrektora Żbikowskiego który wraz z inżynierem Mangołowem punktualnie o godz. 11 przed północą zajechał przed knajpkę samochodem mennicznym.

W zadymionym obszernym „gabiniecie“ u Małgosi

hulaszczy rozgwar panował już od dwu godzin, gdy pośród „menniczaków“ zjawił się Żbikowski.

Jak jeden mąż powstało bractwo, już dobrze podchocone i huknęło z całych piersi:

— Niech żyje pan dyrektor!

— Zdrowie naszego dyrektora! Niech żyje!

Posadzono Żbikowskiego na honorowem miejscu niezajętem, obok niego Mangołowowi ustawiono nakrycie i przerwana libację kontynuować zaczęto nieco spokojniej.

— Musi szanowny pan dyrektor nas dogonić i pan inżynier także, bośmy już zdążyli kilkanaście butelek opróżnić — zauważył majster Mundrak, napełniając Żbikowskiemu olbrzymi kielich śliwownicy.

Mundrak z właściwym sobie tupetem starał się podbić życzliwość swych towarzyszy pracy. To też i w dzień sylwestrowski wślizgnął się w ich uczujące grono, mając w zanadrzu dla każdego i dobre słowo, i żart ujmujący i dowcip. Częściowo udawały się te pokojowe zabiegi sprytnemu człowiekowi, przeciw któremu tak gremjalnie wystąpili byli koledzy. Tylko nieprzejednani z ukosa patrzyli na przypodchlebianie się Mundraka, robione dość wulgarnie, i od czasu do czasu ostrzyli sobie języki na znienawidzonym towarzyszu pracy.

Fetowano dyrektora z nadzwyczajną gościnnością.

Pracownicy wzajemnie chcieli się przegadać, a każdy pragnął bawić rozmową dyrektora i jak najwięcej absorbować sobą jego uwagę.

Najwyszukańszemi przekąskami obstawiono Żbikowskiego i Mangołowa, zniewolono ich do spełnienia kilku kolejek wódek i wreszcie po sutej wieczerzy, z ma-

jonezu i sarniny złożonej, na krótko przed północą wniesiono kilka butelek szampańskiego i napełniono nierzadko w braku odpowiednich kieliszków — cienkie szklaneczki od piwa.

Z wydzwonieniem przez zegar godziny 12-ej wszyscy z miejsc powstali, a Pańkowski rozpoczął jakąś nonoworoczną orację wierszowaną. Wnet mu jednak przerwały pijane już głosy Bogatka i Kielbasińskiego:

— Wiwaaat Nowy Rok!

— Hurra! Hurra!

Podchwycili te okrzyki inni towarzysze i zakrzyczeli usiłującego przemawiać Pańkowskiego:

— Wiwat! Niech żyje Nowy Rok!

— Wiwat! Niech nam się dobrze dzieje!

— Wszystkim!

— Zdrowie pana dyrektora! Wiwat!

— Niech żyje nasz ojciec kochany! — zawołał rozczulony Kielbasiński, a opróżniwszy szklaneczkę, podszedł do Żbikowskiego i z namaszczeniem pocałował w rękę pryncypała, który z tytułu wieku mógłby być jego synem.

— Brawo, kielbasa, brawo!

— Niech żyje nasz kochany dyrektor! — wrzeszczano entuzjastycznie.

— I pan inżynier niech żyje! Porządny chłop, da libóg, choć moskał.

— Niech żyje inżynier! Wiwat!

Napełniono powtórnie szklaneczki musującym winem, które w pośpiechu przelewano niedbale i znów nowe wiwaty się rozległy, nowe pokrzyki ochryple spotężniały, bo nowe toasty wzniesiono za zdrowie pana prezesa Podborskiego, który jest „jakby dziadkiem pocz-

ciwym wszystkich pracowników“, i jeszcze raz — za zdrowie dyrektora Żbikowskiego „niby za ojca rodzzonego, surowego, ale sprawiedliwego“ wypito.

Spełniwszy ostatnie toasty, Żbikowski zbierał się do wyjścia, tłumacząc się, że obowiązki powołują go z powitaniem Nowego Roku jeszcze gdzieindziej.

— Już i tak się opóźni pan dyrektor...

— Nie, panowie, zdążę jeszcze na czas — zapewnił ze śmiechem Żbikowski.—Ja tam zegar o trzy kwadransy cofnąłem...

— Aha, rozumiem! — domyślał się Mundrak, podając palto dyrektorowi.

Żbikowski, pomimo usilnego zatrzymywania go przez podnieconych pracowników, pożegnał się, skinął na Mangołowa i odjechał.

Chwila ciszy legła na smugi siniego dymu, ścielące się w dusznej atmosferze pokoju restauracyjnego.

— O, psiatreść, szoferów nie ugościliśmy! — zauważył ktoś z obecnych.

— Prawda, i oni przecież ludzie...

— A wszystkiemu Mundrak winien! — krzyknął Kiełbasiński, nie mogąc powstrzymać swego antagonizmu do znieawidzonego majstra.

— Dlaczego ja, niby?

— Boś pan wszystkich zagadał...

— Basował Żbikowskiemu — ktoś rzucił wyzywająco.

— I Mangołowowi...

Mundrak się uniósł. Oczy mu się zaiskrzyły.

— Ja basowałem?

— Dajcie mu spokój, panowie! — usiłowano mitygować.

— A tak, podlizujesz się jak możesz — krzyczał jeden z antagonistów.

— Nie ja przecież Żbikowskiego w rękę całuję! — odciął się napastowany.

— Tybyś, draniu jeden, i w ...pę go pocałował! — krzyknął Kielbasiński.

— Widzę, żeście już dobrze się włali... Idźcie spać! Ja pierwszy dam dobry przykład — rzekł Mundrak przezornie i, skłoniwszy się wszystkim ostentacyjnie, brał już za klamkę.

— Te, widzisz go! A rachunek kto będzie płacił?

— Zapłaćcie, to się porachujemy — rzucił Mundrak, drzwi zamykając za sobą.

— A zaraz! Będziemy go widzieli...

— Pies z nim tańcował! — krzyknął stary Józwiak. — Panowie, jeszcześmy w tym roku wódki razem nie pili.

— Racja! Mądrze gada.

— Panie kelner, sprzątnąć to wszystko zeszłoroczne. Zaczynamy od początku!...

— Od wódki i przekąsek. Jazda!

— Ale, już!...

Towarzyską libacją „menniczaków“ rozpoczęła się na nowo.

— Jesteś, Lodziu, to dobrze! — rzekł Żbikowski, całując młodą dorodną blondynkę. — Stróż cię wpuścił i uprzedził, że wrócę przed 12-tą, prawda?

— Uprzedził. Ale już blisko godzinę na pana czekam... Nudziłam się.

— I nic nie jadłaś? — zapytał, wchodząc do pokoju. — Ustawiłem umyślnie wszystko na stole, abyś się pożywiła.

— Na pana czekałam — rzekła z minką zadaną.

— Głuptasku mój, a poco? Przecież wiedziałaś, że będę z mechanikami na kolacji..

— To siadaj teraz i jedz — zachęcał Żbikowski swoją kochankę. — Oto wiśniówka słodka, którą tak lubisz...

— A pan nie będzie pił ze mną?

— Owszem czarną kawę pić będę z likierem. Tylko się śpiesz, Łódzka, z jedzeniem, bo za dziesięć minut Nowy Rok nadejdzie. Likierem go powitamy.

W pół godziny później w alkwie sypialnej dyrektora Żbikowskiego toczył się następujący dialog:

— Powiedziałem mamie, jak pan kazał, że u koleżanki będę Nowy Rok witała i, że u niej na noc pozostanę.

— Dobrześ zrobiła, maleńka.

— Ale ja się tak boję, tak się boję...

— Czego się boisz, głuptasku? Żeby ci matka futrówki nie sprawiła?

— E, nie tego... Mama się nie dowie, a zresztą mi wierzy...

— A czego?

— Niby pan nie wie, czego?

— Już swoje lamenty zaczynasz... Takie dziecko o czem to myśli!...

— Osiemnaście lat, to już nie dziecko!

— Daj spokój Łódzka...

— Tak! Panu to nic... A cóżbym ja wtedy poczęła, biedna dziewczyna?...

— Zamażbym cię wydał i basta!

— Nie wiem ktoby mnie wówczas chciał?

— A choćby ten twój wartownik, narzeczony...

— Co? To pan go nie zna! On jest honorowy...

— Ooo!...

— A tak! On mnie i teraz już znać nie chce...

— No?

— Przewąchał, widocznie, pismo nosem dlaczego go stąd usunięto... Wiadomo: służba!... Musiał ustąpić dla kawałka chleba i teraz już mnie nie chce...

— To cię z kim innym ożenię...

— Łatwo powiedzieć... A! ja Chromeckiego tak kochałam...

— A teraz mnie kochasz prawda?

— ?...

— Nie bądź głupia! Znajdę ci takiego fajnego kawalera, że będziesz sobie panią majstrową, solidną, do samej śmierci...

— ...

— Taki wartownik, to nie partja. Licho zarabia... Prawie ciągle na służbie... Nie wielką miałabyś z niego pociechę...

— Nie tak to łatwo wyjść zamaż bez miłości...

— Nie dla miłości dziewczęta zamaż wychodzą, a dla bytu!

— Dobrze panu mówić, bo dziś ja dobra dla pana, a jutro będzie inna...

— Nie rezonuj, Lodzka, a kończ się rozbierać i włącz do łóżka... Wszystko dobrze będzie, nie bój się!... No chodź, maleńka, chodź!... Ucałuj mię mocno...

Drugiego stycznia dyrektor Żbikowski przyszedł do pawilonu fotograficznego i zwrócił się do retuszera w formie urzędowej:

— Panie Porajski, mianuję pana od dnia dzisiejszego zarządcą tym pawilonem..

— Dziękuję panu dyrektorowi—odparł Janusz bez namysłu. — Ja wolę pozostać nadal robotnikiem...

— Dlaczego?

— Choćby dlatego, że jako retuszer otrzymam zapewne od Nowego Roku odpowiednią stawkę, a następnie nie będę zmuszony kłaniać się o podwyżki, które robotnicy automatycznie otrzymują w miarę wzrostu drożyzny.

— Jako zarządca otrzyma pan odrazu 540 bonów dniówki, a podwyżki wszystkim pracownikom technicznym będą stosowane narówni z robotnikami... Takie same procenty nadwyżki płacy za godziny nadnormowe, takie same deputaty i t. p.

— Chyba, że tak — odparł po namyśle Porajski. — Ale tu dla zarządcy roboty jest niewiele..

— Już ja wiem, że pan sobie robotę wynajdzie..

— Panowie! — zwrócił się dyrektor do innych pracowników. — Pan Porajski od dnia dzisiejszego obejmuje w pawilonie fotograficznym obowiązki zarządcy. Proszę się do niego, jako do gospodarza, zwracać ze wszelkimi sprawami. Ja bezpośrednio z panami od dnia dzisiejszego nic załatwiać nie będę. Wszystkie sprawy danego pawilonu przechodzić będą pośrednio przez danego zarządcę. Mennica się rozrasta, tysiąc pracowników już mamy, a liczba ich stale się zwiększa. Ja wszystkiemu podołać nie mogę.

— A pan, panie Januszu — zwrócił się dyrektor do nowego zarządcy — będzie pan odpowiedzialny za

wszystko, co się dzieje w pawilonie fotograficznym. Proszę pamiętać i myśleć o wszystkim i za wszystkich. Ale ja wiem, że pan sprawą nie pokpi!... Narazie najpilniejsze są te klisze stubonowe. Jak najwięcej ich potrzeba... Kompletami będziemy drukowali: po dwanaście na arkuszu.

— Robi się co można, panie dyrektorze.

— Mało się robi... Na gwałt musimy drukować te setki, a klisz ciągle mało.

— Niech tylko trawiacze nadażą, to tu się zrobi kopji ile potrzeba — zapewnił kopista Śliwek.

A właśnie trawiaczom jakoś nie szło. I robota się psuła i cynk powoli się trawił i — przemęczeni nadnormową pracą, o godz. 5-ej robotę już kończyli, rezygnując z dobrze płatnych „pofajrantów“...

W ciągu kilku dni wydajność kliszarni zmniejszyła się niemal w dwójnasób.

— Cztó eto takoję? (Co to takiego?) — pytał inżynier Mangołow majstra Wojtkiewicza w dyrekcji technicznej. — Co znaczy ta mała wydajność ich pracy? Dlaczego wieczorami nie chcą pracować?

— Niezadowoleni z małej podwyżki noworocznej.

— S uma saszi, cztó li? (Zwarjowali czy co?) Przecież podwyżki wyznaczają się w drodze urzędowego porozumienia się ze Związkiem — tłumaczył po rosyjsku.

— Trawiacze twierdzą, że w zakładach prywatnych egzystują jeszcze dodatki lokalne, których tu nie mają.

— Wrut! (Łżą!)

— Tak mówią, ja nie wiem...

— Tut zato mająt pofajranty, a ni-

gdzie ich nietu (niema) — oburzał się inżynier, usiłując wyrazić się w języku urzędowym. — Druguju pensju zarabłajut, a to i bolsze! (albo i więcej)

— Ale zato pracują po 13 lub 14 godzin na dobę — wyjaśniał majster.

— No teraz tolko po wosiem godzin pracujut...

— Bo chcą większych stawek.

— Obstrukcju, znacził, roblat?...

Wojtkiewicz bezradnie wzruszył ramionami, Mangołow stukał nerwowo ołówkiem po biurku, wpatrzony w jakiś punkt oddalony i rozważał sytuację.

— Wie pan co? — rzekł wreszcie do majstra. — Przyjmiemy więcej trawiaczy, podwoimy liczbę dotychczasowych i zaraz kwasy się skończą... Niech pan da znać na mieście: bezrobotnych jest dużo...

Wojtkiewicz rozrzucił wici po Cudnie i nazajutrz zgłosiło się do dyspozycji dyrekcji dziesięciu kandydatów na trawiaczy, z których ośmiu niezwłocznie przyjęto, a dwóch zdyskwalifikowano, albowiem za okupantów niemieckich zajmowali się rzekomo fałszowaniem kontyngensowych kartek żywnościowych, czy też węglowych. Z nędzy zapewne dopuszczali się fałszerstwa, ale narazie i niebyłoby ich gdzie posadzić,—kliszarnia zbyt ciasna była.

Nowi trawiacze, stanawszy do pracy, mieli podobno zaraz na wstępie jakieś zatargi z dawnymi pracownikami kliszarni, wnet jednak się porozumieli i robota poszła trybem normalnym, choć dość powolnym, bo wytrawianie klisz banknotowych wymagało szczególniejszych zachodów, uwagi i staranności. Tem miano-

wicie stosunkowo niewielką wydajność kliszarni tłumaczył w dyrekcji technicznej majster Wojtkiewicz.

A Bank Cudeński coraz więcej banknotów zapotrzebowywał.

— Niech co chce kosztuje, a klisze być muszą! — dowodził Mangołow, informując majstra o świeżem żądaniu Banku państwa. — Niech robią p o f a j e r a n t e m, a tyle klisz trzeba wyprodukować abyśmy jak najwięcej maszyn mogli uruchomić.

— Za te pieniądze, mówią, że im się nie opłaci wieczorami pracować. Jeśli dostaną podwyżki, to się pospieszą — zapewniał Wojtkiewicz, który i sam z tych podwyżek korzystał narówni z innymi.

— Podwyżek nie damy! Dostaną trawiacze, to zaraz pawilony drukarskie zażądają, za nimi i litografja, i warsztaty i robotnicy budowlani i placowi i wszyscy... Tylko co na Nowy Rok dostali podwyżki!... Przyjdzie nakaz oficjalny, to nowe otrzymają.

— Trawiacze chcą iść do prezesa z delegacją w tej sprawie — nadmieniał majster.

— W o t, s w o ł o c z i ! (O t, ł a j d a k i !) — uniósł się Mangołow. — Im zawsze wszystkiego mało!... Ja bym ich przycisnął, p r a c h w o s t o w !... Żbikowski sam pomówi o tem z prezesem. Niech delegacja nie chodzi i głowy panu Podborskiemu nie m o r o c z y !

Nazajutrz przyznano trawiaczom extra 20 procent „lokalnych“ podwyżek, dzięki czemu zaczęli po kilka godzin codziennie nad normą wysiadywać, a wydajność kliszarni znacznie się wzmogła.

Jak przewidział Mangołow, upomnieli się wnet o takie same podwyżki i inni pracownicy.

— Cóż to, my od macochy? — mówili.

— No, bo jakże? Czy to produkty spożywcze

tylko dla trawiaczy zdrożały o 20 procent, a dla nas, to nie?...

Mieli rację. To też wszystkim pracownikom fabrycznym i robotnikom przyznano nową podwyżkę dwudziesto procentową, jeno pracownicy biurowi i zarządcy, otrzymawszy noworoczne podwyżki, nie pretendowali o nowe. Nie śmieli, bo zaledwie dwa tygodnie upłynęło od ostatnich podwyżek. Nie wypadało... Jakże? — Toć byli inteligentami...

Trawiacze w gruncie rzeczy nie bez zasady domagali się nowego podniesienia płacy, bo gdy noworoczne podwyżki przyznano urzędowe wszystkim robotnikom w całym Cudnie, wnet drożyzna na rynku wzrosła, a nawet przerosła procentowe zwyżki płacy.

Stale, co miesiąc ten objaw się powtarzał, bo co miesiąc oficjalne podwyżki przyznawano. Skoro więc robotnik cudeński, jako najsolidniejszy konsument, mógł płacić więcej, dlaczegoby i chłopiek poczciwy, i przekupień, i kupiec i paskarz nie miał wziąć drożej? Nie na biedaku wygłodzonym zdzierstwo uprawiali. Robotnik zarabiał, robotnik chętnie płacił, bo robotnik dobrze odżywiać się musiał, pracując. Wiadomo.

IX.

W Mennicy — bal.

Olbrzymi plakat, wywieszony przy weściu z warowni zapowiadał „wieczór muzyczno-wokalny“, na którym produkować się mieli różni soliści, solistki, oraz chóry, a nawet miała być odegrana komedyjka jednoaktowa.

Wykonawcami „wieczoru“ mieli być wyłącznie

pracownicy Mennicy, których afisz wymieniał z imienia i nazwiska. W jednym tylko numerze programu, a mianowicie przy atrakcji: „gra na harmonijkach“, nazwisko wykonawcy zastępowały trzy gwiazdki. Conferencier'em (no bo jakżeżby się obyło bez takiego) miał być Bernard Złotogórski, urzędnik zarządu, podobno z pochodzenia — cudzoziemiec krajowy, — mający się jednak za dobrego Cudnianina i doskonale, bez żadnego akcentu, trącaącego żargonem, mówiący po cudeńsku.

Nawiasem mówiąc, pan Złotogórski, który miał z tytułu deputatów, zaliczek i innych czynności gospodarczych zarządu Mennicy bezpośrednie stosunki służbowe z pracownikami, — był powszechnie lubiany dla swojej daleko posuniętej uprzejmości, taktu wrodzonego i usłużności przyjaznej.

On też, przyjąwszy na siebie rolę „rozmówcy“ estradowego, był reżyserem zapowiedzianego wieczoru muzyczno-wokalnego, po którym, jak ogłaszał afisz, miały się odbyć tańce. Jedną więcej atrakcją „balu“ miał być... bufet.

— Jasiu, a co będzie w tym bufecie? — padło pytanie z grona pracowników, czytających ów afisz. — Pewno herbatką szprycować nas będą?...

— A tobie o sznapsa chodzi, co?...

— Frajer! Z domu se dupelczynę przyniesiesz i ju!...

— Może i dadzą sznapsa, bo pocóżby pisali o bufecie — ktoś wtrącił optymistycznie.

— Pewnie, bo jakaż to zabawa bez wypitki?!

— Mnie się widzi, że to będzie taka sobie „tańcująca herbatka“.

— Bilet wejścia: dwadzieścia marek... Phi, to ci mi wielka zabawa! — odezwał się jeden z malkontentów.

— No, przecież wszystko mają darmo: i teatr darmo i muzyka darmo, i światło nie kosztuje i sala... Cóż chcesz? A w bufecie oddzielnie będziesz płacił, nie bój się!

— Franek, ty będziesz?

— A, no trzeba będzie posłuchać, jak ta Czarna Stefka będzie grała komedję...

— I potańczyć nie zawadzi. Nazajutrz po balu święto mamy — niedziela, a cała buda stanie podobno w sobotę o godzinie 2-ej. Można będzie sobie pohulać!

Cały dzień mieli o czem mówić obojga płci pracownicy Mennicy państwowej, której zarząd na upamiętnienie wypuszczenia pierwszej edycji banknotów, własnymi siłami wyprodukowanych, umyślił wydać bal dla pracowników. Wspólna zabawa miała na celu towarzyskie zespolenie wszystkich warstw, pracujących w zakładach, w których prócz warsztatów pracy było mało jeszcze spopularyzowane miejsce godziwych rozrywek — kasyno. Właśnie w tem kasynie chciano zebrać możliwie największą liczbę pracowników na — balu.

Jakoż w sobotę, o godzinie 7-mej wieczorem, duża sala menniczego kasyna, uprzątnięta ze stołów i zamieniona na salę koncertową, zaczęła się napełniać.

Odświętnie ubrani pracownicy i pracownice zakładów, należący do różnych sfer i fabrycznych i towarzyskich i umysłowych, przedzieźgnęli się w elegantów pierwszej klasy, lub w szumiące jedwabnemi spódniczkami, ufryzowane i wymanikiurowane strojnę dziewczęce,

tak, że tylko po wyrazie twarzy, no i ruchach, można było odróżnić pracownika fabrycznego od pracownika biurowego, — pracownicę fabryczną od urzędniczki lub kontrolerki, a zwykłego, ciężkiego robotnika od reszty zebranych gości. Ale jednak — nie zawsze.

Liczne, bo z kilkuset osób złożone towarzystwo, zespolone wspólnym celem zabawy, wkrótce po oznaczonej godzinie zajęło całkowicie ustawione rzędami ławki i taburety, zostawiając jeno pierwszy rząd krzesel i foteli, zarezerwowanych przez gospodarzy zabawy, dla „arystokracji“ menniczej.

Prezes Podborski z nadobną swą małżonką, piękną panią Eufemją czarnooką, zjawił się w kasynie zaraz po 7-ej. Witając się uprzejmie i uśmiechając się według swego zwyczaju do podwładnych, stary prezes dążył za swą małżonką na wskazane miejsca, podając życzliwie rękę wszystkim pracownikom, których mijał po drodze.

Zaszczyt uściśnięcia wymuskanej i pachnącej ręki pana prezesa spotkał nawet nieprzygotowanego do tego nabożeństwa jednego z woźnych zarządu, którego w gronie innych, odświeżnie odzianych, wygolonych i wyrurkowanych pracowników pan prezes nie zdążył rozpoznać. To też rozrzewniony człeczyna nachylił się szybko i buchnął w mankiet zacnego pryncypała, Mile i demokratycznie uśmiechnął się pan prezes, pogładził swą długą mleczną brodę i z wielkopańskimi ruchami, nacechowanymi podagrą, podążył za swą piękną małżonką, której honory domu zaczął czynić dyrektor Żbikowski, jako jeden z gospodarzy zabawy.

Gdy prezesostwo Podborscy zajęli fotele pośrodku pierwszego rzędu stojące, tuż obok witającego ich nadradcy Słodkiewicza i co starszych urzędników zarzą-

du, — rozległ się dzwonek, oznajmiający po raz pierwszy mające się niebawem rozpocząć przedstawienie.

Uciszyło się nieco na rozgwarzonej sali. Zaczęto baczniej spoglądać na zasłonę, jaka na a d h o c urządzonem wzniesieniu odgradzała estradę-scenę od przepełnionej widowni. Sala powoli stygła w oczekiwaniu.

Gdy już powtórnie zadzwoniono, a wreszcie — gdy po dłuższej chwili po raz trzeci rozległ się dzwonek za kurtyną, która jednak pozostawała wciąż nieruchomą, — tłum widzów zaczął się niecierpliwić, pomrukiwać, a w końcu i stukać obcasami o podłogę, zwyczajem, przyjętym na „prawdziwych“ spektaklach, kiedy cierpliwość publiczności, co zapłaciła sumiennie za bilety wejścia, zbyt długo na próbę wystawiają.

Nie pomogły jednak i stukania, albowiem coś tam zespulo się ze sceniczną zasłoną, a czem „szanowną publiczność“ w zręcznie ujętej formie uprzedził conferencier, który ukazał się przed rampą, ubrany jak prawdziwy rozmówca kabaretowy — we frak z olbrzymią w butonierce chryzantemą.

— Jak ten Goldberg-Złotogórski ładnie wygląda, patrz pan, panie Krzemiński — szepnął jeden z zarządców pawilonu do urzędnika zarządu, zdeklarowanego antyseinity.

— Do twarzy mu w tej roli „międzynarodowego“ conferenciera... Typowa twarz żydowskiego machera od kabaretu.

— A jak zbladł, patrz pan...

— Bo s z e b o i, b o m u s e r c e p i k a...

— M a t r e m ę.

— Gdzie zaś? Bo goście się niecierpliwią i skandal mogą wywołać... Ale co tam naprawdę się stało?

Ten nasz Boruch coś kręci. Pójdę za kulisy dowiedzieć się, co zaszło.

Pan Bernard Złotogórski, rzuciwszy z przed rampy dla uspokojenia publiczności kilka frazesów, przepaszających za chwilowe opóźnienie spektaklu z przyczyn, od reżyserji nie zależnych, — znikł za kurtyną, za którą wnet rozległy się dźwięki jakiegoś hucznego poloneza, co znakomicie podziałało na uspokojenie słuchaczy.

Tymczasem za kulisami toczyła się rozprawa.

Pierwsza amantka, którą miała być w komedyjce przystojna podkontrolerka, panna Zofja Gumińska, starowczo zrzekła się wyjścia na scenę i nie chciała wyjawiać przyczyny swego niewytłumaczonego uporu. Rozpłakała się nawet, gdy reżyser Złotogórski przekładał, że nawet ważny powód nie zawsze usprawiedliwi ją, gdy „zerwie“ przedstawienie.

Panna Zosia uparła się, waliła piąstką o piąstkę i, mnąc chusteczkę w rękach, uparcie powtarzała:

— Niech się dzieje, co chce! Niech powiedzą, że źle wychowana a ja na języki dostać się nie chce i w przedstawieniu udziału nie wezmę...

W nadziei, że amantka pozwoli się wkońcu uprosić, Złotogórski kazał uprzętnąć naprędce scenę i na pierwszy numer, zamiast komedyjki, wpuścił na estradę chór śpiewaczy, który niebawem rozpoczął swe produkcje, a nagradzany huczmem brawem na sali, dał na bis jeszcze dwie pieśni, wcale nieźle wykonane, choć z początku pewną owiane tremą. Było to zasługą dzielnego gawera Kulińskiego, dyrygenta chórów, który w krótkim czasie zdołał zebrać i wyszkolić wcale dobry zastęp śpiewaczy z pracowników Mennicy złożony.

W trakcie chóralnych produkcji na scenie, — Krze-
miński starał się za kulisami wybadać podkontrolerkę,
dlaczego mianowicie chce zerwać przedstawienie.

— Niech mi pani poufnie wyzna, jako gospodarzo-
wi wieczoru, dlaczego mianowicie tak się pani zawzię-
ła, uparła?

— To nie upór, panie, a przykra niespodzianka...

— Jakaż w tem może tkwić niespodzianka i w dc-
datku przykra? Przecież pani już od paru tygodni wie-
działa, że ma wystąpić w teatrze amatorskim. Próby
pani odbywała... Tyle prób, tyle przygotowań... Tak
przecież szło wyśmienicie...

Sceniczna amantka milczała.

— No, niechże pani mi odkryje tajemnicę swego
uporu. Ściśle poufnie, panno Zofjo... Przecież pani zna
moją dla niej życzliwość — prosił Krzemiński, biorąc za
rączkę zadaną panienkę.

— To nie upór! Już raz powiedziałam.

— A cóżby?...

— Obawa przed ośmieszeniem.

— No? Dlaczego? Tak pysznie graliście wszyscy
wczoraj na próbie generalnej...

— Ale w innych... kostjumach.

— ?

— Niech pan spojrzy jak mój amant wygląda...
Ubrał się w smoking, jasne szantamanty, żółte kamaszki
i czerwony krawat!... Widział pan kiedy coś podob-
nego przy — smokingu?...

Krzemiński odszukał wzrokiem stojącego na uboczu
partnera panny Zofji, którym był młody i przystojny
ślusarz warsztatowy, Jędrzej Gmyrek.

— Rzeczywiście, cudacznie się ubrał! — przyznał
roześmieszony gospodarz zabawy.

— No, niech pan sam powie, co by to było, gdyby taki pstrokaty jegomość zaczął oświadczać się w miłości osobce z towarzystwa, która przecież powinna mieć jakieś poczucie estetyki i takiego ignoranta dobrego smaku przepędzić na cztery wiatry... A ja mam przyjąć na scenie jego oświadczyzny... Nie, za nic!... Toć przecież wszyscy widzowie, z jako-tako wyrobionym gustem, pękać będą ze śmiechu... A o mnie co sobie pomyśla?...

— Pani ma zupełną słuszność, panno Zofjo. Ale jest na to rada... Ja w tej chwili przebiorę pana Gmyrka i zrobię z niego szykownego dandysa. Zobaczysz pani! — zapewnił pan Krzemiński, chcąc odejść dla wykonania powziętego zamiaru.

— To jeszcze nie wszystko — wstrzymała go panna Zofja.

— No i cóż? Namysliła się pani? — przerwał Złotogórski, podsunawszy się po skończeniu: śpiewów chóralnych.

— Wszystko będzie dobrze! — zapewnił reżysera Krzemiński. — Dawaj pan najpierw numery wokalne...

A zwróciwszy się do panny Gumińskiej, zapytał:

— Co jeszcze chciała pani powiedzieć?

— Tylko niech się pan ze mnie nie śmieje, panie Zdzisławie, bo mi bardzo będzie przykro... Niech pan będzie łaskaw porównać kostjum przyzwoitej panienci: o którą oświadcza się narzeczony, z kostjumem pokojówki, która podczas tych oświadczyzn ma nakrywać du podwieczorku...

— A gdzież jest ta „Czarna Stefka“? — zapytał Krzemiński, rozglądając się po obszernym pokoju, zamienionym na garderobę teatralną.

— Panna Opieńkówna poszła widocznie na salę.

aby się pokazać w balowej toalecie — informowała z pewnym przekąsem skromnie, lecz gustownie ubrana nie-
dozła narzeczona z komedyjki.

Krzemiński wybiegł na widownię i, powróciwszy po kilku minutach, oświadczył ze szczerością:

— Rzeczywiście!... Toć ta niby-pokojówka wygląda jak jaka *grande z za!*... I dekolt, i jedwabie, i ażury, a nawet rajery na ufryzowanej głowie... Wprost nie poznałem „Czarnej Stefki“, taka się dama z niej zrobiła...

— Teraz niech pan przyzna, panie Zdzisławie, bo mię pan rozumie, prawda? Czy ja mogę w takim *en s a m b l u* wystąpić?...

— Przyznaję, panno Zosiu, że nie, bezwarunkowo nie! Ale niebawem będzie pani mogła wystąpić w tem gronie, bo już na pannę Opieńkową nasadziłem panią Morengowską, która, jako kontrolerka i starsza osoba, będzie umiała przekonać sceniczną pokojówkę o niestosowności jej ubrania i zarządzi usunięcie zbyt bogatych efektów kostjumowych, a natomiast przybierze ją w *far-tuszek*... Zobaczysz pani: będzie pokojóweczka, jak się ; atrzy...

— Mnieby należało się nieco strojnziej przybrać — tłumaczyła się smętnie podkontrolerka. — Ale... to jest moja najlepsza sukienka... Na inną mię nie stać... Pan wie, — braciszka muszę wychowywać i siebie z tej skromnej pensji urzędniczej utrzymać...

Błysnęły łzy w oczach ambitnego dziewczęcia.

Kolega Krzemiński starał się pannę Gumińską przekonać, że w tej sukience jest nadzwyczajnie jej do twarzy. wmawiał w nią, że do „ślicznej wiochny“ jest podobna i dowodził, że właśnie taka gustowna, choć skrom-

na sukienka, cechuje w dzisiejszych czasach każdą jednostkę ze sfery inteligencji, upośledzonej materialnie, dzięki panującym prądom socjalnym.

— Jest to *signum temporis*, — mówił Krze-
miński. — Wszystko jednak przemija na świecie... I te
anormalne warunki bytu inteligencji przemijają, jak mijają
każda rewolta społeczna, jak mijają kataklizmy natury,
jak mijają wreszcie ciemna, burzliwa noc, a po niej jasny
dzień nastaje, pogodny i słoneczny...

— Nim słońce wzejdzie... — westchnęła ciężko.

— Zanim to nastąpi, oni tryumfują materialnie...
Niech mi pani wierzy jednakże, że choć ogół robotni-
czy nie współczuje psiej doli inteligenta, ale w gruncie
rzeczy uznaje w nas wyższość umysłu i kultury, bo tę
różnicę niemal na każdym kroku spostrzega...

— A spostrzegając, — przerwała rozżalona panna
Żofja — stara się ogół robotniczy zaimponować nam tem,
czem może, a więc: jedwabnemi pończochami, drogiemi
strojami, rajalami...

— To tylko te jednostki, które zbyt powierzchow-
nie patrzą na życie, zapewniam panią. Znam bowiem
i takich robotników i takie robotnice w naszej Mennicy,
które dążą do wiedzy, do oglądy towarzyskiej, — któ-
rzy chętniej z książką przestają i do każdej kulturalnej
roboty wspólnie z inteligencją się garną... Takich jest
coraz więcej, a panna Opieńkówna do tej kategorii le-
piej myślących pracownic, niestety, nie należy...

Tymczasem po zrobieniu kilku „numerów“, anon-
sowanych dowcipnie przez Złotogórskiego, zarządono
przerwę, poczem miała pójść komedyjka, albowiem sce-
niczna amantka, zobaczywszy, przystojnie przebranych
swych partnerów, zgodziła się wreszcie na wzięcie u-
działu w przedstawieniu.

Zarówno panna Gumińska, jak i pan Gmyrek i panna Opieńkówna wywiązali się ze swych ról wzorowo. Maleńką tylko, choć dość hucznie przyjętą dywersję wywołała uwaga, rzucona półgłosem z głębi sali przez jednego z maszynistów, który swój dobry humor zawdzięczał buteleczce, jaką podczas przerwy wypróżnił z przyjaciółmi.

W chwili bowiem, gdy rozsunęła się kotara na scenie, a zgrabna subretka w osobie Opieńkówny krzątała się ze szczoteczką, udając okurzanie mebli, maszynista Flakiewicz, poznał w eleganckiej pokojówce swoją odbieraczkę i bez namysłu zauważył:

— Stefka, wyczyść sobie kałamarz!...

Koledzy maszyniści i inne bractwo drukarskie przyjęło ten dowcip za niewczesną uwagę, boć przecie kałamarze u maszyn zostały już po skończonej robocie we wszystkich pawilonach dawno poczyszczone. Natomiast inni mniej lub więcej głośno aprobowali ten „żarcik“, rzucony od niechcienia, który na szczęście nie wszyscy dosłyszeli.

Natomiast sponsonowana przez Flakiewicza subretka, zarumieniła się strasznie, z czem jednakże do twarzy jej było. Po chwilowej konsternacji, kontynuowała swój monolog jak najlepiej.

Wokalne występy i komedijkę dopełniły jeszcze deklamacje, przyjmowane dość oziębłe przez ogół słuchaczy. Natomiast, gdy wyszedł na estradę dyrektor Chwytowski i zaczął grać na harmonijce, publiczność wpadła w zachwyty i w takt skocznej melodji krakowiaków, mazurków i oberków — zaczęła przytupywać coraz śmieiej i głośniej, co wreszcie zmusiło artystę-amatora do przerwania swej gry, zagłuszonej przez rozentuzjasmowanych gości.

— To ci grajek!... To rozumiem! — dzielono się wrażeniami,

— Aż człowieka coś na miejscu podrywa,

— Aż nogi same skikają.

— Brawo, dyrektor Chwyrowski!

— Bis!... Bis!...

Chwyrowski grał dalej, zmieniając kolejno harmonijki, które leżały przed nim na stoliku, a wywołane wrażenie aż unosiło publiczność, tak dosłownie, że siedzący w tylnych rzędach powstali z miejsc, aby lepiej przyjrzeć się dyrektorowi, który na małych dziecięcych harmonijkach wydmuchiwał tak piękne melodie.

Z żalem wreszcie pożegnano grajka-artystę, który po wielokrotnem bisowaniu zeszedł zmęczony z estrady i — z gorliwością wzięto się do usunięcia pod ściany ławek i tabureków, wynosząc zbyteczne meble do sąsiednich ubikacji kasyna.

Wreszcie rozpoczął się — bal.

Nie czekając na otwarcie tańców przez gospodarzy, pracownicy corychlej pochwytili sobie tancerki i puścili się w płąsy, skoro tylko odezwały się dźwięki orkiestry.

Starszyzna z prezesem i nadradcą na czele usunęła się wkrótce do oddzielnego pokoju na przekąskę. Tam gospodarował niepodzielnie dyrektor Chwyrowski, sprowadziwszy na własny rachunek olbrzymią baterję butelek, którą ukrył przezornie w szafie przed oczami ogółu pracowników.

Pani Eufemja, przetańczywszy ze Żbikowskim walczyka, również podążyła ze swym danserem do zaimprowizowanego bufetu starszyny i wzięła żywy udział w solidnej libacji, złożonej z dobrych wódek, koniaku i likierów.

Ogólny bufet, dla uniknięcia ogólnej pijatyki zaopatrzony był jedynie w chłodne napoje, oraz przekąski, ciasta i owoce. Niektórzy z przezorniejszych pracowników przynieśli jednak ze sobą trunki rozgrzewające i, częstując się wzajemnie, pociągali wprost z butelek, boć słusznie ktoś zauważył, że niema zabawy bez trunków.

— Albo je bal, albo niema balu!—dowodził uparcie Flakiewicz, ciągnąc kolejno z flaszki.

— Zaraz po sznapsie człowiek więcej pary do tańca nabiera — twierdził Gmyrek, który uważał za stosowne nie zmywać scenicznych „kolorów“ i podciemniania oczów, z czem mu bardzo było do twarzy.

Na sali zabawa wrzała ochocza, a jednocześnie i w bufecie starszyny wesół rozgwar panował.

Dyrektor Chwykowski, wywiązując się z obowiązków gospodarskich wyśmienicie, wprost zniewalał do wypicia coraz to nowych toastów, które i pani Eufemia chętnie spełniała, dotrzymując placu kilkunastu panom starszynom, dopuszczonym do tej siesty „arystokratycznej“.

W pewnym momencie już na dobre podpity Flakiewicz chciał się przemocą wedrzeć do zaimprovizowanego przez Chwytowskiego bufetu. Drogę mu jednak zagroził wartownik, który u drzwi zajął był swój posterunek

— A cóż to znowu za jakieś oddzielne bufety?! To nie jest demo-o-kratycznie! — bełkotał niezadowolony.

— Albo je wspó-ólny bal... Albo je wspólna szna-a-ponja, albo nie?... Ja zapłacę, nie bój się pan!...

Wartownik stał niewzruszony

— Bonów mam, jak lodu!... O, patrz pan — rzekł wyjmując z kieszeni paczkę nowych banknotów. — I to

prawdziwe, państwowe, nie żaden śmieć od Weideckiego... Sam drukowałem, jak Pana Boga Kocham!...

— Głupiś, Antek! — dopadł do niego z tyłu Kielbasiński.

— Kto mnie obraża? — zapytał Flakiewicz groźnie, odwracając się z zamglonym wzrokiem — Kto mnie śmie obrażać?!... Aaa, to ojciec Kielbasa?... Daj pyska, stary...

— Pójdź, Antoś, na dwór! Trochę się przewietrzymy... Niech tam sobie starszyzna pije z panią prezesową... Nie będziem przeszkadzać...

— Masz ra-a-cję!... Pies z nimi tań—tańcował...

W bufecie Chwytowskiego rozgwar coraz większy panował. Srebrny głos pani Eufemji czarnookiej kaskada śmiechu wybuchał co chwila za drzwiami.

Na sali muzyka grała polkę. Kilkadziesiąt par, demokratycznie płciowo dobranych, tańczyło rażno i ochoczo. Wywijali po sali pracownicy fabryczni z urzędniczkami lub podkontrolerkami, a zarządcy pawilonowi i urzędnicy z liczarkami i nakładaczkami...

Starszyzna w różowych humorach wyszła popatrzyć jak się bawią pracownicy.

— Aż miło, jak sobie hasają! — zauważył prezes Podborski.

— Tss — syknął przez zęby nadradca Słodkiewicz. — To podrygiwanie, a nie taniec... Fi!

— Jak umieją, tak tańczą — zaopiniował pan prezes. — Ale bawią się, jak uważam, doskonale...

Pani Eufemja coś szeptała na uboczu ze Żbikowskim.

— Ja im pokażę, jak się tańczy! — rzekła wreszcie głośno i wyzywająco. — Panie Konradzie, puścimy

się we dwoje!... Naszą polkę niech pan zagrać każe — rzekła, opierając swą rękę na ramieniu Żbikowskiego.

— Femciu, dajże spokój — chciał Podborski powstrzymać swoją małżonkę w zapalach.

Nie zdążył jednak, bo dyrektor techniczny, jak wicher uniósł panią prezesową na salę i, wysunawszy się w tempie polki ku orkiestrze, krzyknął dyrygentowi:

— Polkę w szafliku, ale — od ucha!

Skoczna melodia apaszowskiego tańca „andrusów” warszawskich wionęła po sali, a pani Eufemja, odsadziwszy się o kilka kroków od pana Konrada, ujęła krótką białową toaletę w obie ręce, a uniósłszy w górę falbanki, pochyliła się ku przodowi i z namiętnością, tryskającą z jej oczu, puściła się w płas „szaflikowy”.

Tańczące pary pracowników mennicznych zamarły w niemym podziwieniu. Wszyscy przestali tańczyć i, usunawszy się ze środka sali, utworzyli duży krąg, pozostawiając wolny teren do popisu „arystokratycznej” pary.

Żbikowski podczas solowej produkcji pani prezesowej zawiązał sobie czerwoną chustkę z fontaziem na szyi, rozczochrał rękami włosy, podciągnął spodnie łokciami i, zgarbiwszy się, jak na podchodzie zdobyczym, zaczął gonić w tempie tanecznej melodji za swą partnerką. Dłuższy czas pani Eufemja, uciekając przed napaśnikiem, mamiła go zgrabnemi nogami, odsłanianemi aż za kolana i węzowemi skrętami wywijającą się chwytającemu ją apaszowi... Aż w końcu rzuciła się w jego objęcia, aby w szalonym tempie apaszowskiej polki, wywijając dookoła utworzonego kręgu.

Zachwyceni pracownicy menniczni wtórowali tańczącej parze przyswojonemi tej polce nadwiślańskiej andrusowskiemi przyśpiewkami:

— Bajryk-bajryk! Ossia-ossia! Niech się frajer nie unosi... Ja frajera w łeb za szyję, a frajer po buzi bije!

Inni jednak nie tyle może z oburzeniem, ile ze zdumieniem wielkiem patrzyli na ten taniec apaszów, a w ustach tych ludzi jakby dostrzegało się spływający wyraz: skandal!

— Tylko eks-baletnica może się zdobyć na coś podobnego! — szepnął jeden z kontrolerów na ucho Porajskiemu, który stał obok niego. — I to prezesowa, publicznie, wobec wszystkich pracowników... Pfuj!...

— Natura wilka do lasu ciągnie.

Tańcząca para apaszów ustawała już w szale.

Pani Eufemja omdlewała formalnie w objęciach swego dansera, co widząc pan Konrad, przerwał taniec opodal wejścia i wyprowadził zmęczoną swą tancerkę do zaimprovizowanego bufetu „arystokracji“...

Po pewnym odpoczynku i ochłodzeniu się a d h o c przyrządzonym kruszonem dyrektor Żbikowski opatulił panią prezesową w fokowe palto i odprowadził ją do mieszkania, które państwo Podborscy zajmowali w osobnym pałacyku, wzniesionym na terenie mennicznym.

Ogół pracowników bawił się do rana.

Zabawa rozwinęła się w najlepsze dopiero wówczas, gdy starszyzna opuściła kasyno i przestała poniekąd krępować brać robotniczą.

Tylko komendant warty pozostał na straży porządku do końca i, strasząc gości swym pióropuszem, spotkał się kilkakrotnie z objawami niezadowolenia pracowników, których za niesforność lub kłótniwość uważał za stosowne usunąć siłą z kasyna.

Jedna tylko para nie dzieliła ogólnego zanteresywania się zabawą i niespodziankami, jakie wywołały

wybryk zarówno pani prezesowej, jak i zwykłych śmiertelników, co sobie zbyt na balu podpiłi.

Wspólność zapatrywań, jednaka dola urzędnicza i myśli jednakie, a brzemiennie w żal do losu, który zrodził anormalne stosunki socjalne, zbliżyły pana Zdzisława do panny Zofji prawie, że niespodzianie. Sympatyczny bowiem Amorek-niecnota zaraz po przedstawieniu coś naszeptywał wciąż młodej dziewczynie, a jednocześnie wyjął z kołczaną jedną ze strzał swoich i podsunął ją pod rękę panu Zdzisławowi.

To też po przetańczeniu kilku tańców ze sobą, młoda para odseparowała się do bibliotecznego pokoju kasyna i długo, długo rozmawiała ze sobą poufnie, szczerze i otwarcie... Wkońcu pan Krzemiński coś także długo całował małe rączki panny Gumińskiej, a ona mu nie wzbraniała tej pieśczoły, spłoniona, spłoszona i drżąca.

Dziwnie układało się dotychczas życie panny Zofji.

Straciwszy dość wczesnie matkę, grała w domu niejako rolę gospodyni, bo choć na pensję uczęszczała, zastępowała małemu braciszкови matkę rodzoną, a służącej — panią domu. Ojciec jej, urzędnik państwowy, całe dnie i wieczory spędzał poza domem, a dziećmi prawie że się nie interesował i o rozwój ich duszy i umysłu zupełnie się nie troszczył.

Panna Zofja po ukończeniu pensji i odbytej praktyce pisania na maszynie dostała posadę w Mennicy, a jednocześnie ojciec jej sprowadził do domu panią, którą nazwał swą żoną, a dzieciom nakazał ją, jak matkę, szanować i posłuszeństwo bezwzględne zalecił.

Młoda „macocha“, osoba ograniczona, zła i nieprzystępna, wnet nadużywać zaczęła swych praw i formalnie pastwiła się nad małym Jerzykiem podczas nieo-

becności w domu panny Zofji. Rozkochana w swym braciszku opiekunka, wrcając z zajęcia do domu, nie mogła patrzeć na nieoschle łzy swego pupilka, który coraz bardziej mizerniał i upadał często na zdrowiu. Do tego doszło, że panna Zofja uprosiła swych krewnych, aby jej pokoiłk odnajęli, poczem wyprowadziła się do nich z Jerzykiem, bynajmniej nie zatrzymywana w domu przez ojca.

I odtąd, już drugi rok, panna Zofja żyje samodzielnie i matkuje niepodzielnę braciszкови, którego już czytać nauczyła, a niebawem i do szkoły posyłać go zacznie od wakacji. Rozumie się, że ciężko jest dziewczęciu sprostać tym obowiązkom, ale żyje, również jak pan Zdzisław, nadzieją na jaśniejsze jutro i lepszą dolę.

Zupełnie tak samo osamotnionym czuł się pan Zdzisław, który będąc studentem na prawie, mieszkał wraz z matką, wdową, i żył po szczęśliwym powrocie z wojny — jak obecnie się przekonywa — bez żadnego, doprawdy, celu. Bo czyż takie smutne jednostajne życie z dnia na dzień, z biura do domu i z domu do biura, a czasem na jaki wykład do uniwersytetu, można nazwać życiem? Jest ono właściwie tylko wegetacją bez chwil jaśniejszych, bez słońca i ciepła serdecznego, którego pragnął i szukał, aż wreszcie znalazł... Dziś bowiem pan Zdzisław znalazł to, czego oddawna już szukał, — znalazł serduszko tkliwe i bratnią duszę w osobie... panny Zofji.

Już od pół roku zdala ją obserwuje, jednak nie śmiał podejść do niej obcesowo i podsunąć się nieco bliżej, obawiając się tego pozornego chłodu, jakim pracujące dziewczę odstręczało od siebie wszystkich spółtowarzyszy pracy mennicznej. Pan Zdzisław był pewien,

że panna Zofja jest conajmniej już narzeczoną, taka zawsze była poważna w pracy i skąpa w rozmowie.

Skoro jednak jest również jak i on samotną i niezależną, a w dodatku również, jak i on, skazaną na wegetację urzędniczką państwową, byłoby może dobrze tak sobie wspólnie, we dwójkę, wegetować? Byłoby może dobrze i wspólne gospodarstwo prowadzić we czworo, bo wtedy matka pana Zdzisława chętnie zajęłaby się bawkowaniem małemu Jerzykowi, któryby prawdziwą pociechą był dla osamotnionej po całych dniach dobrej babuni, a ciche dotychczas trzypokojowe mieszkanko, ożywiałoby się wesołym rozgwarem młodych małżonków po powrocie ich z biura.

Dla wszystkich czterech osób wegetujących — zaczęłoby się wówczas inne życie, o wiele jaśniejsze i naprawdę — celowe.

Pan Zdzisław złożył rozwiązanie tego problemu w ręce kochanej, drogiej, zacnej i jedynej panny Zofji i właśnie obcałowywał te małe rączki serdecznie, oczekując odpowiedzi spłoszonego dziewczęcia, które zrozumienia się okropnie i drżało pod wrażeniem chwili.

„Nie pokochasz jej może odrazu, ale gdy pokochasz, to już raz na zawsze“ — powiedział twórca powieści polskiej, Józef Ignacy Kraszewski. Wspomniała panna Zofja ten aforyzm, gdzieś kiedyś w jakiejś starej, takiej pocziwej, starej książce przeczytany i zastosowała go do siebie. I ona poczuła chęć pokochania tego dobrego i zacnego chłopca, który prosi ją, — wprost błaga o przychylną odpowiedź.

Po dłuższej chwili z drżących ust dziewczęcia spłynęło szeptem cichym, jak westchnienie, jedno tylko słówko, o które prosił, — „dobrze“...

Młodzian, odurzony szczęściem, chciał na zadatek praw nabywanych ucałować te spuszczone powieki Zosine i te jagody splonione, lecz powstrzymała go obawa przed znaną odpornością dzielnej dziewczyny, a głównie zapewne — obecność osób trzecich, które w najniestosowniejszej chwili weszły właśnie do ustronnej czytelnicy kasyna.

Pozostało tylko omówienie warunków, w jakich panna Zofja miała być przedstawiona matce pana Zdzisława, do której przecież nie wypadało pannie Gumińskiej pójść z wizytą w charakterze koleżanki a nawet narzeczonej jej syna, choć on razem z matką mieszka. Z drugiej zaś strony matka pana Zdzisława nie mogła pierwsza składać wizyty swej przyszłej synowej, która przecież domu rodzicielskiego nie miała.

Znaleziono jednak i na to rozwiązanie. Zaczyna pani kontrolerka Morengowska nie odmówi, zapewne matkowania pannie Zofji na gruncie neutralnym, naprz. na wystawie obrazów, gdzie pan Zdzisław w umówionym dniu przedstawi pannę Zofję swej matce, a reszta — już sama się ułoży...

A jednak poczciwi ludziska wciąż uporczywie twierdzą, że wielka wojna wielki wyłom zrobiła w obyczajach i moralności całego młodego pokolenia...

X.

Władze kierownicze Mennicy schodziły się do biur nie wcześniej, jak o godzinie 10-ej z rana. Ani prezes Podborski, ani dyrektor Żbikowski wcześniej „na fabryce” się nie pokazywali.

Pewnego dnia do jednego z pawilonów o niezwy-

kle rannej porze wszedł inżynier Mangołow. Staął, rozejrzał się po halli i głośno krzyknął:

— Czto eto znaczit?... Diewiat' czasow, a wsie maszyny jeszcze stająt?... Panie majstier, czto eto za bezpariadki?! *).

Pracownicy spojrzeli po sobie, niepomiernie zdziwieni przedewszystkiem tak głośno zademonstrowanym językiem rosyjskim, a następnie samem wystąpieniem inżyniera, który dotychczas spełniał tylko funkcje wykonawcze.

— A zamknij-no mu który gębę! — odezwał się jakiś głos z głębi sali.

Bliżej stojący tak niezyczliwie patrzyli na intruza, że Mangołow, spuściwszy z tonu, zwrócił się powtórnie do Pańkowskiego:

— Panie majstier, tak niezła! **).

— Walce się zakłada i maszyny oliwi — mruknął Pańkowski, niedawno awansowany na majstra.

— Tak, to tak! No dwadcat' minut posle waśmi dałżny maszyny byt' w chad'u. ***).

Nie wszystkie, bo na niektórych klisze się narządza...

— Słiszkom dołgo narzondza się te klisze! ****) — rzucił jeszcze inżynier na odcho-

*) — Co to znaczy?!... Dzewiąta godzina, a wszystkie maszyny jeszcze stoją?... Panie majstrze, co to za nieporządki?!

***) ... tak nie można!...

***)) Lecz dwadzieścia minut po ósmej maszyny powinny być w ruchu.

****)) Żybyt długo narządza się te klisze!

dnem i jakby tchórzem podszyty, czempredziej ulotnił się z pawilonu.

Wówczas wszyscy maszyniści podeszli do Pańkowskiego i zaczęli wyładowywać swoje oburzenie:

— Co on sobie myśli, ten Mangołow? Znowu mamy w jakąś niewolę popaść rosyjsko-bolszewicką?

— Rewirowy, psia jego mać!

— Żandarm chyba bolszewicki, czy co!

— Ale! Będzie tu wykrzykiwał wraży syn po kacapsku na cudeńskiego robotnika!

— Co on się tu wtrąca do ruchu maszyn?

— Ale! Co jemu, elektrotechnikowi, do nas!

— Trzeba było go odrazu w tę jego gębę mongolską zamalować i w on z pawilonu...

— Albo i z fabryki, za bramę! Nam moskali nie trzeba! Mało to naszych bez chleba chodzi?!

— Uspokójcie się panowie! — mitygował Pańkowski. — Jeżeli wtrąca się do naszej roboty, to znaczy, że został upoważniony i ma widocznie na to prawo...

— Od kogo?

— Od Żbikowskiego pewnie. Ale, że gada do nas po kacapsku, to należało mu odrazu nosa utrzyć, a nie teraz wykrzykiwać po niewczasie. No, jazda do roboty! Rzeczywiście: godzina dziewiąta dochodzi, a wszystkie maszyny jeszcze stoją. Jazda, panowie! Nakładaczki, odbieraczki, na miejsca! Ruch!

W chwilę potem jedne maszyny ruszyły, a na drugich jęli się mechanicy narządzania klisz i w pawilonie drukarskim wszczął się normalny zgiełk pracy.

Podczas całego zajścia przypadkowo obecny był

w tym oddziale Porajski, który w końcu sali, przy biurku nieobecnego wówczas zarządcy, sprawdzał listę darów na Książnicę Koleżeńską.

Zdumiony tupetem Mangołowa i nie mniej od innych pracowników dotknięty w swych uczuciach patriotycznych, Porajski w porozumieniu się z Pańkowskim, postanowił to przykre zajście z inżynierem wyjaśnić i zażegnać powtórzenie się w przyszłości czegoś podobnego.

Ułatwił mu tę akcję dyrektor Żbikowski, który przed południem zaszedł do pawilonu fotograficznego i, odprowadziwszy Janusza na stronę, zagadnął go o incydent z Mangołowem, o czym został już powiadomiony przez wartę. Wartownicze bowiem posterunki, rozstawione nawewnątrz i nazewnątrz wszystkich pawilonów mennicznych, miały obowiązek składania najszczegółowszych raportów swemu zwierzchnikowi, Chwytowskiemu; który wraz ze swym przyjacielem, Żbikowskim, trząśł całą Mennicą.

Zainterpelowany przez Żbikowskiego Porajski dokładnie opowiedział przebieg całego zajścia, czego dyrektor techniczny z uwagą wysłuchał i wreszcie zauważył:

— Pan Wasyl miał zasadę wystąpić z naganą do pracowników, bo od wczoraj zrobiłem go swoim pomocnikiem.

— Lecz trzeba przyznać, że nieoględnie postąpił, zwróciwszy się do ogółu w języku niedawnych naszych, a tyle znieznawdzonych ciemiężców. To właśnie pracowników oburzyło. Dobrze byłoby gdyby pan dyrektor zwrócił poufnie uwagę panu Wasylowi, bo nastrój pracowników dowodzi, że podobne zajścia nie są pożądane.

— Ma pan rację. Ale mnie niezręcznie z paneni Wasylem rozmawiać o kwestji językowej. Możeby pan zechciał otwarcie, tak — po koleżeńsku z nim pomówić. Bardzo pana o to proszę, ale niech pan to zrobi dyplomatycznie.

Porajski nie mógł dopatrzeć się powodów, dla których dyrektor nie miałby pomówić właśnie „po koleżeńsku“ ze swym nowo-kreowanym pomocnikiem. Przystał jednak na propozycję Żbikowskiego i podjął się tej „misji politycznej“.

W tym celu, po odejściu dyrektora, Janusz zatelefonował do Mangołowa, prosząc go aby przy sposobności wstąpił w swoim własnym interesie do pawilonu fotograficznego.

— Zaraz przyjdę! — odpowiedział inżynier i po upływie kilku minut przyszedł na wezwanie.

— Chcę mówić o dzisiejszem zajściu, jakie pan miał w pawilonie drukarskim — zaczął Porajski, odprowadzając Mangołowa na ubocze. — Będę mówił po rosyjsku, aby pan mnie dokładnie rozumiał. Otóż, uważa pan, my dwaj na cztery oczy możemy sobie rozmawiać w dowolnym języku. Ale, gdy się pan zwrócił do ogółu pracowników w języku niedawnych naszych ciemieżców, jakimi byli pańscy ziomkowie, to nic dziwnego, że podobne wystąpienie wywołało słuszne z ich strony oburzenie, przypomniało im bowiem niedawne jeszcze a wszechwładne panowanie tu, w Cudnie, całej zgrai rewirowych i żandarmów, którzy — jako przedstawiciele tych ciemieżców — bezpośrednio stykali się z ludnością, a zawsze wrogo byli względem niej usposobieni.

Mangołow słuchał uważnie wywodów Janusza i, milcząc, przytakiwał mu głową.

— Pan nie wie, panie Wasylu, — ciągnął zarządca fotografią — jakie tu, u nas, ohydne stosunki panowały, jaką sobie okropną pańscy ziomkowie urobili opinię. Niechże więc pan ma za wytłumaczonych naszych pracowników, którym mimowoli przypomniał pan swoim językiem, użytym do nagany, skądinąd słusznej, niedawno zerwane pęta niewoli. My wiemy, że pan nie włada językiem cudeńskim, ale niech się pan zgodzi z tem, że ten język jest w instytucji państwowej językiem urzędowym. Ten język znać winni wszyscy pracownicy, a tem więcej osoby zajmujące stanowiska kierownicze.

— Ja eto razumieju — starał się odpowiedzieć Mangołow po cudeńsku. — I bardzo panu dziękuję, co mienia pan a tom mówit

Śmiesznie brzmiała w ustach codzoziemca kaleczona w okrutny sposób mowa cudeńska, ale przekonała Porajskiego przynajmniej o dobrych chęciach uchodźcy z Bolszewji, który wśród obcych ludzi znalazł nie tylko dobry kawałek chleba, ale i stanowisko zajął niepoślednie.

Mangołow, wróciwszy do swego biura, usiadł przy biurku i jakiś czas nerwowo kreślił ołówkiem jakieś zygzaki po papierze. Wkońcu skinął na swego ziomka, którego wkręcił świeżo na rysownika, i rzekł pocichu:

— Dmitrij Pietrowicz, astieregajtieś Porajskawo. On — szowinist praklatyj! *).

*) Dvmitrze Plotrowiczu, niech się pan strzeże Porajskiego... On jest szowinistą przeklętym!...

Życzliwie przestrzeżony nowy pracownik menniszny Dymitr, syn Piotra Borsuk, skinał milcząc, głową i pochylił się nad rajsbretem, przy którym cały dzień potrafił przesiedzieć, niby kreśląc coś lub obliczając, a wsłuchując się pilnie we wszystko co się działo w dyrekcji technicznej i ucząc się jednocześnie języka państwowego, którego nie znał wcale.

Na stanowisku zarządcy pawilonem fotograficznym Porajski zadowolony był ze swojej sytuacji zarówno materialnej, jak i moralnej. W niczem jednak nie zmienił trybu swojej pracy i obcowania ze swymi „podwładnymi“. Po dawnemu chodził w niebieskim długim kitlu robotniczym, gwoli oszczędności ubrania, — tak samo pomagał fotografowi Miodnickiemu i kopiście Śliwkowi, i tak samo, jak przed Nowym Rokiem, tłumaczył z Fiszerem specjalne zawodowe dziełka niemieckie.

Po zatem razem z kierownikiem artystycznym, z którym się Janusz sardecznie zaprzyjaźnił, zarządca fotografją opracowywał plan zorganizowania i uruchomienia t. zw. „stacji doświadczalnej“, w której skład wchodziłyby i rysownia, i fotografja, i kopjalnia i ekspertyza, a także próbne produkowanie nowych walorów z zastosowaniem reagentów i reaktywów celem łatwego, drogą chemiczną, odróżniania fałszywych banknotów od dobrych.

Wówczas ekspertyza byłaby niezwykle prostą manipulacją, gdyż podejrzany banknot, przysłany na stację doświadczalną, poddawano by próbie chemicznej przez posmarowanie go w miejscu niezadrukowanem jakimś

plynem sekretnym. Papier winien reagować przez odpowiednie zabarwienie się lub też na dany płyn zupełnie nie reagować. To jedna próba. Inna polegałaby na doświadczeniu farby, użytej do druku podejrzanego banknotu. Jeśli dana farba reaguje pod odpowiednim kwasem, zmieniając odpowiednio barwę, — banknot jest prawdziwy. Jeśli zaś nie reaguje zupełnie, albo reaguje inaczej, — banknot napewno jest podrobiony.

Aby osiągnąć możliwość stosowania w praktyce takiej ekspertyzy chemicznej, należało przy udziale przysięgłych chemików preparować odpowiednie reagenty i dodawać je przy samej fabrykacji papieru banknotowego, który winien być nasycony odpowiednimi chemikaljami. Inne znów reagenty dodaje się do farb, które ma się zamierzać drukować banknoty. Do jednych i drugich reagentów należy mieć odpowiednie recepty reaktywów, których tajemnica mogła być powierzona tylko jednej, wybranej przez Mennicę osobie, celem uniknięcia zdrady lub niesłusznych o nią posadzeń.

Pozatem w programie stacji doświadczalnej leżałyby obowiązki wyprodukowania pierwszych próbnych wzorów banknotów w tajemnicy przed ogółem pracowników i oddawania gotowych, wypróbowanych sposobów produkcji do wykonania przez pawilony menniczne bez potrzeby wtajemniczania wszystkich pracowników w szczegóły wykonania, które miały pozostać w tajemnicy stacji doświadczalnej.

Projektodawcy zakresili takiej stacji doświadczalnej obszerny, i szczegółowo opracowany program działalności, a w różnych działach tej nowej instytucji mennicznej radzili się i konferowali z miejscowymi chemikami, ekspertami fałszywych walorów i głównym rysow-

wnikiem, bynajmniej nie kryjąc swego projektu pod korcem.

— Wkońcu Porajski wspólnie z Fiszerem ujęli swoją pracę w obszerny referat, który przedstawili prezesowi Mennicy do uznania i zatwierdzenia. Nie zaniedbali jednakże przedtem podzielić się swym projektem z dyrektorem Żbikowskim, który od siebie dodał wiele cennych szczegółów, jakie zaczerpnął ze swojej praktyki w mennicy zagranicznej.

Nazajutrz po złożeniu projektu, przyszedł do pawilonu fotograficznego prezes Podborski i nie miał słów na wyrażenie projektodawcom swego ukontentowania i gorąco im dziękował za podjęte trudy, oraz za inicjatywę w pracy twórczej przy budowie Mennicy. Wzruszony starzec serdecznie ścisnął ręce Fiszera i Porajskiego, zapewniając, że gdyby więcej współpracowników stanęło na takim, jak oni, stanowisku umiłowania sprawy, — wówczas szybki rozwój Mennicy państwowej wszedłby na właściwe tory. Przytem zachwycony referatem prezes zapowiedział, że niebawem przedstawi złożony mu projekt do ministerjum i uzyska odpowiednią sankcję na założenie tak pożądanej stacji doświadczalnej.

Tego samego dnia do gabinetu prezesa zamówił się z jakimś rysunkiem główny rysownik Mennicy, Drewnowski, który cieszył się wielkimi względami pana Podborskiego z tytułu giętkiego karku i służalczego nadszkarowania prezesowi.

Waldemar Drewnowski, który przed wojną pięknie rysował w jakiejś fabryce wzory na batysty i perkaliki, przypadkowo dostał się na rysownika do zakładanej właśnie Mennicy, pokazał bowiem kilka swoich rysun-

ków kolorowanych i laurek, które panu prezesowi bardzo przypadły do gustu.

Wszedłszy do gabinetu, Drewnowski załatwił interes, poczem zwrócił się do Podborskiego:

— Pan prezes podobno oczymał referat o stacji doszfiaczałnej?

Rysownik kiepsko władał językiem cudeńskim, bo choć w kraju się rodził i ładne nosił nazwisko, ale matkę miał Niemkę i ojca, zagranicą ziemczonego, a w dodatku sam ożenił się z Niemką, nie znającą ani jednego słowa w żadnym innym języku, prócz niemieckiego.

— Otrzymałem — odparł szef Mennicy.

— Chciałbym przejrzeć jak tam o rysowni stoi... Może pan prezes na chwilkę mi pozwoli ten referat.

— Owszem, proszę... Może pan jakie konkretne uwagi porobi co do swojej rysowni... Bardzo proszę,— rzekł Podborski, wręczając referat Drewnowskiemu.

— Jedno mnie tylko narazie dżywi — zaznaczył na odchodnym rysownik, — że to ktosz, a nie sam szef występuje z jakimysznówoszczamy...

Przesłanie projektu do ministerjum uległo zwłoce.

Drewnowski długo wczytywał się w referat i co chwila do słownika zaglądał, nie znając dobrze języka, a przytem i robotę miał pilną, rysunkową, — tak, że pracę Fiszera i Porajskiego zatrzymał u siebie na dłużej.

Po paru dniach prezes zapomniał już o projekcie swych podwładnych, boć przecież wiele ważniejszych spraw miał na głowie.

Drewnowskiemu nie na rękę było poddawanie się wraz z rysownią przyszłym kierownikom stacji doświad-

czalnej. Wówczas bowiem wyszłaby na jaw gwałtowna potrzeba oddania rysowni wraz z Drewnowskim w ręce kulturalnego artysty, któryby znał historię sztuki wogóle, a cudeńskiej w szczególności, — to jest jednostki uspołecznionej, posiadającej czynniki niezbędne przy projektowaniu cudeńskich walorów państwowych o rodzimych motywach.

Dotychczasowy główny rysownik Mennicy nawet mówić i pisać nie umiał po cudeńsku, a pierwszy raz w życiu widział album Matejki, który Porajski przyniósł był do rysowni, i o sławnym ilustratorze Andriollim nigdy nie słyszał, tłumacząc się otwarcie, że mało mu jest znane malarstwo... włoskie.

Ale sprytny był ten syn renegata, bo — wkradając się w łaski prezesa i członków zarządu Mennicy, pięknie wymalowanymi w godzinach służbowych adresami imiennymi, — umiał zaimponować temi laurkami bezkrytycznym władzom mennicznym, a swój talent rysowniczy postawić w opinii prezesa Podborskiego na wysokim piedestale.

To też niebezpiecznych kandydatów na rysowników Mennicy państwowej, nieraz prawdziwych artystów, rekomendowanych przez osoby znane i wpływowe, a przyjmowanych przez prezesa warunkowo, tytułem próby, — Drewnowski tak umiał przed szefem zdyskredytować, tak ich talenty i zdolności w zastosowaniu do wymagań Mennicy wykpić i skrytykować, że dwutygodniowego okresu próby żaden z prawdziwie kulturalnych artystów nie wytrzymał i, odpalony przez „kierownika“, odchodził.

Sprytny uzurpator kierownictwa rysownią tych tylko angażował rysowników, których konkurencji za-

wodowej się nie obawiał. I niedość, że trwał na swem stanowisku, ale tak umiał uniezależnić się od dykcji technicznej i innych władz naczelnych, że tylko Podborskiego za bezpośredniego swego szefa uważał i tylko z nim nad nowemi projektami się naradzał i mydlił czyli staremu prezesowi swoim talentem perkalikowo-laurkowym.

Nic dziwnego, że w przewidywaniu utraty swego nimbu artystycznego, Drewnowski starał się unicestwić projekt 'stacji doświadczalnej', która miała objąć i rysownie, dotychczas autonomicznie, a nawet po dyktatorsku przez analfabetę w sztuce rządzoną.

Porajski zaś, nie domyślając się losu, jaki spotkał referat o stacji doświadczalnej, zajął się wraz z Fiszerem opracowaniem memorjału, w którym wystąpił do władz ministerjalnych za pośrednictwem zarządu Mennicy z propozycją zamiany prędko ulegających zniszczeniu banknotów papierowych — na aluminiowe.

Że zaś Ziemię Cudeńskie obfitują w wielkie pokłady gliny aluminiowej, jak to zostało stwierdzone przez sławnego chemika i profesora-rodaka, — wydobywanie aluminium drogą elektrolizy w szeregach fabryk, rozrzuconych po kraju, dałoby zatrudnienie licznym rzeszom bezrobotnych, a wprowadzenie wartościowej waluty aluminiowej znakomicie podniosłoby jej kurs na giełdach zagranicznych.

Produkcja takich banknotów polegałaby na wyrobieniu cienkich arkusików, opatrzonych odpowiednimi napisami, drukowanymi lub tłoczonymi, z oznaczeniem wartości danego biletu bankowego w zależności od jego wymiarów. Wówczas nominalna wartość banknotu sta-

nowiaby realną wartość aluminium, cenionego bardzo na rynkach przemysłowych.

Memorjał tych dwóch pracowników, troszczących się o dobro Skarbu państwa, nie został jednak przesłany do ministerjum, spotkał się bowiem z niechętną i jakby zazdrosną krytyką gabinetowego inżyniera, jakim był członek zarządu Mennicy, Idzi Ważkiewicz, mający się za uniwersalnego specjalistę. Pan Idzio (tak go bowiem nazywano) orzekł, że „skórka nie stanie za wyprawę“, gdyż wydobywanie aluminium jest naogół zbyt kosztowne.

Projekt upadł, gdyż nikomu na myśl nie przyszło, aby jednakże zasięgnąć w tym względzie opinii rozumnych profesorów i zaprosić na konferencję owego wynalazcę wspomnianej w memorjale metody wydobywania aluminium, który przecież nie za górami przebywał, a stale mieszkał w rodzinnem Cudnie.

A przedewszystkiem projekt zasadniczo został wsunięty pod sukno dlatego tylko, że wyszedł pod firmą nieoględnych pracowników mennicznych, którzy przecież powinni byli znać służbę... W imieniu szefów naczelnych występuje się ze wszelkimi projektami, — tylko z ich polecenia opracowywa się wszelkie ideje... Znający swą służbę podwładny winien raz na zawsze zrzec się wszelkiej inicjatywy, a gdy się jaka w jego umyśle zrodzi, — winien umieć podsunąć ją szefowi i zrzec się na jego korzyść nawet osobistego zadowolenia moralnego.

Fiszer i Porajski służbistami stanowczo nie byli.

I to właśnie gubiło ich projekty, w najlepszej intencji poczęte.

XI.

Pewnego dnia Porajski otrzymał za podpisem prezesa Podborskiego pisemne polecenie od zarządu Mennicy wzięcia udziału w komisji, przejmującej od dotychczasowego wytwórcy banknotów, Weideckiego, wszystkie atrybuty, służące do wyrobu państwowych znaków pieniężnych, a mianowicie: klisz, kamieni, negatywów, rysunków, odbitek i t. p.

Nie pomogły były zakulisowe starania Weideckiego i jego konspiracyjne konszachty z miszuresami banku państwa, — nie pomogła jego zajadła a nieuzasadniona krytyka jakoby niedokładnego wykonywania banknotów stubonowych przez Mennicę, oraz intrygi, jakie sprytny przemysłowiec prowadził, celem utrzymania się przy obfitem źródle dochodów, — rząd postanowił ostatecznie zlikwidować swój stosunek z Weideckim.

Nie dość, bowiem, że wyrabiane przez niego walory dwa razy więcej kosztowały, niż wykonywane w Mennicy, — ale i klisze cynkowe, któremi banknoty drukowano, w tajemniczy sposób, dzięki śpiącej kontroli, u Weideckiego ginęły, a władze śledcze po różnych zakątkach Rzeczypospolitej Cudeńskiej wykrywały fałszerzy banknotów, których podejrzewano o posiłkowanie się temi kliszami.

— Trzy domy sobie kupił w ciągu dwóch lat — dowodził mistrz Miodnicki. — Bez najmniejszych wyrzutów sumienia obdzierał Skarb naszego państwa...

— Ba! A robotników to nie wyzyskuje? — wtrącił kopista Śliwek. — Za najmniejsze spóźnienie się do zajęcia potraça z ciężko zapracowanych groszy, a płaci najgorzej ze wszystkich... Znam dobrze tego krwiopijcę,

bo u niego pracowałem. Zdziertus jest, znany w całym Cudnie!

— A klisze, to podobno po dwudziestu tysiącach wydrukowanych arkuszy zmieniał, wtedy gdy u nas, w Mennicy, bije się po sto i więcej.

— Co mu szkodziło coraz to nowe klisze robić i za nie słono liczyć? A liczył cztery razy drożej, niż wszystkie inne cynkografie.

— I dobrym obywatelem kraju siebie nazywa, patrzy ją!...

— Ł a c h u d r a jest i kańciarz a nie obywatel!...

Janusz, uzbrojony niepochlebłą opinią o z bogacym na Skarbie państwa przemysłowcu, i opatrzone odpowiednimi instrukcjami Żbikowskiego, udał się do zakładu Weideckiego, gdzie kontrola menniczna zebrała wszystkie atrybuty wyrobu banknotów, jakie po różnych ubikacjach znalazła i ulokowała je w zapieczętowanym pokoiku.

Rzeczą komisji było rozsegregować zebrane przedmioty i jedne przejąć na rzecz Mennicy państwowej, inne zaś, obojętne, pozostawić na miejscu.

Komisji przewodniczył nadkontroler Bykowski, a delegat ministerjalny, oraz kilku urzędników z mennicznej kontroli i Porajski, jako rzeczoznawca z dziedziny fotochemigraficznej, dopełniali skład tej specjalnej komisji odbiorczo-likwidacyjnej.

Po odłączeniu obiektów, będących bezsprzeczną własnością prywatną Weideckiego, a niemających nic wspólnego z produkowaniem banknotów, komisja zdecydowała zabranie między innymi negatywów i kamieni, z których robiono kopje klisz cynkowych

Weidecki wówczas zaoponował:

— Kamienie są moją własnością i tych oddać nie mogę. Tylko za rysunek, na tych kamieniach wytrawiony, rząd mi zapłacił..

— Wychodząc z tego założenia, i zabranie negatywów pan zakwestionuje? — zapytał Porajski.

— Rozumie się, szkła również są moją własnością. Możecie panowie kazać zmyć i usunąć zarówno ze szkła jak i kamieni wykonane na nich rysunki, ale samych szkła i kamieni nie oddam.

— Zdawałoby się — zauważył Porajski, — że wobec tych miliardowych obrotów, jakie były wyrazem stosunków pańskich z ministerjum Skarbu, — nie będzie pan rościł pretensji do tych kilku szkła i kamieni, o blahiej stosunkowo wartości...

— ...jaką wreszcie Skarb państwa może panu zwrócić — dodał Bykowski.

— Nie mam na sprzedaż ani kamieni litograficznych, ani szkła, o które obecnie tak trudno u nas, w Cudnie — zaznaczył nieustępliwie Weidecki i w pilnej, jakoby, sprawie, odszedł do kantoru.

Członkowie komisji gotowi byli zezwolić Weideckiemu na zmycie negatywów i zeszlifowanie kamieni w obecności komisji. Oparł się temu ustępstwu Porajski, dowodząc, że negatywy tysiącbonowe są narazie potrzebne Mennicy, z nich bowiem należy pierwsze zrobić klisze, aby najmniejszym punkcikiem nie różniły się od klisz Weideckiego. Inaczej bowiem będzie niezwykle trudno zrobić w Mennicy nowe negatywy, któreby co do każdego punktu nie różniły się od negatywów Weideckiego. Tembardziej zaś, że detale oryginałów rysunkowych zaginęły i Mennica niemi rozporządzać nie będzie.

Co się zaś tyczy zeszlifowania kamieni, to Janusz był zdania, że rysunek litograficzny tak głęboko się wżera w warstwę kamienia, że nieraz po najdokładniejszym, zda się, zeszlifowaniu i spreparowaniu go na nowo, stary rysunek przebije i da się ponownie użyć do reprodukcji.

Komisja dość długo debatowała nad tem zagadnieniem, oczekując na powrót Weideckiego, który jednak się nie pokazywał.

W końcu Porajski podjął się odszukać Weideckiego i wytłumaczyć mu poufnie niewłaściwość jego obstrukcyjnego stanowiska wobec Mennicy i Skarbu państwa.

Spotkał go na schodach niższego piętra, gdzie się naradzał ze swym zarządzającym.

— Panie łaskawy! — rzekł Janusz bez wstępu. — W imieniu komisji mam honor panu oświadczyć, że postanowiliśmy zarówno negatywy, jak i kamienie zabrać, albowiem na nich jest wykonana praca, zapłacona przez Skarb państwa i — śmiem dodać — z nawiązką...

— Ja ani szkieł, ani kamieni oddać nie mogę — upierał się Weidecki. — Każcie, panowie, powtarzam, zmyć i usunąć wykonaną na tych przedmiotach na rachunek Skarbu robotę.

— A ja powtarzam panu — przerwał Porajski, — że zabierzemy, bez względu na pański upór!

— Jakto, naszą własność? — zauważył dyrektor Weideckiego.

— Tą własnością nazywacie panowie sam kamień i samo szkło, na których jednakże własnością naszą, skarbową, są wykonane rysunki banknotów. Te ostatnie, jako od szkła i kamieni nieodłączne, mamy prawo

zabrać i musimy zabrać, aby nadal posiłkować się niemi przy produkcji banknotów państwowych.

— Ja kamieni ani szkieł oddać nie mogę — upierał się Weidecki.

— Można tedy podejrzewać, że chciałby pan utrudnić pracę Mennicy państwowej, a nawet uniemożliwić jej produkowanie banknotów państwowych...

Weidecki milczał.

— Muszę więc zauważyć, że byłoby to ze strony pana czynem wysoce nieobywatelskim, no i — karygodnym nietylko w opinii społecznej... A zatem dodam, że opór władzy, jaki pan czyni, może być łatwo złamany przez wezwanie telefoniczne komisarza policji, który szanownego pana obezwładnić może, nawet na czas dłuższy...

Weidecki spojrzął przerażonemi oczami, jakgdyby czapka na nim gorzała i zwrócił je pytająco na swego dyrektora.

— Nie sądzę, aby komisja miała uciec się do gwałtu nad spokojnym obywatelem — zauważył dyrektor.

— Nad spokojnym, tak! Ale dla... szkodzącego z premedytacją komisja musi być bezwzględna — rzekł na zakończenie wzburzony Porajski i skierował się na górę.

Weidecki z dyrektorem podążyli za nim.

Po ostatecznem wypowiedzeniu się Janusza w tej sprawie przed komisją, Weidecki próbował jeszcze ocalić dla siebie zakwestjonowane objekty i odwołał się do opinii prezesa Podborskiego, z którym łączyły go przyjazne stosunki.

Wówczas ekspert Mennicy, inżynier Kaszyński, wydelegowany został do telefonu, aby porozumieć się

z prezesem, który zalecił był komisji „uprzejme i miękkie“ ostateczne zlikwidowanie stosunku z „pokrzywdzonym“ przemysłowcem.

Po chwili delegat powrócił z decyzją, akceptującą wniosek zabrania kamieni i negatywów przy protokularnym zapewnieniu zwrotu tych obiektów Weideckiemu w terminie miesięcznym.

Rola rzeczoznawcy Porajskiego była skończona.

Nadkontroler Bykowski zasiadł do spisania protokołu, Porajski zaś pośpieszył do swego zajęcia w Mennicy.

Nazajutrz zarządca pawilonu fotograficznego otrzymał do podpisu protokół ostatecznej likwidacji spraw u Weideckiego, już podpisany przez członków komisji Bykowskiego.

Ten elaborat kancelaryjny cechowała taka nieznamość zawodowa techniki fotochemicznej, nad którą w zakładzie Weideckiego jakoby czuwała kontrola z ramienia Mennicy, że Janusz uznał za właściwe nie kompromitować swego nazwiska akceptowaniem takiego protokołu, a natomiast zaznaczył na nim, że motyw odmowy swego podpisu wyluszczy zarządowi Mennicy w specjalnym raporcie.

Jakoż, porozumiewszy się z dyrektorem Żbikowskim, Porajski opracował obszerny referat, poddający ostrej krytyce system kontroli, jaki stosowany był w zakładzie prywatnym Weideckiego, a właściwie brak jakiegokolwiek systemu, zdrowej logiki i odpowiednio wykwalifikowanych ludzi, którzy bynajmniej nie wglądali w czynności pracowników, a tylko grali śmieszna rolę śpiących statystów, ignorujących całkowicie interesy Skarbu państwa.

Krytykę działalności kontroli, prowokującej prosto do czynów zdrożnych pracowników Weideckiego, wyrabiających banknoty, Janusz przeniósł na teren Mennicy i, traktując sprawę obiektywnie, lecz z wielką troską o interesy Skarbu, poparł swój raport licznymi przykładami, opartymi na osobistych spostrzeżeniach. Fakty przytoczył autentyczne i udowodnił je tak przerażającami w swej ignorancji szczegółami, że obaj dyrektorowie, Żbikowski i Chwytowski byli referatem Porajskiego wprost zachwyceni.

W ciągłej bowiem niezgodzie żyła ruchliwa administracja Mennicy z ospałą i gnuśną kontrolą. Ciągłe szykany wzajemnie sobie robiono. Ciągłe jedni drugim zarzuty różne czynili, wzajemnie się oczerniali i w owocej pracy sobie przeszkadzali.

Raport Porajskiego, skierowany za pośrednictwem dykcji technicznej do zarządu, wywołał niespodziewaną dla autora burzę.

Na zwołanem ad hoc posiedzeniu zarządu Mennicy przy udziale dyrektora technicznego i nadkontrolera odczytano ów wyczerpujący referat, w rezultacie czego — po ostrej wymianie słów pomiędzy Żbikiwskim, a urażonym wielce w swej dostojności Bykowskim, nadkontroler zgłosił swoją dymisję, czyniąc poważne zarzuty osobiste Żbikowskiemu, co również wywołało ze strony tego ostatniego podanie się do dymisji.

Dużo pracy i dyplomacji musiał włożyć prezes Podborski w ten konflikt służbowy, aby burzę zażegnać i poważnione strony uspokoić. Nieudolność jednak kontroli, ujawniona bez ogródek w raporcie Porajskiego, została napiętnowana wyraźnie i żadnymi okolicznościami łagodzącami usprawiedliwić się nie dała.

Fakty ignorancji były krzyczące i wołające o pomoc do Nieba.

Prezes Podborski postanowił zreorganizować całą kontrolę, a zwierzchnie kierownictwo tą reorganizacją powierzył członkowi zarządu, Idziemu Ważkiewiczowi.

Nadkontroler Bykowski przyznawał w duchu słusność zarzutom, czynionym ogółowi kontroli przez Porajskiego, lecz zdyskredytowany w swej doskonałości i poddany zwierzchniej władzy arbitralnego „Idzia“, jak popularnie Ważkiewicza nazywano, — postanowił sobie Porajskiego na węs namotać...

Natomiast Żbikowski wyraził „pogromcy kontroli“ swoje uznanie dla jego zmysłu spostrzegawczego i umiejętnego ujęcia nieudolności i bezczelności kontroli w jego raporcie, który całkowicie pogrzyżył w opinii nieprzejednanych wrogów administracji.

— — — — —

W dwa tygodnie po opisanych wypadkach w Mennicy zawrzało. Ministerjum zażądało zdwojonej ilości banknotów tysiącbonowych, których pierwszą serję dostarczono właśnie do Banku państwa.

— Weideckiego to sprawka! — utrzymywał Żbikowski. — Nie udało mu się przekonać władz ministerjalnych o rzekomej nieudolności Mennicy, zdołał więc przekupić swoich adherentów i ci wystawiają nas na próbę wydania ilości...

— Pozrzucamy z maszyn bandeorle, a może i część setkowych banknotów i puścimy zamiast nich tysiacbonówki — radził kierownik artystyczny, Fiszer.

— Tak, to tak! Ale klisz tysiączek jeszcze tyle nie mamy.

— To się zrobi... Wojtkiewicz śrubę u siebie przykręci i klisze będą. Mało to ma obecnie trawiaczy?!

— Wojtkiewiczowi zawsze coś staje na przeszkodzie — narzekał dyrektor. — Teraz znów uskarża się na fotografię, że mu kopji mało dostarcza.. Muszę pogadać z Porajskim.

W pawilonie fotograficznym rzeczywiście coś się nie kleiło.

Kopista Śliwek jakoś się opuścił w robocie, która mu nie szła i kopje psuł, składając winę — to na białko zepsute, — to na brak centryfugi, na której należało suszyć spreparowane płytki cynkowe, — to znów blacha cynkowa była niedobra, z ołowiem i „pasiasta“.. Śliwek wynajdywał co i raz jakieś powody, dla których załedwie po kilka kopji dziennie wypuszczał do kliszarni, wówczas gdy zwykle dawał tych kopji po dwanaście dziennie.

— Co się dzieje, panie Januszu?! — zawołał dyrektor, wpadając do pawilonu fotograficznego. — Wojtkiewicz narzeka, że nie ma co robić, bo kopji mu nie dostarczacie... A przecież klisze na gwałt są potrzebne!..

— Robi się, co można — zapewniał zarządca Porajski. Ale kopje psują się często podczas roboty.

— Centryfugi niema — wtrącił Śliwek.—Kopieć z „prymusa“ osiada na białku i paskudzi mi robotę...

Żbikowski się zachnął, nie lubił bowiem kopisty.

— Dotychczas było dobrze, aż dopiero teraz kopieć robotę panu psuje?!... Zamówić centryfugę w warsztatach, a z kopjami trzeba pośpieszyć.

— Centerfuga już od tygodnia zamówiona —
bąknął Śliwek. — Ale czy to warsztatom się śpieszy?...

Dyrektor zwrócił się do zarządcy:

— Niech pan każe dokładnie oczyścić „prymus“
i z robotą kopji o ile można pośpieszać. Pofajeranta
tami niech pan codziennie jedzie i — gnać, gnać, bo
pilno!...

Pomimo oczyszczenia maszynki i zmiany jakoby
złej nafty, — pomimo koleżeńskiego przynaglania kopi-
sty Śliwka przez Porajskiego i Miodnickiego, wydaj-
ność kopji nie tylko się nie zwiększyła, lecz nawet zna-
cznie spadła, gdyż z kliszarni coraz częściej odsyłano
kopje, jakoby za mocno, albo za słabo skopjowane.

Śliwek posądził Wojtkiewicza, że na złość mu ro-
bi, wybredzając w najlepiej wykonanej robocie. Na do-
wód czego prosił Porajskiego o powtórne posłanie od-
rzuconej wczoraj kopji, która rzeczywiście z kliszarni
po raz drugi, jako zbrakowana nie powróciła.

— A co, nie mam racji? To jest cholera ciężka
z tego Wojtkiewicza! — urągał Śliwek na majstra
z kliszarni. — Jak się ten drań uweźmie, to i z białego
zrobi czarne...

Miodnicki zaoponował:

— Pewno trawiacze wybredzają... Naprzyjmowali
różnych tam nowych, a wiadomo, że zlej tanecznicy to
i fartuszek przeszkadza...

Robota wciąż nie szła Śliwkowi, który, niecier-
pliwiąc się dopingowaniem go przez zarządcę, rzekł
doń z przekąsem:

— Nie lubię, jak mną ktoś pogania! To mię de-
nerwuje...

I, zamiast zwykłych dwunastu kopji, zaczął robić

zaledwie sześć, osiem i to przy pracy nadnormowej do godz. 10-ej wieczorem, t. j. w ciągu trzynastu godzin pracy.

Któregoś dnia kopista, dotknięty jakoby szykanami Wojtkiewicza, wziął przepustkę od zarządcy i udał się w sprawie służbowej do kliszarni, skąd długo bardzo nie wracał.

Skorzystał z jego nieobecności Porajski i własnoręcznie po raz pierwszy wziął się do zrobienia kopji na cynku. Odbitka się udała, z czego zarządca niezmiernie był dumny i postawił ją w szeregu innych gotowych kopji na koziołku, zalecając fotografowi Miodnickiemu, uczniowi i drzemiacemu kontrolerowi sekret przed Śliwką, który swoich atrybucji nikomu nie powierzał. Obawiał się konkurencji, choć był zdania, że nikt, tak jak on, tej pracy wykonać nie umie.

Po konferencji kopisty, jaką odbył w kliszarni, praca jego zaczęła iść tempem jeszcze powolniejszym. Dyrekcja techniczna dopominała się o szybsze dostarczanie klisz, Wojtkiewicz uskarżał się na pawilon fotograficzny, Porajski, nagabywany codziennie przez dyrektora, starał się dopomagać w pracy Śliwki, lecz kopista opryskliwie odrzucał wszelką pomoc, twierdząc, że robota kopji do niego wyłącznie należy.

Lecz zamiast się pośpieszyć z robotą, Śliwek całymi godzinami siedział beczynn timer, paląc papierosy lub czytając gazetę, dzięki czemu ilość wykonywanych kopji stale się zmniejszała.

— Nie jestem dzisiaj do pracy usposobiony — tłumaczył się Porajskiemu.

— Dajże pan spokój, panie Śliwek, — reflektował go zarządca. — Wczoraj zaledwie dwie kopje pan zro-

bił w ciągu trzynastu godzin pracy... Niechże się pan opamięta!

— Ja nie jestem piekarzem, a kopje, to nie bułki, których na godzinę można czort wie ile wypiec.

— Zapewne, ale dwie w ciągu trzynastu godzin...

— I dziś więcej nie zrobię!

— To pocóż mamy odsiadywać nadnormowe godziny? — pytał zarządca. — Zamknę budę i chodźmy o 5-ej do domu.

— Może się jeszcze namyślę... Posiedzimy sobie wieczorkiem, co to nam szkodzi? Zapłaca...

Janusz był oburzony na kopistę za takie lekceważenie sobie pracy i notoryczne okradanie Skarbu państwa. Usiłował przeto zmiłogować Śliwka, który wyraźną obstrukcję czynił w momencie tak dla Mennicy gorącym.

— Niech pan powie w dyrekcji, aby drugiego kopistę przyjęli. Jednemu za ciężko podołać...

— Żartuje pan chyba! — odparł Porajski. — Bogiem a prawdą w ciągu godziny lekko dwie kopje można zrobić. To uczyni w ciągu normalnych ośmiu godzin — 16 kopji, a z p o f a j e r a n t e m — aż 26. Niechby pan choć po 12 robił, jak doniedawna..

Na nic się jednak zdały wszelkie usiłowania Janusza, aby po koleżeńsku nakłonić kopistę do normalnej wydajności jego pracy. Śliwek się zaciął i ruszyć z miejsca nie chciał.

Nadszedł Żbikowski.

— Ile kopji wysłał pan dzisiaj do kliszarni? — zapytał zarządca.

— Dotychczas jeszcze żadnej. Dopiero jedną mam gotową — odparł Porajski.

— Jakto, jedną? Do godziny 3-ej zaledwie jedną kopję wyprodukował pański pawilon?

— Nie udają się — usiłował zarządca tłumaczyć.

— Jeśli się nadal udawać nie będą, przyjąć trzeba innego kopistę! — zdecydował wzburzony dyrektor. — Od tego pan jest zarządcą, aby wydajności pracy wymagać! Na pana całą odpowiedzialność składam za konsekwencje, mogące wyniknąć z tej opieszałości!

— Słyszał pan? — zwrócił się Janusz do kopisty po wyjściu dyrektora.

— Słyszałem! — odparł. Niech pan przyjmie drugiego kopistę. Sam Żbikowski przecież to mówił.

— Dyrektor mówił nie o drugim, a o innym kopiście... Ewentualnie — na miejsce pana.

— Eee, to tak łatwo nie idzie! — zaśmiał się ironicznie Śliwek i zabrał się do czytania „Roba Cudeńskiego“.

Wobec takiego nieprzejednanego stanowiska swego pracownika, zarządca utracił już całkowicie nadzieję, aby można było kopistę polubownie do pracy nakłonić. Chcąc przeto ratować przykrą sytuację, która mogła się odbić poważnie na interesach Mennicy, Porajski udał się do Żbikowskiego po dyrektywę co czynić, aby nie narażać Skarbu państwa na wstrzymywanie tak pilnej produkcji banknotów.

Powróciwszy, zwrócił się do kopisty w formie urzędowej, aczkolwiek poufnie, na uboczu:

— Panie Śliwek! Nieprzejednane stanowisko pańskie, jakie pan zajął wobec pilnej potrzeby państwowej, zmusza mnie do oficjalnych z panem stosunków. Wyczerpałem wszystkie środki, którymi rozporządzałem, jako były kolega pański, obecnie więc już nie proszę prywa-

tnie, a żądam oficjalnie, jako zarządca pawilonem, za który jestem przed władzą odpowiedzialny. Otóż, jeśli w dniu jutrzejszym, w ciągu normalnych ośmiu godzin nie dostarczy pan ośmiu dobrych kopji, — będę zmuszony przedstawić pana do... dymisji! Niech pan to sobie rozważy.

— Dobrze, rozważę sobie — mruknął Śliwek obojętnie.

— Żądanie moje jest nieustępliwe, bo też i wcale nie wygórowane. Sprawa pańskiego „być albo nie być“ jest najpoważniej w dyrekcji traktowana. Niech pan pamięta o żonie i dzieciach, które pan karmić musi. Tymczasem zaś pójdziemy do domu, bo godzina 5-ta nadchodzi.

Śliwek nic nie odpowiedział, a po dzwonku wysunął się z pawilonu bez pożegnania.

Nazajutrz kopista przyszedł nachmurzony, spóźnniejszy się o kwadrans czasu i, jak zwykle, dwie godziny stracił na mycie się i spożywanie śniadania.

Zarządca nie uważał za stosowne „poganiać“ pracownika, pozostawiając mu wolną rękę.

Do godziny 5-ej zaledwie trzy kopje wyszły do kliszarni.

— Miał pan osiem kopji zrobić — zauważył Porajski.

— A cóż to ma być a k o r d? Akordowo nie wolno pracować robotnikowi cudeńskiemu, tylko na I o n. Ja dniówkę swoją odrobiłem, a na sztukę pracować nie myślę.

Porajski zamknął swój pawilon uważając pracę nadnormową w tych warunkach za czas stracony. A, stosownie do dyspozycji Żbikowskiego, złożył w dy-

rekcji raport o zwolnienie beznadziejnie rozleniwionego, czy też zdeprawowanego przez kogoś pracownika.

Nazajutrz kopista Śliwek nie zgłosił się do pracy.

Zdziwiło to bardzo personel fotograficzny, a mistrz Miodnicki zauważył:

— Musiał chyba jaką dobrą kondycję otrzymać. Ciekawym jednak — gdzie? Wszędzie teraz stagnacja, cynkografie ledwie dyszą. A gdzieby mu zresztą tyle co tutaj zapłacili?

Ratując sytuację, Janusz wziął się sam do roboty i, zastępując kopistę, do godziny dwunastej osiem kopji wysłał do kliszarni, z obawą ile też zwróca zbrakowanych.

Nie zwrócono ani jednej.

— A to się Śliwek wziął w kupę! — dziwił się majster Wojtkiewicz, nie wiedząc o nieobecności kopisty. — i dobrze robi i dużo robi!... Musiał mu Żbikowski zadać pi e r c u...

Po obiedzie do godziny 5-ej znów osiem kopji wysłał zarządca Porajski do kliszarni i znów ani jednej mu nie zwrócono.

— Co on tam, Śliwek opowiadał! — zauważył mistrz Miodnicki. — Gdyby Wojtkiewicz miał się go czeplić, toby napewno i teraz jakie kopje zbrakował, nie wie bowiem, że to kto inny robi...

— I nie trzeba nic mówić — dodał poufnie, — że to pan sam robi, boby trawiacze zaraz braków się dopatryli, albo i co gorszego zamierzyl...

Porajski pozostał na godziny wieczorne i gorliwie kontynuował pracę kopisty.

Zaszedł do pawilonu fotograficznego Fiszer i zdumiał się sprawnością zarządcy. Pośpieszył więc zape-

wnić Żbikowskiego, że Wojtkiewicz nie będzie się już skarżył na brak kopji, albowiem Porajski w nieobecności Śliwka „otworzył piekarnię“...

Wieczorem do fotografii przyszedł dyrektor Żbikowski w towarzystwie Mangołowa, oraz kilku zarządców i urzędników, aby naocznie się przekonać czy rzeczywiście jest prawdą, że Porajski z powodzeniem zastępuje kopistę.

Właśnie zarządca fotografią, ubrany jak zawsze, w długi niebieski kitel robotniczy, stał nad wanienką i zamazyście szorował kawałek blachy cynkowej szczotką i kredą.

— Przyszliśmy, aby popatrzeć na proletarjacką robotę pana zarządcy — rzekł na wstępie dyrektor.

— Uporam się, jak mogę — odparł wesoło Janusz, — chcąc dowieść, że nic nadzwyczajnego nie wymagałem od pana Śliwka, żądając od niego choć po jednej kopji na godzinę.

I robi pan więcej?

— Po dwie i to bez szczególnego pośpiechu.

— Radbym popatrzeć — rzekł Żbikowski, częstując zarządcę papierosem.

— Proszę! Niech pan zechce spojrzeć na zegarek.... Biorę oto nowy kawałek blachy i zaczynam go szorować... Tę pracę pomocniczą zwykle wykonywa uczeń, który o 5-iej poszedł do domu.

— Cały areopag okrążył Porajskiego i przypatrywał się jego pracy.

— Chciałoby mi się tak paprać! — mruknął jeder z obecnych zarządców, a Mangołow zauważył:

— Wiadomo, wy — b i e ł a r u c z k a !

— Teraz oto, — ciągnął Janusz — po wyszorowa-

niu blachy zatłuszczonej, kładę ją w kuetę z kwaśnym rozczyntem, aby się troszeczkę zoksydowała... Blacha bowiem zbyt dobrze jest polerowana i białko się na niej nie trzyma... Wyjmuję ją z kuetety i oblewam dokładnie białkiem z dwuchromianem amonu, uważając aby najmniejszy pęcherzyk na płycie się nie utworzył... Następnie trzeba tę warstwę światłoczułą wysuszyć..

— A obecnie, póki mokra, nie jest czuła na światło?
— zapytał ktoś z obecnych.

— Nie! Światło zwykłych żarówek nic jej nie szkodzi... Suszymy dość prymitywnym sposobem, bo jak panowie widzą, nad „prymusem“... Parzy się przytem ręce od rozgrzanej blachy i naraża się na zanieczyszczenie warstwy białka sadzami, co się często zdarza...

Zebrani uważnie przyglądali się robocie, wykonywanej dość sprawnie przez amatora-kopistę...

— Następnie, po dokładnem wysuszeniu i obtarciu wilgotnych brzegów watą, otrzymujemy blachę spreparowaną, na której dokonywamy zaraz właściwego kopjowania...

Porajski, postawiwszy blachą na koziołkach, zajął się przygotowaniem ciężkiej ramy kopjowej, w której leżał na grubej tafli szkła, negatyw banknotu tysiãcbonowego. Poczem, ostrożnie położywszy na nim płytke spreparowaną, okrył to wszystko wojłokiem, zamknął rame i ustawił ją w odpowiedniej odległości od dużej lampy łukowej, uregulował węgielki i otworzył wyłącznik.

Zasyczał żar między węglami lampy i jasne światło z reflektora padło oślepiającym blaskiem na tafle ramy kopjowej.

Janusz sporzał na zegarek i irzekł:

— Teraz dziesięć minut mamy odpoczynku, tyle

bowiem czasu musi trwać kopjowanie z tego właśnie negatywu... Na upartego możnaby ten czas spożytkować na oczyszczenie lub spreparowanie drugiej płytki... Ale — robota nie zając, nie ucieknie... Lepiej sobie odpocząć.

Cały areopag cierpliwie oczekiwał, rozglądając się po pawilonie fotograficznym, do którego normalnie wstęp był dla wszystkich zamknięty.

Po upływie dziesięciu minut Porajski zamknął wyłącznik, poczem przewrócił ramię, odkręcił śruby i osroźnie wyjął płytkę cynkową, na której rysunek banknotu zaledwie był widoczny.

— Pociągniemy ją teraz farbą drukarską tym oto wałkiem, uważając, aby równo pokryć płytkę czarną warstwą... Gotowe!... A teraz wkładamy ją na parę minut do kiuwety z czystą wodą... I znów chwila odpoczynku, którą można spożytkować... Ale nam się nie spieszy...

Obecni z ciekawością oczekiwali końca demonstracji, a Janusz z drżeniem myślał co będzie, jeśli ta kopja akurat się nie uda...

Kompromitacja i śmiech szydrczy czekał go ze strony kolegów, którzy jakby ironicznie i sceptycznie patrzyli na „proletarjacką“ robotę swego kolegi-zarządcy.

Zaczął ostrożnie wata przecierać w wodzie płytkę uczernioną, a po chwili na świecącym tle cynkowem zarysowywać się zaczęły coraz wyraźniej czarne kontury skopjowanego rysunku i wreszcie cała kopja w najdrobniejszych szczegółach, pokrytych czarną farbą, ukazała się oczom areopagu.

— Kopja gotowa! — rzekł trjumfująco Porajski, wyjmując ją z kiuwety. — Proszę, obejrzyjcie panowie...

— Jak długo trwała robota? — zwrócił się z pytaniem do Żbikowskiego.

— Dwadzieścia osiem minut! — odparł dyrektor, spojrzawszy na zegarek.

— A więc czy nie można lekko dwu kopji zrobić w ciągu godziny?... A przecież i dwukrotnie odpoczywa się w trakcie roboty, raz — podczas wyświetlania, a drugi podczas odmokania kopji...

Kopista Śliwek nawet jednej kopji na godzinę nie podjął się robić — zauważył dyrektor. — Oto macie panowie przykład złej woli robotnika, który brał dobrą zapłatę za... próżnowanie.

— Czy nie zawiadomił dyrekcji dlaczego nie przyszedł dzisiaj do zajęcia? — zapytał Porajski.

— Nie potrzebował, bo został zwolniony...

— Tak zaraz, z punktu?

— Jeszcze wczoraj wieczorem wydałem dyspozycję warcie, aby go dziś z rana do Mennicy nie wpuszczono... U nas zawsze z punktu się zwalnia nieodpowiedniego pracownika... Trzeba trafu, że dzisiaj spóźnił się akurat o 45 minut i spotkał się z taką przykrą nowiną.

— Będzie teraz laził i skamlał, aby go przyjęto z powrotem — zauważył któryś z zarządców.

— No, eto nie prajdiot!... (to nie przejdzie) — zapewnił Mangołow. — On zaczął grubą grę, wyobrażając sobie, że bez niego się nie obejdziemy, że kopjowanie — to wielka fiła sofja!...

— Nie filozofja — przyznał Żbikowski. — Ale przecież stale pan Janusz kopjować nie może.

— Zapewne, — zauważył Porajski — nudna to w gruncie rzeczy praca... Dokoła Wojtek ciągle to samo...

— Trzeba postarać się o nowego kopistę — rzekł dyrektor, a kłaniając się ostentacyjnie Porajskiemu, dał na odchodnem:

— Dziękujemy pięknie panu zarządcy za dobry przykład, który głośnym echem obije się o całą Mennicę...

— Różni różnie go przyjmą — zauważył Porajski.

— Zapewne. Ale ja osobiście wyrażam panu swą wdzięczność i uznanie...

Żbikowski wyszedł, a za nim podążyli jego satelici, których umyślnie był sprowadził, aby im za przykład postawić zarządcę, co się nie wstydził pracy robotnika i umiał ją sprawnie wykonać.

XII.

Nazajutrz kopista Śliwek ni zjawił się w Mennicy; po należną mu dwutygodniową odprawę, natomiast dopilnował zarządcę Porajskiego na ulicy i jał go molestować o zawieszenie dymisji, przyrzekając, że będzie pracował rzetelnie i zgodzi się na określone minimum wydatności, byleby go chleba nie pozbawiać.

Zajrzała mu bieda w oczy.

Dwutygodniowy zarobek rozejdzie się w przyspieszonym tempie. Wiadomo przecież: brak zajęcia, doskwieranie żony, wałęsanie się po ulicach, poszukiwanie pracy po różnych zakładach, troska, zmartwienie, wreszcie — zalewanie robaka...

Porajski szczerze skruszonemu kopiście radził udać się do dyrektora Żbikowskiego, który wydał decyzję i on tylko może ją cofnąć, gdy zechce.

Śliwek poszedł do Mennicy i pod pretekstem rozrachunku zamówił się w wartowni do biura dyrekcji technicznej, gdzie likwidacje stosunków służbowych załatwiał kierownik kancelarii Wukowski.

— Panie naczelniku, zmiłuj się pan nade mną! Toć ja na bruku zostanę, bez zajęcia, bo w całym Cudnie niema wolnej kondycji...

— Współczuję panu głęboko — odparł Wukowski. — Nie mogę jednak uchylić decyzji dyrektora Żbikowskiego. Mam polecenie wypłacić panu odprawę służbową z potrąceniem należności za drzewo i inne deputaty. Po zatem nic więcej uczynić nie mam prawa.

— Możeby pan naczelnik zechciał ułatwić mi widzenie się z panem dyrektorem...

— Napróżno, nie przyjmie pana... Jeśli pan jednakże chce się widzieć z panem Żbikowskim, mogę poufnie panu poradzić: wejdź pan do gabinetu bez meldowania... Właśnie dyrektor jest samo becznie u siebie w pokoju.

Śliwek nie bez trwogi zastukał w drzwi i wszedł do sanktuarjum dykcji.

Panie dyrektorze szanowny, niech pan mi daruje opieszalność służbową — zaczął na wstępie.

— Jaką opieszalność, panie Śliwek? Przez pana obstrukcyjną działalność przemawiało krańcowe leniństwo... Lub też — jakaś namowa prowokacyjna.

— Głupi byłem, panie dyrektorze!... Najsolennież przyrzekam, że będę uczciwie pracował, że z góry podpiszę się na oznaczone minimum wydajności, a gdybym przyrzeczenia nie dotrzymał, wówczas wydalij mię pan dyrektor bezapelacyjnie...

— Nie, panie, nie mogę dla pana zrobić. Prezes już pańską dymisję podpisał, odprawę służbową wypłaci panu pan Wukowski.

Śliwkowi oczy nabiegły łzami.

— Panie dyrektorze, niech się pan zmiłuje nade

mną! Toć ja muszę karmić żonę i pięcioro drobnych dzieci!...

Zdawało się, że na twarzy Żbikowskiego odmalowało się jakby współczucie dla skruszonego winowajcy swojej dymisji, który rzewnymi łzami płakał przed nim i błaga o niepozabawianie go chleba dla dzieci..

Złudzeniem jednak była chwilowa słabość dyrektora.

Wstając z za biurka, odezwał się cierpko:

— Pan sam sobie winien. Należało pracować, a nie wymyślać fantastycznych obstrukcji na szkodę interesów państwa... Nie zastosował się pan do ultimatum zarządcy pawilonem, dymisja została panu sprawiedliwie udzieloną i — klamka zapadła...

— Żegnam pana, panie Śliwek — dodał po chwili dyrektor — i życzę panu powodzenia na nowem miejscu.. Żegnam!

Śliwek wyszedł zapłakany, a w biurze technicznem długo jeszcze stał przed biurkiem Wukowskiego, błagając go o pomoc,

Wkońcu pokwitował z otrzymania odprawy służbowej i, odprowadzony przez wartownika, opuścił Mennicę na zawsze.

Tego samego dnia, jeszcze przed przyjściem Śliwka, zgłosił się do wartowni kandydat na kopistę, rekomendowany przez mistrza Miodnickiego. Zawiadomiony o tem Porajski wyszedł do kandydata, w którym poznał młodego o sympatycznym wyrazie twarzy człowieka, który chętnie zgłaszał swą pracę, przyrzekając stawić się do roboty po upływie trzech dni, t. j. po rozwiązaniu swoich stosunków z prywatną cyngografją.

Tymczasem do kopjowania wziął się mistrz Miodnicki wraz z uczniem i praca w pawilonie fotograficznym

szła normalnie, a nawet intensywnie, bo kliszarnia zaopatrywana była w kopje z dość dużym ich zapasem.

I znów kliszarnia zaczęła narzekać na fotografię, — tym razem o to, — że za dużo kopji dostarcza. Majster Wijtkiewicz „poganiał“ swoich pracowników, bo codzień jeśli nie dwie, to jedna nowa maszyna musiała być narządzona kliszami tysiącbonowemi, aby sprostać trudnemu zadaniu, narzuconemu przez ministerjum.

Trawiacze wzięli się jednak do pracy i bynajmniej żadnych kroków czynnego lub biernego protestu nie czynili, jak tego obawiała się administracja Mennicy z racji wydalenia kopisty Śliwka. Między trawiaczami byli ludzie rozumni i pracownicy o tyle rozwinięci, że sprawiedliwie oceniając słuszną karę, jaka spotkała wydalonego, nie poddali się podszeptim jednostek, a przeciwnie — gorliwie pracowali, zadowalając gwałtowne potrzeby Mennicy.

Zgodzony nowy kopista nie zjawił się jednak w określonym terminie do pracy.

— To sprawa Śliwka — przypuszczał mistrz Miodnicki. — Musiał dowiedzieć się kto mianowicie kandyduje o jego miejsce i steroryzował młodzaka... Nie traci widać nadziei, że Mennica w braku innego pracownika będzie zmuszona przyjąć go z powrotem. To, to oni umieją, Popsuje!...

Do czasu przyjęcia odpowiedniego kandydata mistrz Miodnicki sam, przy pomocy ucznia robił kopje „tysiączek“ nietylko na blasze cynkowej, ale zaczął je robić przy zmienionym sposobie preparowania i na miedzianej blasze, którą właśnie do magazynów Mennicy sprowadzono.

Kliske miedziane, aczkolwiek trudniejsze w wyko-

naniu, jednak znacznie dłużej wytrzymały i dawały większą ilość doskonałych odbitek.

Po kilku dniach pracy przy kopjowaniu, mistrz Miodnicki, skrobiąc się w głowę, zagadnął Porajskiego:

— Proszę pana, jabym ostatecznie zgodził się stale z pomocą ucznia, robić te kopje, tylko nie wiem, czy dyrekcja zgodzi się na podniesienie mi warunków...

— A jakież mistrz warunki postawi?

— Jabym uważał, że skoro dwie czynności spełniam: i fotografa i kopisty, to należałaby mi się dniówka moja i dniówka kopisty...

Zarządcą uśmiechał się pod wąsem.

— Napozór żądanie pańskie wydaje się zupełnie słuszne... Tylko, że jednocześnie dwu czynności mistrz nie spełnia, bo skoro fotografuje, to kopjowanie przerywa. a skoro zajęty jest kopjowaniem, to fotografować jednocześnie nie może... A zresztą mistrz, jako fotograf, tak mało ma obecnie zajęcia: jedno zdjęcie na dwa, trzy dni... Prawda?

— Niby tak, siedzę często całymi dniami beczynnie, ale zawsze... Poco ma przepadać dniówka przeznaczona dla kopisty?

— I to Rob mówi! — zauważył jowialnie Porajski.

— Taki stary, wypróbowany Rob i dobry obywatel kraju, który i tak, dzięki Bogu, zarabia przyzwoicie... Dniówka, zaoszczędzona na kopiście przecież nie przepadnie, a będzie oszczędnością Skarbu państwa...

— Ja niby nie nastaję — począł się wycofywać Miodnicki. — Tylko tak sobie wykalkulowałem... Zdało mi się, że sprawiedliwie będzie...

— Nie, mistrzu, nie! Jeśli jednak dłużej mamy pozostać bez kopisty, a mistrz w wolnych chwilach od bezpośredniej swojej pracy zechce zajmować się kopjowaniem, które tak doskonale wykonywa, to będzie zu-

pełnie usprawiedliwione aby dyrekcja techniczna przyznała panu specjalną podwyżkę...

— No, choćby podwyżkę! — zgodził się fotograf.

— Przrzekam panu postarać się o nią — zapewnił Miodnickiego zarządca, klepiąc starego mistrza po ramieniu

Pewnego dnia dyrektor Żbikowski zagadnął Porajskiego:

— Panie Januszu, ooby pan powiedział, gdybyni pana awansował na swego pomocnika w dziale personalnym?...

— Z jakim, mianowicie, zakresem działalności?... Przecież jest inżynier Mangołów.

— Pan Mikołaj nie może już podołać nawałowi pracy: Mennica się rozrasta, sprawy mnożą się coraz bardziej, a rygor rozprzega się jakoś powoli... Mangołów objąłby wyłącznie nadzór nad techniczną stroną Mennicy, a pan zająłby się sprawami pracowników...

Porajski nie rozumiał dokładnie na czym jego zajęcie miało polegać.

— Bo to, uważa pan, ja nie mam tak rozwiniętego zmysłu jak pan i nie zawsze umiem rozróżnić co w trawie piszczy... Mangołów zaś nie jest popularny wśród pracowników i albo jest za bardzo ostry, albo jest za bardzo ustępliwy w kwestjach warunków pracy robotników... A pan i praktykę robotniczą przeszedł i bliżej się styka z pracownikami fabrycznymi, przeto będzie pan umiał łatwo dezyderaty zauważyć, a już ja złe w porę będę umiał zażegnać...

— Nie wiem czy dobrze zrozumiałem, lecz zdaje mi się, że taki pomocnik w dziale osobowym przykre będzie miał funkcje...

— No, nie tak znów przykre — bagatelizował dyrektor. — Będzie pan moją „prawą ręką“ i wszystkie podwyżki lub awanse służbowe pracowników zależeć będą od pana... Te funkcje nie są znów tak przykre...

— Da mi pan trzy dni do namysłu? — zapytał Janusz.

— Owszem, bardzo proszę... Nie wątpię, że pan przyjmie moją propozycję, połączoną z podwyżką pensji.

Tego samego dnia przy wyjściu wieczorem z Mennicy, Porajski spotkał się w wartowni z Mangołowem, któremu zwierzył się poufnie z propozycji, otrzymanej świeżo od Żbikowskiego.

Mangołow, zatrwożony o swoją własną sytuację, odprowadził Janusza do domu, choć sam mieszkał w przeciwnej stronie. Idąc, wyciągnął z łatwowernego i otwartego kolegi szczegóły jego rozmowy z dyrektorem. Wkońcu, wysadowawszy go należycie, chytrze zaopiniował, mówiąc tajemniczo:

— Wiecie co? Żbikowski chce zrobić z was takiego subiekta, który wszystko, co się dotyczy pracowników, musi spostrzec i widzieć, a jego o tem zawiadamiać.

— Zausznikiem swoim chce mnie zrobić, czy czemś w tym rodzaju? — obruszył się Janusz.

— Na to wyjdzie... On mi coś nawet napomykał i tem... Nie zaszczytną rolę panu proponuje, nie!

— Zawiódł się na mnie Żbikowski... Ja takiego stanowiska nie przyjmę..

— Ja myślę! To ubliżałoby godności człowieka...

Z temi słowy Mangołow pożegnał oburzonego Porajskiego.

Nazajutrz przed wieczorem, gdy Żbikowski siedział

w swoim gabinecie, Mangołow poszedł do niego na poufną konferencję.

— Podobno wy chcecie awansować Porajskiego na swego drugiego pomocnika?

— Skąd o tem wiecie?

— Tak mówią na fabryce...

— Kto wam mówił?

— No kto?... — wykręcał się Mangołow. — On sam to rozgadał i mnie o tem mówił...

— Jak, mianowicie, mówił?

— Oповідаł, że wy chcecie z niego zrobić danoszczyka (donosiciela), któryby wszystkie plotki z fabryki wam donosił, śledził za pracownikami i oczerniał ich przed wami...

— No, czyż tak pojął moją propozycję?

— A nie inaczej... Lecz ja wam to mówię konfidencjonalnie... I proszę z tego użytku nie zrobić, bo straciłbym u Porajskiego zaufanie, a on ma wpływy na fabryce...

— No, rozumie się — odparł w zamyśleniu Żbikowski. — Nie posądzałem Porajskiego o taki nietakt... Jeżeli już wszystkim rozgłosił o mojej propozycji i w takim ja oświetleniu stawia, to niechże sobie czeka teraz na awans...

Mangołow zadowolony był ze skutku swej intrygi, gdyż Porajskiego zniechęcił do przyjęcia propozycji awansu i Żbikowskiego nastroił przeciw niemu. Nie będzie więc potrzebował dzielić się z nikim władzą i swymi wpływami na Żbikowskiego.

Po wyjściu Mangołowa wszedł do gabinetu dyrektora technicznego jego przyjaciel, Chwytowski.

— Coś taki osowiały? — zapytał.

Żbikowski machnął ręką.

— Et! — mruknął — Zawodzę się na ludziach...

— Na kim znów?

— Na Porajskim, na którego najwięcej liczyłem...

Żbikowski opowiedział z czem był u niego prze i chwilą Mangołów.

Dyrektor handlowy, wysłuchawszy zwierzenia przyjaciela, odezwał się cierpko:

— Czyś ty Gustek, nie pośpieszył się zbyt z zamiarem awansowania Porajskiego na swego drugiego pomocnika?

— No, dlaczego?... I prezes był za tem.

— Co tam stary rozumie! Radziłeś się pani Eufemji?

— Nie.

— To szkoda! — zapewnił Chwyrowski. — Nasza prezesowa ma silnie wyrobioną intuicję kobiecą i boi się Porajskiego.

— Czego?

— Boi się jego spostrzegawczości i jego inicjatywy. On na stanowisku twego pomocnika za dużo może widzieć i wiedzieć. Ty mnie rozumiesz? Za blisko będzie się ocierał o ściany twego gabinetu.

— Nie przyszło mi to na myśl — wyznał Żbikowski.

— A widzisz! Dobrze się stało, jak się stało i swej nierozważnej propozycji nie ponawiaj.

Dyrektor techniczny milczał, zamyślony.

— Jakże stoi sprawa kupna drukarni Cwaniewicza? — zapytał po chwili dyrektor handlowy.

— Dobijamy targu, choć mam wrażenie, że Cwaniewicz chce nas orznać. Nie wiem czy cała jego buda warta jest połowy tego, co żąda.

— Można przecież sprawdzić inwentarz, ocenić. No, a co będzie z waszym kurtażem?

— Wiesz przecie. Można to z nim mówić o kurtażu? Sam w rozmowie przedwstępnej robiłeś w tym kierunku aluzję, a on udawał, że nie rozumie.

— Sam, bestja, chce się obłykać—zauważył Chwyrowski. — Ale jest sposób, uważasz?

Tu dyrektor handlowy przysunął się do dyrektora technicznego i długo z nim szeptał poufnie, a przekonywająco.

Porajski po chytrem wyjaśnieniu mu przez Mangołowa charakteru stanowiska, proponowanego przez Żbikowskiego, czuł się urażony w swej ambicji. Wstyd mu było przyznać się przed którymkolwiek z kolegów do otrzymanej od dyrektora propozycji i milczał, postanowiwszy nie dawać Żbikowskiemu przyrzeczonej odpowiedzi.

Dyrektor techniczny ze swej strony jakby zapomniał o swej propozycji i już jej nie ponawiał. Zajęty był przytem sprawą nabycia dla Mennicy drukarni Cwaniewicza, leżącej na drugim końcu Cudna.

Decyzja kupna tego zakładu na rzecz Skarbu była już postanowiona. Należało jednak sprawdzić szacunek maszyn i utensylji. W tym celu zarząd Mennicy wyznaczył komisję, złożoną z kilku urzędników zarządu, oraz majstra Mundraka, jako biegłego i specjalisty.

Sprytny człowiek postanowił skorzystać z okazji i, uprzedzając telefonicznie Cwaniewicza o mającym nastąpić wyjeździe komisji, zastrzegł sobie pieniądze prowinizję od zrobionej tranzakcji.

Cwaniewicz, który znał Mundraka, jako byłego swego pracownika ze strony nienajlepszej, zwymyślał go

od ostatnich, a w dodatku zatelefonował do prezesa Podborskiego, wyrażając zdziwienie, że takie osobniki, jak Mundrak, mają szacować jego majątek i że wogóle takie indywidualia są tolerowane w Mennicy państwowej.

Mundrak z komisją nie pojechał.

— No, teraz już z Mundrakiem będzie koniec, — rzekł majster Pańkowski do swoich maszynistów, komentując głośny fakt zatargu z Cwaniewiczem. — Skompromitował strasznie całą Mennicę.

— Wyleją go nareszcie? — zapytał Dąbkowski.

— Gorzej. Mogą pod sąd oddać, jako pracownika instytucji państwowej, który domagał się łapówki.

— Ciepło mu będzie!

— A ja wam p e d a m, że nic mu nie będzie — wtrącił Kielbasiński.

— No, już i ojciec zaczyna jego stronę trzymać.

— Co, ja trzymam z takim ł a j d u s e m?! — zawołał oburzony maszynista. — Niech mnie Bóg Jedyny od tego broni! Ja ino wam p e d a m, że ten k a Ń c i a r z zwąchał się, wicie z kim?

Tu Kielbasiński głos zniżył i dodał szeptem:

— Z d e r e k t o r e m. Ze Żbikowskim.

Zebrani maszyniści spojrzeli po sobie porozumiewająco.

— Bardzo możliwe — jeden z nich przyznał. — Ciągłe mają ze sobą konszachty. Być może, że Żbikowski podstawił Mundraka, ale ten nieumiejętnie wziął się do rzeczy.

— To też go Żbikowski i wyratuje z tego kawału! — dodał Kielbasiński. — Zobaczycie.

W parę dni później do pawilonu fotograficznego

przyszedł Mangołow i zwrócił się do zarządcy z propozycją:

— Panie Porajski czy wyby nie chcieli zarządzać tą nową filją Mennicy? Sami sobie będziecie dyrektorem, rządzić się będziecie autonomicznie, samodzielnie.

Aczkolwiek Porajski nie podejrzewał Mangołowa o niechęć przeciw sobie i dążenie do pozbycia się konkurenta, odparł jednak po namyśle:

— E, nie! Odpowiedzialność szalona, daleko do domu. Wcale nie uśmiecha mi się ta tranzlokacja.

— Jak chcecie, ale dla was byłoby to, według mnie, wymarzone miejsce.

— Wolę pozostać w pawilonie fotograficznym.

— Tego samego dnia wstąpił do zarządcy fotografią dyrektor Żbikowski i wydał mu dyspozycję:

— Od dnia jutrzejszego, niezależnie od swego stanowiska, obejmie pan tymczasowo zastępstwo zarządcy w pawilonie drukarskim Nr. 2.

— A, pan Cichocki?

— Cichocki będzie przyjmował drukarnię od Cwaniewicza. Da pan sobie radę z obu pawilonami, które przecież sąsiadują ze sobą. A zresztą nie na długo. Na jakieś dwa tygodnie najdłużej.

— Skoro rozkaz, to rozkaz! — odparł Porajski.

— Nie rozkazuję, a proszę pana. Skoro pan nie chce objąć zarządu drukarnią po Cwaniewiczu, to niechaj pan zastąpi Cichockiego, dopóki na jego miejsce nie znajdę kandydata.

Nazajutrz Janusz pełnił podwójne obowiązki.

Lecz już po dwu dniach przyszedł do niego Żbikowski z Mangołowem i jęł Porajskiego molestować o objęcie zarządu przysłą filją Mennicy:

— Cichocki nie da sobie tam rady — dowodził dyrektor. — Młody jeszcze, niedośwadczony. Tam trzeba mocnej ręki, organizatorskiej.

— Urządzi pan cały zakład i będzie pan... dyrektorem filji Mennicy państwowej. To — s z i s z k a! — dodał Mangołow.

— Strasznie daleko od domu — wymawiał się Janusz.

— T a k i c ó ż? Będziecie mieli powóz do dyspozycji i rządu autonomiczne, a to dużo znaczy.

— Sam sobie pan wszystko zorganizuje, urządzi po swojemu, pracowników dobierze. Żle to panu będzie?— zachęcał Żbikowski.

Porajski dziwnie niechętnie traktował tę proponowaną mu tranzlokację, intuicyjnie jakby przeczuwając, że zgotuje mu ona szereg przykrości i zawodów życiowych.

— Owszem, warunki są nader zachęcające. Lecz tak mi już w życiu naprzykrzyły się różne prace organizacyjne, poczynające, że byłbym nader wdzięczny, aby panowie zwolnili mnie od tego obowiązku.

— Nie rozumiem dlaczego pan się tak wymawia? zapytał Mangołow z niezadowoleniem.

— Choćby dlatego, aby pozostać przy wielkim ołtarzu i razem z panem pracować — odparł Janusz z uśmiechem.

Mangołow badawczo spojrział w oczy Porajskiemu, jakgdyby chciał wyczytać w nich jakąś intencję, ukrytą w tem powiedzeniu. Jasny jednakże wzrok Janusza uspokoił go w podejrzeniach.

— Nie wątpię — dodał Porajski po chwili, — że pan Cichocki, który jest młodym i energicznym człowie-

kiem, zdoła zorganizować zakład pomyślnie i poprowadzi go ku zadowoleniu dyrekcji technicznej.

W dłuższej, wyczerpującej rozmowie Porajski zdołał wreszcie wykręcić się od narzucanej mu powtórnie tranzlokacji, z czego był bardzo niezadowolony inżynier Mangołow.

Zarządca pawilonu fotograficznego, pełniąc jednocześnie obowiązki zarządcy pawilonem drukarskim, przerwać musiał podejmowane z kierownikiem artystycznym, Fiszerem, prace umysłowe i zajął się całkowicie bieżącymi sprawami służbowymi obu pawilonów.

Zajęcia miał wiele, a przytem zajęcia niewdzięcznego, kancelaryjno-administracyjnego, nie dającego zadowolenia duchowego jego umysłowi ruchliwemu, twórczemu.

Wejrząwszy bliżej w warunki pracy pawilonu drukarskiego, Porajski na każdym kroku spostrzegał dezyderaty, jakich nie tolerowałyby żaden zakład prywatny.

Maszyny pracowały w ciągu zwykłych 13-tu godzin pracy, zaledwie 7 godzin, późno bowiem rozpoczynały robotę, wcześniej ją kończyły, a co kilka minut zatrzymywane były pod pretekstem przecierania klisz, dostarczenia na blat papieru lub poprawienia podkładek na cylindrze.

Panowie maszyniści grali, nawet podczas roboty, rolę dżentelmenów, nie rozbierając się ze sztywnych, śnieżnej białości kołnierzyków, mankietów, eleganckich krawatów i ubrań szykownych, wyprasowanych. Przywdziewali na siebie wprawdzie niebieskie kitle robocze dla ochrony odzieży, ale unikali własnoręcznych funkcji, połączonych z niebezpieczeństwem zbrukania mankietów lub ubrania.

Większość maszynistów Mennicy, zwanych popularynie w cudnie mechanikami, pozowała conajmniej na lordów, czego nigdzie, nie tylko w Cudnie, ale i na całym świecie pracownicy fabryczni nie praktykują.

Wprawdzie robotnik zagraniczny, — spotkany na ulicy, czy w teatrze, czy na odczycie, czy w bibliotece poza godzinami swojej pracy fabrycznej, — jest zawsze czysto i przyzwoicie odziany, a nawet bywa elegancko ubrany, bo często i w cylindrze go można spotkać. Ale przy warsztacie pracując, nie sady się bynajmniej na zbytęcną a krępującą mu ruchy elegancję i odpowiednio do pracy przebrany, nie wstydy się i pod maszynę zajrzeć, oczyścić ją lub naoliwić, i walce zdjąć i formę osobiście przenieść z fundamentu.

Widocznie: co kraj, to obyczay, — a w Cudnie: co brać robotnicza, to inna moda.

Kto tę modę wprowadził do Mennicy — nie wiadomo. Większość jednak panów maszynistów nosiła się prawdziwie po lordowsku i zachowywała się iście po angielsku podczas pracy.

— Dlaczego pańska maszyna tak długo stoi?—pyta Porajski jednego z maszynistów, który, rozparty, siedział na krześle i, założywszy fantastyczne nogę na nogę, z uwagą czytał gazetę.

— Bo papieru na blat nie ma kto podać—odpowiada flegmatycznie lord-mechanik, nie zmieniając wcale pozycji i prezentując elegancki, żółty, nowiutki kamasz prawej nogi, oparty niedbale o kolano lewej nogi.

Nawet gazety z przed swoich oczów nie uważał za stosowne usunąć młodzieniec dwudziestokilkoletni, rozmawiając z zarządcą, znacznie starszym od siebie wiekiem, jeśli już nie wspominać o urzędzie.

Młodemu pracownikowi nie brakło tupetu w lekceważeniu przedstawiciela władzy, burżuazji zgnębionej i inteligencji poniewieranej. Nie stać go jednak było na elementarny objaw ogłady towarzyskiej.

Takie już czasy w Cudnie nastąpiły.

Zarządca jednak nie uważał za możliwe tolerować zbyt długiej i niepotrzebnej bezczynności maszyny i, zwracając się do kontrolerki, zapytał:

— Który papier ma iść na maszynę?

— Ot, tę — obliczony.

W tej właśnie chwili podszedł robotnik Marcin i, wzięwszy dwie ryzy, podał je nakładacze.

— Panie mechaniku—zwrócił się zarządca do lorda-maszynisty, — jeśli się powtórnie zdarzy, że nie będzie komu podać papieru na maszynę, niech pan mnie wezwie, a chętnie wówczas Marcina wyręczę.

Z tem Porajski odszedł do swego biurka. Po chwili podeszła doń kontrolerka Morengowska.

— Jestem ogromnie zadowolona, że pan mu utarł nosa. On Bóg wie co o sobie myśli! Koronaby mu z głowy spadła, gdyby miał podać ryżę papieru na maszynę.

— Dałem mu to do zrozumienia.

— Wątpię jednak czy go to otrzeźwi. On się nie ruszy przy maszynie do niczego. Nawet klisze przecierać każe odbieracze. On tylko asystuje przy maszynie w roli „hrabiego“, a cechuje go brak elementarnego wychowania.

— Młody jeszcze, proszę pani, w czasach wojny wzrastał, a przewroty socjalne ogładą i wychowaniem dotychczas się nie zajmowały.

— Tak, to prawda — przyznawała starsza już wiekiem kontrolerka. — Ale i pana Cichockiego w tem wina. Tolerował takie objawy lekceważenia pracy i starszych ludzi. To też wogóle pracownicy tego pawilonu robią co chcą i jak chcą.

Czasowemu zastępcy Cichockiego wiele rzeczy nie podobało się w organizacji i zwyczajach pawilonu, nie chciał jednak zbyt forsownie wprowadzać nieodzownego rygoru i zmieniać zarządzeń swego kolegi lub też przyjętych przez niego zwyczajów.

Poco miał wkładać energję w gruntowną reorganizację pawilonu i wykorzenianie chwastów i piołunów, skoro poczciwy Cichocki, objawszy z powrotem swą służbę, napewno nie będzie przestrzegał wprowadzonych inowacji, a da folgę samowoli i nieróbstwu?

Reorganizator napewno zyskałby u podwładnych Cichockiemu pracowników miano: ciemieżcy, krwiopijcy lub podobny epitet, o co n e było trudno w fabrycznej atmosferze rozprężonych pojęć i zapatrywań na pracę i obowiązek.

Wolał przez szpary patrzeć na różne ekscesy i dezyderaty, pocieszając się tem, że nie długo będzie musiał kierować „bałaganem“, jak w duchu nazywał ten pawilon drukarski.

Po tygodniu pracy w tem środowisku zdezorganizowanym Porajski już nawet zaczął żałować, że nie zgodził się na propozycję objęcia kierownictwa fiją.

Zwierzył się z tem Fiszerowi.

Kierownik artystyczny, z którym Porajski dzielił się swemi spostrzeżeniami i przed którym ubolewał nad ujemnymi objawami warunków pracy w pawilonie Cichockiego, rzekł po namyśle:

— Aczkolwiek przerwalibyśmy naszą współpracę umysłową, jednak kto wie, czy panu nie byłoby lepiej na „autonomicznem“, jakoby, stanowisku w filji, niż tu; w centrali. Skoro już chcą się pana stąd pozbyć.

— Jakto: chcą się mnie pozbyć? — przerwał Janusz pytaniem.

— Tak uważam. Tu, u nas, nie lubią ludzi rozumnych, czynnych, ludzi z inicjatywą osobistą i zamiłowaniem do pracy intensywnej.

— Żartuje arcymistrz.

— Niestety, nie żartuję — odparł z przekonaniem Fiszer. — Tu, gdzie taki naprz. Mundrak rej wodzi, a takiego Drewnowskiego uważa się za artystę-rysownika, wielkiego twórcę i pierwszorzędnego znawcę sztuki, — czyż może być lubiany stary Fiszer, co zęby zjadł na grafice polskiej, albo też Porajski, który ma niespożytą energję, inicjatywę osobistą, zna pracę i lubi pracę?

— To też mnie — ciągnął Fiszer — starają się odsadzić od kierownictwa artystycznego, które nachalnie zagarnia Drewnowski, a pana — z gustem odsadzą od centrali.

— I dlatego mi arcymistrz radzi, abym się dobrowolnie wyniósł na tamto przedpiekle?

— Nie dlatego, bynajmniej. Ale, sędzę, że tam będzie się pan czuł w swoim żywiole. Urządzi pan sobie zakład według swoich zasad, zorganizuje pan filję Mennicy według swoich pojęć praktycznych i stać pan będzie zdala od tego chaosu, który się tutaj wytwarza w formie zatrwających.

— Zastanowię się nad tem rozważnie — zakończył Porajski i udał się do pawilonu drukarskiego.

Półowa maszyn stała beczynnje.

Nakładaczki, odbieraczki siedziały w kącie, wesoło bawiąc się rozmową, a maszyniści gawędzili ze sobą, paląc papierosy lub też wycinali od niechcenia z makulatury tysiaccbonowej esy-floresy, nalepiając te wycinanki na inne arkusze próbnych odbitek, czyli robili t. zw. podkładanie miejsc za słabo odciskanych z klisz, które już na maszynach były narządzone.

— Panie Mańczak, kiedy nareszcie ruszymy z maszyną Nr. 3? — zapytał Porajski majstra tego pawilonu.

— Jak Bogatek podkładanie skończy.

— Coś długo bardzo podkłada — zauważył zarządca. — Czwarty dzień maszyna jest beczynna.

— O, proszę pana, jak klisze są wichrowate, to i ty dzień trzeba nieraz narządzać i r y c h t o w a ć! Banknoty, — to nie jest zwykła robota ilustracyjna.

— Panie Mańczak — rzekł mu na boku Porajski. — Niech przynajmniej mnie nie mydli pan oczu... Powiem zwyczajnym językiem drukarskim: tr a j l u j c i e s o b i e, panowie maszyniści i majstrowie komu chcecie, ale nie mnie... Klisze nie są równe!... To znaczy, że macie usprawiedliwiony pretekst do powolnej pracy... A winę zwalacie na kliszarnię... Zawsze lubicie panowie znaleźć kozła ofiarnego...

— A, bo k n o c a -

— Czy u Weideckego lepsze klisze robili?

— No, nie mówię.

— Ale u Weideckiego w ciągu jednego dnia umiście panowie narządzić klisze i było dobrze? — przypominał Porajski.

— No, u Weideckiego!... Tam zakład prywatny, buda zarobkowa... Wiadomo, że pryncypał pogania przy robocie...

— Temwięcej tutaj powinniśmy się poczuwać do intensywniejszej pracy, skoro pryncypałem naszym jest Skarb własnego naszego państwa — tłumaczył Porajski.

— Kiedy nasz stary zawsze przestrzega: „lepiej wolniej, a dokładniej“.

— Pan prezes, mając na uwadze dokładność wykonywanej roboty, nie przypuszcza, że się tej zasady jego nadużywa.

Mańczak spojrział niechętnie na zastępcę zarządcy i rzekł lekceważąco:

— E..., proszę pana! Dotychczas nikt się nie czepiał długiego narządzania i było dobrze. Skarb państwa przez to nie zbankrutuje!

Na takie dictum Porajski machnął ręką i tegoż dnia ze zdecydowanym już postanowieniem udał się do biura dykcji technicznej.

XIII.

— Pan dyrektor mnie wzywał? —zapytał Majster Mundrak, stając w otwartych drzwiach gabinetu Żbikowskiego.

— Tak jest.. Proszę

Mundrak wszedł, dyrektor zamknął drzwi na klamkę.

— Mój drogi, — zaczął — wezwałem cię do siebie. mam bowiem z tobą do pomówienia na osobności.

Majster się zaaltretował, Żbikowski się zaśmiał nieszczerze:

— Na złodzieju czapka gore. Nie bój się jednak

Alfonsie, tym razem... Nic złego! Sprawa nie fabryczna, a nasza — osobista.

— Siadam i słucham uważnie.

Żbikowski poczęstował Mundraka papierosem, poczem, zebrawszy myśli, zagadnął go bez przygotowania:

— Chcę ciebie ożenić!

— ?

— Łajdaczysz się na prawo, na lewo. Dziewczęta w fabryce psujesz, wszystkie na ciebie narzekają, skarżą się...

— ?

— Tak dalej być nie może!

Mundrak się nie odzywał, a Żbikowski ciągnął dalej z przestankami:

— Uważam nawet, że starzejesz się skutkiem takiego nienormalnego trybu życia.

— ?

— Jedynym dla ciebie ratunkiem jest ożenek.

— ?

— Cóż ty nic nie mówisz?

— Bo myślę..

— O czym myślisz?

— O tem, że się właśnie dobrze składa.

— Co się składa?

Mundrak odparł po chwili zastanowienia:

— A, no to, że i dyrektor chcesz, żebym się ożenił i ja sam chcę się ożenić. Tylko... nie z Lodzią!

Żbikowski aż uniósł się na krzeselku.

— Co?... Jak?... Kto ci mówił?

— Co mi miał kto mówić? Czy to ja nie rozumiem, że mnie dyrektor chcesz zrobić parawanem?

— Głupiś!

— Niech będzie. Ja tam wolę z uczciwą dziewczyną się ożenić. A Franusia, liczarka, jak rzepa dziewczucha i z nikim zadawać się nie chce.

— Franusia? Jaka znów Franusia?

— Aha, zaraz! Chciałbyś dyrektor może „nowe sitko na kołeczek“...

— Nie o to chodzi — rzekł niechętnie Żbikowski. — Przedewszystkiem wątpię, żeby ciebie — daruj otwartość — takiego drania i łajdaka, chciała jaka „porządna“ dziewczyna na męża.

Mundrak westchnął ciężko.

— To właśnie całe nieszczęście! — wyznał otwarcie.

— A widzisz! Sam wątpisz czy ta Frania będzie ciebie chciała. Przyznaj się, już cię odpałiła?

Mundrak nic nie odpowiedział.

— Pluń ty na nią, Alfonsie! Łodzią jest fest dziewczucha. I dobrą z niej będziesz miał żonę, uczciwą.

— Tylko trochę p r z e c h o d z o w a n ą — wtrącił Mundrak.

— No... przecież z twojej poręki.

Zamyślony majster gasił na popielniczce niedopałek papierosa.

— Słuchaj no. Alfonsie: mówią, że kobieta uszlachetnia mężczyznę. Ona naprawdę będzie bardzo dodatni wpływ na ciebie wywierała. Zobaczysz, utemperujesz się i ludzie cię polubią.

— Mundrak się nie odzywał.

— Wyprawię wam weselisko, jak się patrzy, zaraz po przewodach.

— Co, już tak prędko?

— Uhm! Im prędezej, tem lepiej będzie dla was

obojga. Poco ludziska później mają... no wiesz? obgadywać ją, mając łatwiejszą możliwość doliczenia się terminów?

— O, to widzę, że dyrektor cedujesz mi akcją od razu z kuponem...

— Cóż robić? Niech stracę! — rzekł, śmiejąc się, Żbikowski.

— A kiedy upływa termin płatności tego kuponika?

— Jeszcze nie prędko: prawie za siedem miesięcy.

— No, to mamy kupę czasu! — zauważył Mundrak obojętnie.

— Jednakże muszę się z Łodzią rozwiązać niezwłocznie...

Mundrak zmrużył jedno oko i chytrze zauważył:

— Prezesowa wywęszyła co?

— Głupiś! To do rzeczy nie należy!

W gabinecie zaległo milczenie. Po chwili Żbikowski z żalem w głosie podjął na nowo:

— Sądziłem, że na tobie zawsze będę mógł polegać... Przyrzekałeś mi wdzięczność dozgonną, gdy cię nieraz z opresji ratowałem. Gdybym nie ja — bądźmy szczerzy! — czybyś ty nie był wówczas wylany, kiedy wszyscy maszyniści przeciw tobie wystąpili?

— Dyrektorze kochany, — przerwał Mundrak — czy ja stanowczo odmawiam? Ja tylko chcę się namyślić. Ożenek, to ważny krok, na całe życie.

— No, niezupełnie. Można przy ślubie jakiejś formalności nie dopełnić i... jeśli nie rozwód, to unieważnienie małżeństwa łatwo uzyskać.

Mundrak spojrział przenikliwie w oczy Żbikiwskiego, który wzrok spuścił a odchrząknawszy, dodał:

— Lecz ja tylko wyjaśniam, że ożenek nie jest nierozzerwalny...

— No, zapewne. Ale skoro się kto ma żenić, czy to na fe s t, czy też na czas miodowych miesięcy, to przecież musi swą chatę jako tako umeblować.

— Aha! O posag ci chodzi. Rozumie się, że oprócz weseliska, które wam wyprawię, dam ci w posagu... zapewnienie, że póki ja tu jestem w Mennicy, — i ty chleba będziesz miał kawał. A przecież kto, jak kto, ale ja i prezes, którzyśmy Mennicę stworzyli, mamy tu zapewnione stanowiska do śmierci.

— No, tak! Ale to... mało — wtrącił Mundrak.

— Do tego dodam ci jeszcze sto tysięcy w posagu realnym.

— Mało! Dasz dyrektor pół milionika, a także — i słowo honoru, że od dnia moich zaręczyn stosunki z Lodzią zerwiesz na zawsze.

— Pół miliona, to — dużo. Skąd ja tyle wezmę?

— Nie zawróć dyrektor w głowie! — rzekł Mundrak z ironją. — Jeżeli nie chcesz dyrektor ruszać z leżącej gotowizny, to potrząchnąć trochę Cwybeldufta, albo Medaljona, a — posypie się ile potrzeba.

— Mógłbyś ciszej gadać! — zwrócił mu Żbikowski uwagę.

— Od tych warunków nie ustąpię ani fenia.

— No, no! Pogadamy jeszcze o tem... Przyjdź dzisiaj do mnie wieczorem na kolację. Lodzię już oswoiłem z myślą, że zostanie panią majstrową.

— I nie odpali mnie?

— Już ja to biorę na siebie — zapewnił dyrektor kandydata na małżonka swej kochanki. — Zachowaj się tylko przystojnie, abyś dziewczyny nie zraził do siebie jakim żartem niewczesnym...

— Tylko co się dyrektor tak śpieszy? Oj, ta pre-

zesową... Będzie tu jeszcze kiedyś awanturą straszna, nie daj Boże!

— No, no! — upominał Żbikowski.

— Musiał ktoś dyrektora zadenuncjować przed panią Eufemją.

— A choćby! Cóżby w tem było dziwnego? Za zdrosnych jest dużo, a pani prezesowa przestrzega zasad moralności w Mennicy.

— Taaak? — zapytał Mundrak, udając pobożne zdziwienie. — Nie wiedziałem...

— No, to wiedźże o tem. A wieczorem przychodź do mnie na kolację.

— Zaręczynową! — dodał majster i, pożegnawszy dyrektora, wyszedł z gabinetu.

Członek zarządu Mennicy, inżynier Ważkiewicz, odbywał z nadkontrolerem Bykowskim i starszym kontrolerem Udałowskim konferencję poufną o sprawach kontroli mennicznej, która — jak to w swoim referacie miał odwagę jasno wykazać Porajski, — nie odpowiadała swemu zadaniu.

W duchu przyznawano rację słusznym wywodom owego referatu i energicznie zabrano się do zreferowania systemu kontroli, a jednocześnie — do zagarnięcia w swe ręce czynności administracyjnych, któremi niepodzielnie kierowały obie dyrekcje: techniczna i handlowa.

Reorganizacja kontroli w Mennicy szła opornie. Dążenia zaborcze Ważkiewicza, Bykowskiego i Udałowskiego paraliżował na każdym kroku Żbikowski, Man-

gołów lub Chwytwowski. Obie strony wzajemnie chciały odebrać sobie jak najwięcej praw i kompetencji.

Zawrzała walka zażarta ze szkodą dla sprawy ogólnej, jedni drugim psuli robotę, ale zarówno konrola jak i administracja parły wszystkimi siłami do zadowolenia swych wygórowanych ambicji.

— Należy przedewszystkiem na filji tak wpływy kontroli sobie zapewnić, aby zarządcę ograniczyć w prawach do minimum — dowodził inżynier Ważkiewicz.

— Wytworzymy następnie prejudykat do odpowiedniej reorganizacji czynności naszych w Mennicy — wtrącił nadkontroler Bykowski.

— O to właśnie idzie. Dlatego radziłem, żeby starszym kontrolerem na filję mianować człowieka energicznego, z tupetem, któryby zmógł tego Porajskiego i zawładnął zwierzchniem kierownictwem zakładu.

— Ja wątpię — zauważył starszy kontroler Udałowski, — czy mianowany tam Buńczuczki zwycięży Porajskiego, który ma za sobą nie tylko całą dyrekcję techniczną i dyrekcję handlową, lecz i samego prezesa Podborskiego.

— I odpowiednie instrukcje — dodał Bykowski — od... Mangołowa, który wprost zażarł się na całą kontrolę.

— A cóż ten mongoł zaczyna się u nas panoszyć?

— Zastępca dyrektora technicznego... Rogi mu odrastają.

Ważkiewicz się uniósł:

— Ja mu tych rogów przytrę! A nie, to z siodła go wysadzę!

— Należałoby — zauważył Bykowski. — Toć wstyd dla instytucji państwowej, aby jakiś tam cudzoziemiec rej wodził i psuł nam robotę.

— Ba, kedy on chytrze działa. Nigdy bezpośrednio. To też trudno przyłapać go na robocie destrukcyjnej — zaznaczył Udałowski.

— Sam w sieci wpadnie—rzekł Ważkiewicz przekonująco. — Już ja je rozstawię...

— Warto by i tego „pogromcę“ naszego złowić w te sieci jednocześnie — podszepnął Udałowski.

Ważkiewicz nic na to nie odpowiedział, po chwili jednak zapytał Bykowskiego:

— A jak tam obecnie na filji?

Nieszczęśliwie. Trafiła kosa na kamień. Porajski nie dopuszcza Buńczuckiego do spraw organizacji, dowodząc, że rola kontroli rozpocznie się z chwilą uruchomienia maszyn, a w okresie przygotowawczym sam zarządca ma dysponować całym remontem.

— No, dobrze. A gabinet oddał Buńczuckiemu.

— Gdzie zaś?! Porajski dowodzi, że tylko on tam jest i będzie gospodarzem filji, a kontrola tylko kontrolą, przeto gabinet sobie zabiera.

— Hm, tak? Musimy pojechać na filję i okiełznać nieco pana zarządcę — zaopiniował Ważkiewicz.

Tegoż dnia na filji Mennicy zjawili się przedstawiciele kontroli na inspekcję.

Gabinet zarządcy napelniały tumany kurzu, a sam Porajski, ubrany w kitel robotniczy, dozorował zrywania podłogi, przez grzyb zjedzonej. W salach odbywało się czyszczenie i przestawianie maszyn, zakładanie instalacji elektrycznej, budowanie składziku na farby, oraz obszernej za siatką ubikacji, przeznaczonej na skład papieru banknotowego. Przy zaopatrywaniu okien w kraty, a drzwi w antaby żelazne pracowano gorliwie,

a w całym zakładzie panował zgiełk, gwar pracy i nieład remontowy.

— Pfuj, jaki tu nieporządek! — zauważył na wstępie Ważkiewicz. — To tu będzie pokój kontroli? — zapytał Porajskiego, witając się z nim chłodno, urzędowo.

— Nie panie. Tu będzie pokój zarządcy i jego pomocnika — odparł zapytany. — A tamten pokój przeznaczylem dla panów kontrolerów.

Ważkiewicz nic nie odpowiedział i skierował się na salę.

Porajski mu towarzyszył, informując przedstawiciela zarządu Mennicy o dokonywanych przeróbkach.

Zakład składał się z dwu dużych sal: piętrowej i parterowej. Na piętrze obok sal, za oszkloną ścianą, leżał gabinet zarządcy, a za nim — obszerny pokój, gdzie się ulokować miała kontrola.

Podczas oględzin górnego piętra Ważkiewicz uważał sobie za obowiązek inżynierski poddawać wszystkie zarządzenia Porajskiego złośliwej, a nieuzasadnionej krytyce. Uwagi te zarządca znosił z stoicyzmem, choć burzył się na brak logiki i złą wolę gabinetowego inżyniera.

Gdy Ważkiewicz zeszedł na salę parterową, na którą prowadziły kręte żelazne schody wewnętrzne i zobaczył forsztowania składu papieru bankowego, — zwrócił się do Porajskiego w formie kategorycznej:

— Ten skład urządza pan w miejscu nieodpowiedniem... Trzeba go skasować...

— Zupełnie? — zapytał Janusz, jakby z przekąsem.

— No, nie! — obruszył się przedstawiciel zarządu. — Trzeba go przenieść na piętro i ulokować w pokoju, który pan przeznaczona dla siebie...

W zarządcy zawrzało gniewem. Pohamował się jednak i zauważył:

— Odpowiedniejszy na skład byłby ten drugi pokój, bo większy, lecz wówczas kontrola nie miałaby swego locum... A przytem z transportowaniem papieru na górę mielibyśmy dużo roboty...

— Wielka historia! — bagatelizował inżynier.

— A wielka! Bo wnosić ciężkie bele papieru po schodach na piętro, to praca — syzyfowa.

— Na to są przecież robotnicy! — mruknął Ważkiewicz.

— Których energję będą umiał spożytkować bardziej produkcyjnie — zapewnił Porajski. — A wreszcie tak znaczne obciążenie sufitu nie wiem czy jest pożądane wówczas, gdy mamy miejsce na parterze i drzwi, wprost niemal na ulicę wychodzące...

Ważkiewicz się zachnął.

— Obstawę jednak przy swoim, że skład papieru urządzi pan w miejscu nieodpowiednim.

— Jednakże ten skład pozostanie tutaj — zaznaczył spokojnie Porajski, — bo prezes Podborski zaakceptował plan przeróbek zakładu...

Na tem skończyła się narazie chęć okielzania zarządcę filji przez kontrolę Mennicy.

Zabrano jednak Buńczuckiego i mianowano na filję w charakterze kierownika kontroli poważnego i statecznego jegomościa, jakim był Telesfor Jodłowski, dotychczasowy kontroler jednego z zakładów prywatnych, w którym drukowano banderołe skarbowe.

Porajski na nowem stanowisku zarządzającego filją Mennicy wkładał ogrom swej pracy i osobistej inicjatywy w reorganizację zakładu po Cwaniewicz.

Obejmując to zadanie po koledze Cichoćkim, zastał tam mianowanego już na filję majstra w osobie jednego z rezerwowych maszynistów, niejakiego Waltera, przyjętego jeszcze do Mennicy podczas strajku przeciw Mundrakowi.⁴ Wszystkich innych pracowników, jak: składaczy, maszynistów, introligatorów, robotników, nakładaczki, odbieraczki i t. p. zarządca angażował z pośród dotychczasowych pracowników drukarni Cwaniewicza, lub też przyjmował z pośród zgłaszających swe kandydatury. Wymówił był sobie samodzielny dobór robotników, pragnąc uniknąć żywiołu zdemoralizowanego i rozpróżnionego, jaki z najlepszych pracowników wytwarzały w krótkim czasie anormalne stosunki w Centrali Mennicy.

Jednakże rzemieślników do przebudowy filji dostarczała sama Mennicy, t. j. dyrekcja techniczna, a właściwie majster Orylski, który przysyłał Porajskiemu samych partaczów, jakimi zachwycił swoje warsztaty.

Taki naprzykład stolarz Pędracki, któremu polecono ustawić przepierzenia na skład papieru, zamówiony przez zarządcę od rana, przyjechał ze swoim pomocnikiem dopiero około południa, rozglądał się i rozważał długo i dokumentnie, a—wziąwszy się po obiedzie do wymierzania ścianek, jakie należało postawić, — skończył swą zawiałą pracę mierniczą dopiero około godziny czwartej, poczem wraz ze swoim pomocnikiem wyruszył z powrotem do Mennicy.

Porajski zżymał się na taki system powolnej pracy rzemieślników, przysłanych przez Orylskiego, a formalne kampanje musiał z nimi staczać, gdy taki Pędracki zwoził po kilku dniach przycięte i wyheblowane słupki i deski, przy których ustawianiu, okazywało się, że... wzajemnie do siebie nie pasują.

I znowu traciło się czas i środki przewozowe: zabierano kawałki budulca i odwożono je do warsztatów mennicznych, aby po paru dniach z powrotem je przywieźć i stwierdzić, że znów „gniazda w legarkach ten hycel, Józek, nie w tych miejscach, gdzie potrza, wysztamował“...

Tak było i z murarzami i ze ślusarzami i z innymi rzemieślnikami, którzy moc czasu tracili nieprodukcyjnie na oględziny, odmierzanie, pasowanie, skrobanie się w głowę i delibreiwanie nad najprostszymi robotami. Aż wreszcie zniecierpliwony Porajski zawezwał majstra Orylskiego, aby przyjechał do filji stwierdzić nieudolność swych pracowników.

— Ja nie rozumiem co się dzieje! — mówił Orylski przekonawszy się na miejscu o słuszności zarzutów. — Toć przecież Pędracki najlepszy mój stolarz, a w całym Cudnie najzdolniejszy...

— Niechże pan przynajmniej tak nie zohydza opinii ogółu rzemieślników cudeńskich — zauważył zarządca.

— Dalibóg, powiadam że to stolarz pierwszorzędnny, meblowy.

— Który nie umie dokładnie wymierzać, nie umie najprostszego szkicu narysować, a cyfry notuje kulfonami — zaopinjował Porajski. — Skoro pisać nie umie, na pamięć mógłby nauczyć się tych wymiarów, boć kilka godzin czasu stracił na samo wymierzenie i wykalkulowanie tej bardzo prostej roboty.

— Nie rozumiem czem to objaśnić! — głowił się majster Orylski i, odszedłszy do pracującego opodał stolarza, zaczął z nim coś szeptać i rękoma rozwodzić.

Obecny przy tej rozmowie majster Walter, pykając

ze swej fajeczki, której z ust nie wypuszczał, odezwał się do Porajskiego poufnie:

— Toć przecież Pędracki jest szwagrem Orylskiego. On całe warsztaty obsadził swoimi znajomkami i krewniakami.

Tą okolicznością usprawiedliwiane były kwalifikacje pracowników w warsztatach mechanicznych, w których majster Orylski był wszechwładnym kierownikiem. Wtedy bowiem, gdy wszystkie pawilony menniczne, niezależnie od majstrów, miały stojących na czele kierownictwa zarządców, — olbrzymie warsztaty mechaniczne miały tylko majstra, który nie podlegał żadnemu kierownictwu, mając nad sobą jedynie dyrektora Żbikowskiego.

Porajski nie rozporządzał specjalnymi kredytami na najem dobrych rzemieślników, posiłkować się musiał tylko tymi, których nadsyłał mu Orylski. Na tem tle między zarządcą filji, a dobrze sytuowanym u Żbikowskiego majstrem wynikały nieporozumienia i uwagi krytyczne, których Porajski nie szczędził Orylskiemu.

Z górą dwa tygodnie zarządzający filją uporał się z doprowadzeniem zakładu do stanu, odpowiadającego przepisom Mennicy.

W trakcie tego nowomianowany kontroler Jodłowski zorganizował sztab kontroli, złożony z kontrolerów, podkontrolerów, podkontrolerek i liczarek.

Przedstawiciele kontroli mennicznej, przyzwyczajeni do uprzywilejowanego stanowiska, jakie zajmowali w zakładach prywatnych, gdzie drukowały się walory skarbowe, — starali się i w filji Mennicy zająć pozycję dominującą, stosownie do instrukcji konspiracyjnej Ważkiewicza i Bykowskiego.

Właściwe czynności kontroli menniszej polegały wyłącznie tylko na liczeniu i sprawdzaniu ilości arkuszy druków. Narazie jednak, podczas dokonywana renowacji zakładu, przedstawiciele konroli nie mieli żadnego zajęcia, a odsuwani gorliwie przez zarządcę filji od czynności administracyjnych, któremi zawładnąć pragnęli. pałali cichą chęcią szkodenia arbitralnemu „pogromcy kontroli“.

Chodzili za nim, jak cienie, śledząc krytycznie czynności Porajskiego i stawiając coraz to inne osobiste wymagania, których zarządca uwzględnić nie mógł, czy nie chciał, albowiem te żądania miały na celu nie pożytek dla sprawy, lecz tylko wygodę członków kontroli: A to biurko każdemu ustawić na salach fabrycznych, — a to krzesła dać zamiast stołków, — a to maszynki gazowe urządzić, aby panie kontrolerki mogły sobie herbatę i różne potrawy gotować i t. p.

Zarządca uważał za swój obowiązek zadowalać umiarkowane żądania, lecz kierując się odpowiedniami dyrektywami Żbikowskiego i Mangołowa, odmawiał stanowczo życzeniom, posuniętym zbyt daleko.

Głównie inżynier Mangołow różnemi instrukcjami, dawanemi Porajskiemu, podniecał nie tylko jego energję, ale wprost nakłaniał go do nieprzejednanego stanowiska względem członków kontroli:

— Niech pan wyrobi sobie mocne, dyrektorskie stanowisko na filji — powtarzał Porajskiemu przez telefon. — Niech pan kontroli nosa nie pozwoli wtykać do czynności administracyjnych i technicznych. To nie ich rzecz.

— Kontrola tylko asystować ma przy robocie, a do pracowników, ani do ich czynności wtrącać się nie ma prawa.

— Papier banknotowy pan sam będzie sprowadzał z magazynów Mennicy. Kontrola tylko pilnuje go podczas drukowania. Ekspedycję gotowych walorów i banknotów niech pan zorganizuje tak, aby kontrola tylko asystowała przy tej pracy i stwierdzała ilość produkcji i ekspedycji.

Te i tym podobne instrukcje, dawane Porajskiemu przy dyrekcję techniczną, nie były uzgodnione z zarządzeniami Ważkiewicza, dzięki czemu między Porajskim, a Jodłowskim wynikały scysje, nieporozumienia i uparte zatargi.

Jednocześnie zaś dyrekcja handlowa opieszale traktowała dostarczanie filji niezbędnych materiałów, oraz bodaj najprostszych stołów i stołków, bez których zarządca nie mógł uruchomić zakładu i ulokować przy warsztatach swoich pracowników.

I wytworzyły się na filji fakie same dwa obozy, wrogo do siebie usposobione, jak i w samej Mennicy. Z jednej strony stanęli pracownicy techniczni i administracyjni z zarządcą na czele, oraz wartownicy, z drugiej zaś — kontrola i liczarki pod kierunkiem starszego kontrolera filji.

Niemal codziennie zjawiał się w filji nadkontroler Bykowski, który skrzętnie notował skargi i żale kontroli na Porajskiego, aby zawozić je do zarządu Mennicy. Tam inżynier Ważkiewicz gorliwie zbierał materiał przeciw „pogromcy“ i w odpowiednich chwilach odmałowywał różne „eksrawagancje“ Porajskiego przed prezesem Podborskim.

Zarząd Mennicy dopominał się ciągle o jak najszybsze uruchomienie maszyn na filji, a Porajski formalne kampanje musiał staczać nie tylko z warsztatami

i dyrekcją handlową, lecz i z dyrekcją techniczną, która opieszale traktowała najżywotniejsze sprawy filji, odkładając jakby na przekór z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień dostarczenie Porajskiemu niezbędnych przedmiotów.

Wreszcie renowacja była ukończona.

Zarządca filji sprowadził z magazynów mennicznych papier, farby i klisze banknotowe, — skompletował pracowników, wartowników i rozpoczął narządzanie klisz na maszynach.

Dyrektor Żbikowski, uprzedzony telefonicznie przez Porajskiego o wykończeniu robót organizacyjnych, przyjechał do filji, aby stwierdzić jak mianowicie została przeprowadzona renowacja i czy wszystko urządzono zgodnie z potrzebami pracy i wymaganiami zabezpieczenia druków od wszelkich możliwości.

Zaprobowawszy wszystkie zarządzenia Porajskiego, dyrektor wkońcu odezwał się kwaśno:

— Panie Januszu, niech pan nie zasypuje nas raportami, powtarzającemi co parę dni jedne i te same żądania. Skoro pan czego zapotrzebował, — niech pan czeka!

— Chodzi mi o śpieszny termin otwarcia filji — tłumaczył się Porajski. — Zarząd mnie ekscytuje, a dyrekcja handlowa, a nawet techniczna dziwnie opieszale traktują potrzeby filji.

— To nie racja, aby pan miał nas ekscytować. My mamy wszystkie pawilony na głowie, nie tylko pańską filję!

— Skoro jednak uzależniają mnie panowie we wszystkim od centrali, toć mam prawo spodziewać się, że potrzeby filji będą niezwłocznie przez Mennicę

uwzględniane. A tymczasem tygodnie całe oczekuję na przysłanie tego lub owego. Niechże więc pana nie dziwi, że skoro żądania telefoniczne nie pomagają, biorę je na papier.

— Właśnie my tego nie lubimy — przerwał Żbikowski.

Zarządca odniósł wrażenie, że dyrekcja nie lubi śladów swej opieszałości, czy też niezaradności, które w odpisach raportów Porajski, zostawiał u siebie.

— No, a jak z kontrolą? — zapytał dyrektor.

— Jako tako. Uspokoili się.

— Nie bardzo — zaprzeczył Żbikowski. — Poufnie panu zakomunikuję, że niema prawie dnia, aby z d o n o s a m i na pana nie występował Ważkiewicz przed prezesem. Niech pan jednakże nie przejmuję się: wolno psu szczekać, ale ugryźć pana nie pozwolę. Co to za śledzie trzymał pan razem z papierem banknotowym?

Porajski skrzywił się, zdziwiony.

W trosce bowiem o wygodę swoich pracowników sprowadził był ze składu aprowizacyjnego Mennicy różne produkty codziennej potrzeby, a między innymi — ze względu na wielki post—i beczkę śledzi, którą trzymał w składzie papieru. Chętnie korzystali z tej okazji i członkowie kontroli, otrzymując narówni z innymi pracownikami tańszy towar na miejscu, bez konieczności jeżdżenia poń do centrali.

To też Porajski oburzył się na denuncjację, z której wynikało, że papier banknotowy narażony został na poplamienie lub zepsucie.

— Trzymałem przez parę dni beczkę śledzi w obszernym składzie, albowiem nie miałem gdzie jej schować podczas remontu. Papier, który leży jeszcze w be-

lach po drugiej stronie składu, nie mógł być narażony na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

— No, rozumie się, ja też tak prezesowi wytłumażyłem — zapewniał Żbikowski.

— A, co mnie dziwi, to to, że nikt z kontroli najmniejszej obawy co do możliwości poplamienia papieru nie wyrażał. Owszem, chętnie korzystali z wygody, jaką im zrobiłem, a jednak przeciw mnie cichaczem raport wystosowali.

— To sprawka Ważkiewicza, który się mści na panu. Ale i Bykowski też ryje pod panem i podburza Jodłowskiego. POCO jednak bawi się pan w aprowidowanie pracowników?

— Uważam to za obowiązek dobrego gospodarza. Bo skoro pracownicy centrali korzystają z aprowizacji urzędowej, — dlaczegóżby pracownicy filji mieli być pozbawieni możności nabywania tańszych produktów na miejscu, bez potrzeby szukania ich po sklepach lub wystawiania w kolejkach.

— Jabym tego trudu sobie nie zadawał — rzekł Żbikowski obojętnie i pożegnał zarządcę.

Właściwie Porajski, zorganizowawszy aprowidowanie filji, całe trudy tej pracy przelał na młodego i sympatycznego magazyniera, którym był eks-sierżant, student Kotkowski Zbigniew, który sprawnie, choć z wrodzoną mu flegmą załatwiał swoje czynności służbowe, a ponad to aprowidował filję i był urzędnikiem łącznikowym między filją a Centralą.

Na swego pomocnika i zastępcę Porajski kreował dawnego spółtowarzysza pracy, Józefa Kalasantego Władurskiego, starszego o wiele od Kotkowskiego, lecz nie mniej od niego flegmatycznego i służbistego pracow-

nika. Rychło obaj zawarli ze sobą sojusz przyjaźni, nie zerwany nawet przez wspólne umizgi do „Rumianej Stasi“ liczarki, przed którą obaj smalili cholewki.

Pracowici i gorliwi ci dwaj urzędnicy filji godnie sekundowali Porajskiemu w jego czynnościach organizacyjnych i wraz z zarządcą stanowili administrację, która przeciw sobie miała całe zastępy członków kontroli, wrogo nastroszonych przez Ważkiewicza i Bykowskiego.

Nazajutrz po zlustrowaniu filji dyrektor Żbikowski przyjechał z prezesem Podborskim na inspekcję i, nie krępując się obecnością Porajskiego, jał szefa Mennicy informować o dokonanych renowacjach, przypisując wyłącznie sobie zasługi w dokonanej organizacji:

— Tu, proszę pana prezesa, zmieniłem podłogę, zupełnie przez grzyb zjedzoną. Tam wartownię urządziłem i szatnię. Maszyny poprzestawiałem, oczyściłem je z gruntu i odremontowałem. Kraty w oknach kazałem powstawić. Tu składzik zbudowałem na farby. A tu, oto — skład papieru zrobiłem... Tu odbywać się będzie liczenie papieru, tam — sortowanie druków.

— Ten skład papieru jest właśnie kością niezgody między panem Porajskim a kontrolą? — zapytał prezes uprzejmie.

— Tak jest, proszę pana prezesa! — pośpieszył odpowiedzieć Żbikowski.—Już jednak nieporozumienie usunąłem...

Porajski był niemile zdziwiony tem wysuwaniem swego „ja“ przez dyrektora technicznego, który jeno akceptował był projektowane i dokonane przez zarządcę renowacje, a w ciągu trzech tygodni nie zajrzał wcale na filję.

Pogodził się jednak wkrótce z tym objawem samo-

chwalstwa zarządcy „autonomicznej“ filji, skoro bowiem w parę dni później gdy zjechała na filję komisją ministerjalną, złożoną z dyrektora departamentu, oraz nadradcy Stodkiewicza, — Prezes Podborski, który w asystencji Żbikowskiego i Porajskiego oprowadzał dygnitarzy ministerjalnych po filji mennicznej, informował komisję również w podobny sposób arbitralny:

— Tu oto kazałem kraty wstawić... Składziki pobudowałem na papier banknotowy oddzielnie i na farby oddzielnie... Maszyny kazałem przestawić i t. d.

Zarządca filji, który tyle pracy i osobistej inicjatywy wniósł w sprawę powierzonej mu renowacji i organizacji tego oddziału Mennicy, musiał się z odsuwaniem w cień jego zasług pogodzić.

Jednak w głębi duszy czuł żal do swoich przełożonych, którzy przyrzekali mu byli „autonomję“ i „samodzielność“, a spychali go do roli zwykłego pionka, narażając zarządcę filji na konsekwencje, wynikające z ciężkiej walki administracji z kontrolą.

XIV.

Ulicą stołecznego Cudna, o zmierzchu dnia świątecznego, grono urzędnicze z Mennicy państwowej przesuwało się wśród fali publiczności, zażywającej w przewodnią niedzielę wieczornego spaceru.

Na przedzie szedł Zdzisław Krzemiński pod rękę ze swą narzeczoną, panną Zofją Gumińską, kontrolerką. Za młodą parą kroczyła poważnie mama Krzemińska z panią Morengowską, a dalej — Udałowski, starszy kontroler, asystował podkontrolerce Rozpychalskiej, —

Wieloczyński, administrator, prowadził się pod rękę z kontrolerem Ospalskim, — w końcu zaś kierownik wydziału Złotogórski bawił żartami grono pracownic i młodzieży urzędniczej, które podążało za resztą towarzystwa.

Idąca na przedzie para narzeczonych zρέcznie wymijała płynącą falangę spacerowiczów, dążąc do pobliskiego kościoła na ślub.

Ich własny ślub!...

Jakżeż inaczej wyobrażała go sobie panna Zofja przed kilku laty... Widywała siebie jadącą w karecie, białem wybitej sukniem, białymi kołmi kierować miał stan-gret w białych rękawiczkach i cylindrze... Tak samo — i lokaj na koźle... Białe lejce, białe wstażki u grzyw koni, białe kwiaty...

Biała suknia adamaszkowa, biały welon i wianuszek mirtowo-pomarańczowy złożyłyby się na strój weselny, gdyby... gdyby mamusią żyła, gdyby nie ta wojna, nie ten przewrót socjalno-społeczny, gdyby nie te zaiste ciężkie czasy, jakie brać urzędnicza obecnie przeżywa!...

Te czasy nieszczęsne, zmuszają do oszczędności na każdym kroku. Niemal każdy kęs chleba trzeba sobie odważać, byle od 1-go do 1-go starczyło...

I jak tu było marzyć nawet o tem, aby dzisiaj taka para inteligentów kareta do ślubu jechała!

Owszem, była mowa o karecie, lecz oboje zgodzili się z tem że ten znaczny wydatek byłby dowodem wielkiej rozrzutności wobec — tak bliskiej odległości kościoła od domu...

Lecz — welon? Welon być musi, bo i wianuszek być musi... Toć przecież — godło państwa... Wianuszek musi mieć podczas ślubu na głowie, choćby bez

kwiatków pomarańczowych!... Kwiatów pomarańczy nie dostać teraz w Cudnie, a mirt hoduje u siebie pani Morengowska... Iść jednak ulicą w ślubnym stroju?... Schocking! Narzącać się na gapiostwo ulicy — nieprzyjemnie... Jeden z družbów, choćby kolega Kotkowski, studniarz, nie odmówi przysługi i zanieś w pudełku wianuszek z welonem, — w kruchcie kościelnej szybko się zmieni kapelusik na wieniec mirtowy, płaszczkiem ktokolwiek się zaopiekuje i — sprawa skończona...

I szli oboje do ślubu chodnikiem miejskim, przepelnionym świąteczną, zgiełkliwą, a często rubaszną publicznością.

Szli pod rękę w te progi Domu Bożego, skąd mają wrócić na drogę, długą drogę nowego życia, oboje czysći na duszy i sercu.

Szli z wiarą głęboką w przyszłość, wiarą w Opatrzność, z unością wzajemną do siebie. Jeno unikali ocie-rania się o uliczny tłum prostaczy i strzegli się pryska-jącego błota z pod kół ekwipaży neokrezusów, — błota brudnej ulicy.

Szli, milcząc, pogrążeni w zadumę.

Pan młody żałował, że się dał namówić na tę o-szczędność. Pannie młodej łzy w oczach błyszczały, — łzy żału za tym ślubem wyśnionym, karetowym, — za marzeniami, które jak bańka mydlana prysnęły...

Lecz — stało się. Jej to własna inicjatywa była, poco bowiem na ślub wystawny mieli się zadłużać.

Tonąca w potokach światła główna nawa kościelna, zdobna zielenią ustawionych roślin, oraz tłum publiczności, stojącej po obu stronach szerokiego purpurowego chodnika, rzuconego ku wielkiemu ołtarzowi, — tak o-szołomiły pannę Zofję, że sama nie wiedziała kiedy zo-

stała przez panią Morengowską przebrana z kapelusza i kiedy się znalazła między ramionami dwóch družbów,, prowadzących ją wprost ku jarzącemu się światłem ołtarzowi.

Pan Zdzisław był przytomniejszy. W tłumie świątecznych gapiów poznał dużo twarzy, znajomych — z Mennicy. Ale — światła tyle?... Dywany i dekoracje roślinne?... Skąd?... On tego przecież nie zamawiał..

Niespodzianka?... Ale — czyja?... Kogóż to z kolegów stać dzisiaj na taką kosztowną niespodziankę?...

W pobliżu wielkiego ołtarza kościelny mistrz ceremonii skierował orszak ślubny ku — bocznej nawie... Postawny mąż w poważną szatę odzian, czerwoną szarfą przez ramię przepasany, wspaniałym gestem trzymanego w ręku drążka, mosiężnym jabłkiem uwieńczonego,— zagroził drogę do wielkiego ołtarza parze oblubieńców urzędniczych...

— Nie tędy droga wasza do szczęścia prowadzi — zdawało się mówić górne spojrzenie mistrza ceremonii. — Chudopachołkom boczny ołtarzyk wystarczy... Wielki ołtarz dla możnych tego świata jest przeznaczony...

Skromny orszak urzędniczy podarzył przed boczny ołtarz Matki Bożej, zaledwie czterema świeczkami oświetlony.

Organy na chórze odegrały naprędce hymn weselny. — kapłan odprawił ceremonję ślubną, — oboje państwo młodzi wygłaszali odpowiedzi sakramentalne wyraźnie, jakby z determinacją, — starsza družka podała obrączki do poświęcenia, — a po chwili młodzi małżonkowie, przyjąwszy błogosławieństwo kościelne, odbierali życzenia orszaku weselnego, oraz tych innych pracowników Mennicy, którzy znaleźli się podówczas w kościele.

Powtórnie ozwały się organy, wtórując tym razem chórowi śpiewaczemu, a o sklepienia wyniosłej świątyni obito się po raz wtóry radosne, zwycięskie i żywe, bo ludzkimi głosami brzmiące: *veni Creator!*...

Od strony głównego wejścia dochodził głuchy łoskot podjeżdżających karet i powozów, — przyciszone odgłosy zbierającego się w kruchcie drugiego orszaku ślubnego, — szmer krótkich ciekawych zapytań, — stłaczanie się w głównej nawie zebranej w kościele publiczności, oraz — dyskretne, choć stanowcze nawoływanie mistrza ceremonji, baczącego za porządkiem.

Młodzi państwo Krzemińscy, odchodząc od ołtarza, skierowali się mroczną nawą boczną, dążąc swobodnie ku wyjściu.

— Jak ślicznie śpiewają — szepnęła pani Zofja do młodego swego żonkosia, głęboko wzruszona i podniecona. — Drugi raz *veni Creator?*...

— Tym razem nie dla nas, dziecinko! — odpart drżącym nieco głosem pan Zdzisław.

Przez rzęsiście oświetloną środkową część kościoła przeciągał z szelestem jedwabów i strojów kobiecych tłumiąc swe kroki na szerokim dywanie, drugi orszak weselny, snadź z możliwych tego świata złożony.

Z pompą wielką poprzedzał go jegomość z czerwoną szarfą, dzwoniąc swem długim berłem o posadzkę kościelną, a pięciu księży oczekiwało u tonącego w powodzi światła wielkiego ołtarza na parę oblubieńców.

Pannę młodą, która głowę ku ziemi opuściła, prowadziło pod rękę dwóch wyfraczonych panów, w których pan Zdzisław poznał obu dyrektorów mennicznych: Żbikowskiego i Chwytowskiego. Fizjonomja pana młodego, z latającem, bystrem spojrzeniem, zdala rzucała

się w oczy: majstra Mundraka prowadziły, jako druchny pracownice fabryczne, jedna — Czarna Stefka, nakładaczka, a druga — Stasia, liczarka. Za nimi ciągnął długi szereg gości weselnych: majstrów, nakładaczek, maszynistów, odbieraczek i rzemieślników co solidniejszych z żonami i pannami. A na czele tych gości — sam pan prezes Odrowąż-Podborski zaszczycił najlepszego w całej Mennicy majstra Mundraka swoją obecnością wraz z dorodną małżonką, panią Eufemją.

Dziwne wrażenie wstrząsnęło do głębi duszą Zdzisława...

Rad był jednakże, że jego oblubienica z za szpalerów tłumu nie mogła dostrzec twarzy i poznać uprzywilejowanych weselników...

To dziwne uczucie przyśpieszyło kroki młodego żonkosia.

Tuląc swą żonę do boku, pragnął jak najprędzej znaleźć się po za obrębem świątyni, jak najprędzej otrząsnąć się z tego głębokiego wrażenia, co warem wzburzonej krwi zaćmiło mu chwilowo logikę wyrozumiałego myślenia...

Już na schodach kościelnych szereg karoc i zaprzęgów, imponujących tłumowi, nasunął mu dwa wyrazy: *signum temporis*...

Nadchodził dzień imienin prezesa Podborskiego.

Zbliżał się wielki dzień w Mennicy państwowej, — galówka w obrębie zakładu, gdzie pracownicy odświętnie przyodziani, porzucali pracę. a liczne delegacje składały panu na Podborach, Fortunatowi Stanisławowi Odrowąż-Podborskiemu hołd i — cenne dary.

Już na kilka tygodni przed tą uroczystością zbierano narady nad tą sprawą co mianowicie ofiarować panu prezesowi, tak łaskawemu — szczególnie w okresie przedmieniowym — dla wszystkich pracowników Mennicy.

Pawilony jeden przed drugim siliły się na wymowniejsze wartościowo dowody swej życzliwości dla szefa. Jedna grupa pracowników przed drugą starały się bogatszym darem wkraść w łaski pana prezesa. Wprawdzie znaleźli się tu i owdzie niechętni tej „daninie wewnętrznej“ przymusowi płatnicy, ale nie śmieli występować głośno z opozycją, bo — niebezpiecznie się narażać.

Jak mucha w ukropie uwijał się po wszystkich pawilonach „mistrz“ Drewnowski gorliwie agitując na rzecz upominków i omawiając pomysły laurek i winietek na adresach, jakie miały być wręczone panu prezesowi razem z kwiatami i darami. W rysowni odstawiono na bok wszystkie prace, nad projektami walorów podjęte, a na rajsbretach rozpięto arkusze welinu, na których Drewnowski rzucał fantastyczne winiety, inicjały i ozdóbki akwarelowe i pastelowe, mające upiększać adresy hołdownicze.

Nie tylko dni całe, ale i długie godziny nadnormowe poświęcał mistrz nad mistrze kunsztu wzorów perkalikowych na to, aby panu prezesowi jak najwięcej niespodzianek splodzić kosztem — Skarbu. Drewnowski bowiem, człowiek nader wyrachowany, osobiście wolał błysnąć panu prezesowi swoim talentem, niżli — złotem lub brylantami, na które składano się w pawilonach mennicznych.

W okresie przedmieniowym odwiedził Mennicę zarządca filji i, wstąpiwszy do rysowni, która przemia-

nowała się właśnie na pawilon „artystyczny“, dowiedział się od Drewnowskiego o nadchodzących imieninach prezesa, które corocznie obchodzono w zakładach z wielką uroczystością.

— Powiadam panu — zachwycił się „mistrz“, informując Porajskiego o przyjętym w Mennicy zwyczajku, — co s z e t u d z e j e, j a k s o m e m e n y n y!... Herr Jel!... W g a b y n e c z e c a ł e k l o m b y k w i a t ó w... A p r e z e n t ó w — z a m y l j o n y... C o p a n m i s z l i d a c z' o d s w o j e j f i l j i?

— Ja myślę, że taką uroczystą hołdowniczość jest bizantynizmem... Dawniej satrapów „czciliśmy“ w podobny sposób z musu, aby ugłaskać ich srogość lub względy jakies sobie — kupić...

Drewnowski nie zrozumiał o czym Porajski mówi.

— No, można i c o s z w b y z a n t y j s k i m s t y l u... D l a c z e g o n i e?

— Ja przecież dowodzę dlaczego bizantynizmu nie lubię...

— No, to inny styl można... P o c o k o n i e c z n i e b y z a n t y z m?

— Nie rozumiemy się, zacny mistrzu — odparł Porajski — Ja panu powiem wyraźnie: nie podoba mi się zbytnia służalczość podwładnych względem zwierzchników. To było dobre dawniej, bo nieraz i konieczne i nieuniknione, — gdyśmy w pętach niewoli u z a b o r c ó w w e g e t o w a l i... Nie potępiam chęci uczczenia dnia imienia pana prezesa przez złożenie mu życzeń, no — i adresów, pięknie wymalowanych, jak te oto, które pan przygotowuje...

— Ładne, prawda? — podchwycił Drewnowski z zadowoleniem.

— ...Ale jestem przeciwny składaniu kosztownych upominków zwierzchnikowi przez jego podwładnych. choćby dlatego, aby swego zwierzchnika nie zobowiązywać do rewanzu...

— O, o! Ja tak samo myślę...

— Bo przecież prezes — ciągnął Porajski — nie może sobie na to pozwolić, aby wszystkim swoim pracownikom wzajemnie ofiarować prezenty imiennowe... Toć wobec tysiąca z górą pracowników, pan prezes musiałby codziennie średnio po trzy prezenty kupować, aby w ciągu roku zrewanżować się wszystkim solenizantom...

— No, to jest prawda — przyznał Drewnowski. — Ale pan prezes wszystkim podwyżki nadetatowe znowu wyrobił... To pan jeszcze nie wi?.. Akurat od poniedziałku mają być obliczone...

— Wątpię, aby pan prezes uważał te nowe podwyżki służbowe za osobisty rewanz ze swej strony, a temwięcej, że je kasa wypłaci zapewne jeszcze przed imiennami prezesa...

— Napewno wypłaci, z całą pewnością! Będzie z czego dać na prezent...

Porajski był oburzony na „mistrza“ za takie pojmowanie sprawy rewanzu. To, co zapewne, zbiegiem okoliczności wynikło, Drewnowski traktował, jako rewanz prezesa, dany pracownikom awansem w okresie zbierania składek na dary imiennowe dla siebie... To się nie zgadzało z zewnętrzną dostojunością prezesa Podborskiego, który przecież tak szlachetną miał postać i duszę szlachetną mieć winien...

Wracając jednak do sprawy bizantynizmu, Porajski zagadnął Drewnowskiego:

— Niechże mi mistrz powie, czy i innym zwierzch-

nikom jest zwyczaj składania prezentów imieninowych?

— No, tak... I pan dyrektor Żbikowski odbiera prezenty i pan dyrektor Chwyrowski także, i inni naczelnicy...

— A ci mniejsi urzędnicy i pracownicy fabryczni także otrzymują kiedy jakie upominki?

— No, nie... Skąd? — dziwił się Drewnowski.

— Otóż to: ten mały daje składki na drogie upominki dla tych większych. Ale ci więksi o imieninach tych mniejszych nie pamiętają i nawet życzeń im nie składają.. Stanowczo uważam ten zwyczaj za objaw niezdrowy i w naszych stosunkach służbowych za niepożądany, a przeto kategorycznie przeciw temu protestuję...

Drewnowski nic nie miał do powiedzenia. Porajski wprost przeraził go swem odważnem patępianiem przyjętego w Mennicy zwyczaju kupowania przez podwładnych względów u ich zwierzchników. Natomiast zasznik prezesa rozważał w swojej płytkiej mózgownicy te zrewoltowane pojęcia i z maskowaną nienawiścią spozierał na Porajskiego, który z zajęciem oglądał rysowane przez pawilon artystyczny laurki i adresy.

Rysownik menniczny wiedział, że Porajski nieraz wypowiadał swe zdania o jego „mistrzostwie“, czem dyskredytował go w opiniji kolegów bez ceremoniji.

Drewnowski wiedział o tem dobrze, boć i Porajski jemu osobiście radził, aby starał się zapoznać z kulturą sztuki wogóle, a kulturą sztuki cudeńskiej — w szczególności...

On, Drewnowski, — który w ciągu tylu lat odrysowywał precudne wzory: firanek, koronek, perkalków i batystów, — co doszedł do takiej olbrzymiej perfekcji w krytykowaniu najsławniejszych malarzy cudeń-

skich i w kozí róg ich zapędzał ku uciezce prezesa Podborskiego, — on, który dzięki swemu talentowi, taką świetną zajął posadę w Mennicy, — on, mistrz Drewnowski, ma się wziąć do studjowania sztuki!... On, mistrz pierwszorzędny, ma się jakiejś tam sztuki uczyć?!... Dureń jest ten Porajski i — f e r t i g!...

Tak myślał sobie renegat Drewnowski, a knując w duchu zemstę nad „rewolucjonistą“, uśmiechał się mile do Porajskiego, chwając się przed nim swemi arcydziełami.

Nadszedł wreszcie dzień imienin pana prezesa Mennicy państwowej.

Z rana, po godzinie 8-ej, przed pałacykiem, położonym opodal wartowni i wjazdu do Mennicy, zabrzmiał poważny hejnał orkiestry mennicznej.

Rozbudzony staruszek podniósł się z łóżka, wychudzone podagrą nogi opuścił na skórę puszystą, a na bezzębnych ustach zakwitł mu uśmiech błęgiego wzruszenia i oblał jego twarz czerstwą, choć pomarszczoną, zadowolaniem pysznem i dumnem.

— Femciu, daj mi, duszko, „pyjamę“... Muszę się przecież ukazać w oknie swoim kochanym muzykantom — wyszeplenił solenizant, wkładając sobie do ust dwa garniturki, które całą noc w kubeczku wody się kąpały.

Pani Eufemja żwawo wyskoczyła ze swego łoża mahoniowego i, wdziwając na różowe nóżki nocne pantofelki, zarzuciła na rozgrzane i cudnie zaogrąglone ramiona penjuar koronkowy, potrząsnęła swemi przystrzyżonemi, kruczemi lokami i jęła już nieco zgrzybiałemu swemu małżonkowi pomagać w przystojnem odzianiu jego dostojnego ciała.

Po chwili w uchylonem oknie mieszkania prezesa

ukazała się łysa jego czaszka i białe bokobordy, a wypieszczona ręka dziękowała pańskim gestem za hejnał, zwiastujący solenizantowi szereg wzruszeń rozkosznych, jakie oczekiwały go w onym wielkim dniu gali mennicznej.

Gdy muzyka umilkła, wzruszony dowodem życzliwości swych podwładnych prezes kilka słów podziękował z okna pracownikom Mennicy, którzy z amatorskiego orkiestrę składali.

Kapela fabryczna po raz wtóry zagrziała jakąś tłucznią fanfara, a jednocześnie ukryty za ścianą pluton wartowników, niedawno uzbrojonych, huknął z kilkunastu rewolwerów raz-po-raz, czem nie tylko pani Eufemja wystraszyła się bardzo, ale i pan prezes odruchowo cofnął się od okna, nie spodziewał się bowiem takiej gorliwości służbowej po komendancie warty.

— Jeszcze nam tu policję sprowadzą niepotrzebnie! — zauważyła pani Eufemja, ochłonawszy nieco z przestraszenia.

— Policję?... Dajże pokój. Femciu! Skąd znowu policja na myśl ci przyszła?... Niechże nas Bóg Jedyń broni!... A zresztą moja warta nie wpuści tu żadnego policjanta... Jeszcze czego?!

— Nie ziąb się, Kolombo!

Pani Eufemja nazywała swego męża gołębiem z cudzoziemską, dla jego białych bokobrodów, przypominających olbrzymie skrzydła gołębie...

— Nie ziąb się, Kolombo! — powtórzyła. — Kładź się z powrotem, a ja ci kawunię podam do łóżka...

— Ciężka praca dzisiaj mnie czeka — westchnął solenizant.

— Ale wdzięczna... Prezenty będą w tym roku

kosztowniejsze, o wiele kosztowniejsze... Mówił mi Żbikowski...

— Podobno, Femciu, podobno... Drewnowski coś nie coś mi napomykał... Pocziwiec, najwięcej zabiegał... On mnie bardzo, bardzo kocha... Podobno między innymi mam otrzymać dwa pierścienie z brylantami, zegarek złoty z dewizką, złotą papierośnicę...

— No, a dla mnie nic? — wtrąciła pani Eufemja.

— Jakżeż?... Srebrne sztuce na dwanaście osób, garnitur do kawy złożony, cyzelowany podobno przepięknie, no i kwiaty, kwiaty!...

— Co mi po kwiatach, Kolombo! Kwiaty zwiędną i zgina, a złoto i srebro nigdy swej wartości nie straci...

Tak gawędząc, małżonkowie spożywały ranną kawę przy łóżku solenizanta, który wreszcie zaczął się ubierać, aby wyjść do zarządu, gdzie już zbierały się liczne delegacje pracowników mennicznych.

Około południa prezes Podborski ukazał się na stopniach tylnego wyjścia na ogród, któredy zwykle wychodził na służbę.

— Baczność! — tubalnym głosem krzyknął dowódca warty.

Drgnęli i wyprężyli się ustawieni dwurzędnym szpalerem wartownicy, a pan prezes, wyniosły i dostojny, przemiłym uśmiechem witał swoich zuchów i rozczesując rękoma wspaniałe bokobrody, kroczył dostojnie usypaną kwiatami ścieżką od furtki swego ogrodu aż do pawilonu zarządu.

Cała Mennica udekorowana była flagami.

Wejście do biur zarządu zdobił wspaniały transparent, na którym widniał napis: „Wielkiemu twórcy Mennicy — cześć i sława!“

Wnętrze biur udekorowano, pod kierownictwem samego dyrektora Cwytowskiego, festonami zieleni, a olbrzymi gabinet prezesa tonął w oazach wonnego kwiecia, ustawionego w donicach na stole sesyjnym i klombami rozrzuconego gustownie na podłodze.

— Ach, jakaż wspaniała niespodzianka! — zauważył na wstępie solenizant, witając członków zarządu i urzędników, którzy za prezesem wchodzili grupami do gabinetu.

Rozpoczęło się doroczne składanie życzeń i darów.

Najpierw wystąpił nadradca ministerjalny, Słodkiewicz, który w zaokrąglonej formie wyraził swoje życzenia „czcigodnemu solenizantowi i serdecznemu przyjacielowi“, poczem podeszli urzędnicy zarządu z Ważkiewiczem na czele, następnie kontrola—z Bykowskim. Obie te delegacje prócz stereotypowych życzeń, wypisanych na laurkach Drewnowskiego, złożyli swoje dary, stosunkowo skromne, urzędnicze.

Po każdym złożeniu hołdu przez poszczególłą grupę delegatów, prezes dziękował kilku słowy, orkiestra dawała krótki tusz, poczem wysuwała się nowa grupa życzących.

Trzecim z kolei wystąpił „mistrz“ Drewnowski w imieniu pawilonu artystycznego z olbrzymim portretem prezesa, oprawnym w ciężką ramę dębową, w warsztatach mechanicznych artystycznie rzeźbioną, oraz — z szumną laurą, wielkości dwumetrowej. Drewnowski wysunął jednego ze swych rysowników aby wyręczył go przy wypowiedzeniu kilku słów, sam bowiem krępował się mówić, nie chcąc razić uszu obecnych swoim akcentem teutońskim.

Następnie wystąpiły obie dyrekcje: techniczna z

pierścieniem brylantowym, handlowa — z ciężką papierośnicą złotą, poczem wysunęła się warta — z serwisem srebrnym do owoców. Za nią ciągnęły jedna za drugą, delegacje poszczególnych pawilonów mennicznych, a więc: fotograficznego, kliszarni, drukarskich, litograficznego, warsztatowych, elektrotechnicznego, magazynów, papiernej i t. d. i t. d.

A każda delegacja składała dary cenne, przeważnie złote, srebrne i brązowe, a dużo było takich, nad którymi w warsztatach mennicznych ad hoc przyjęci rzemieślnicy miesiącami całymi pracowali.

Solenizant wzruszony bardzo temi dowodami życzliwości swych pracowników z łezką w głosie dziękował poszczególnym delegacjom, ustawiając na olbrzymim stole otrzymane dary i osobiście dekorując je kwiatami.

Wkońcu prezes Podborski do zebranych delegacji wygłosił przemowę, w której podkreślił swą ciężką pracę, podjętą ku chwale i pożytkowi ojczyzny, — oraz wielką swoją miłość ku wszystkim swym pracownikom, — wspomniawszy delikatnie o dobrodziejstwach, jakie w ojcowskiej pieczołowitości stara się wszystkim wyświadczać w tych ciężkich czasach i zakończył starocudeńskim „kochajmy się!“.

Chóralny okrzyk: „Niech żyje pan prezes!“, trzykrotnie powtórzony, a podchwycony fanfarami przez orkiestrę, był zakończeniem składania hołdów i darów panu prezesowi.

Wszyscy złożyli swą daninę, jednej tylko delegacji z czołobitnością brakowało: filja menniczna znaku życia o sobie nie dawała...

Nie chcąc jednak narażać siebie i swojej filji na nie-

pożądane możliwości, Porajski, przychyliwszy się do inicjatywy majstra Waltera, stworzył listę składek imiennowych od pracowników filji, z zaznaczeniem, aby poszczególne składki nie przechodziły średniej możliwości ofiarodawców i, że suma zebrana będzie przelana na rzecz Książnicy Koleżeńskiej gwoździ uczczenia dla imiennin pana prezesa.

Pracownicy filji chętnie na to przystali, poczem zarządca zreagował adres, który wydrukowano i opatrzone podpisami wszystkich pracowników, począwszy od najmłodszego stanowiskiem służbowym gońca, a skończywszy na zarządcy filją.

W gronie ofiarodawców i podpisujących adres imiennowy nie brakowało żadnego z członków kontroli, co było znamienym faktem pojednania się na filji dwu stron wojujących.

Dopiero po ukończeniu masowego obrzędu holdowniczego zjawił się w gabinecie solenizanta Porajski wraz ze swoim starszym kontrolerem Jodłowskim i z gońcem, Michałkiem, jako najmłodszym ze swych podwładnych.

Delegacja w imieniu filji mennisznej złożyła prezesowi adres, w teczce z czerpanego papieru zamknięty, a w krótkiej przemowie zarządca filji wyraził przypuszczenie, że najmilszym chyba upominkiem dla solenizanta będzie wniosek, ze zbiorowego adresu wysnuty, o — zawarciu przez kontrolę i administrację p a c t a c o n v e n t a, — zgody i jedności, o co tak trudno było dotychczas na filji mennisznej.

Prezes uprzejmie dziękował za pamięć, z pojednania się zarządcy z kontrolą zbytniego zadowolenia nie okazał, ale natomiast, żegnając się z delegacją,

i trzynastoletniemu Michałkowi podał rękę, którą malec energicznie i śmiało potrzęsnał.

— Pocałuj, a nie trzęść, smyku jeden! — szepnął gońcowi zarządca.

Chłopczyzna pośpiesznie to uczynił, a stary prezes pogłaskał go po głowie, z gestem pobłażliwości.

Wychodząc z Mennicy, Porajski natknął się na jednym z podwórców na grupę zarządców pawilonowych i majstrów, komentujących przebieg uroczystości i umawiających się na wieczorną pijatykę *ex re imienin* prezesa.

— A, witamy szanownego dyrektora filji! — ozwały się głosy zebranych, zaczepiając przechodzącego Janusza.

— Cześć panom, cześć! — odpowiadał Porajski, podając kolejno rękę. — Dajcie jednak panowie, spokój z tem „dyrektorstwem“.

— Co, bogato wystąpiliśmy? — zagadnął zarządcą Młynarski. — A co filja prezesowi ofiarowała?

— Adres — odparł Janusz.

— I nic więcej? — dopytywał majster Pańkowski.

— Owszem, nczciliśmy dzień *imienin* naszego szefa kilkoma tysiącami, złożonemi na rzecz „Książnicy Koleżeńskiej“.

Zebrani spojrzeli po sobie z roztargnieniem.

— Uważałem za właściwe uczcić imię prezesa darem na rzecz instytucji o celach ogólniejszych, niżli uwłaczać jego czci i ambicji przez ofiarowanie mu kosztownego upominku...

— Jakto „uwłaczać“? — zapytał zarządcą Cichocki.

— A tak, że prezes mógłby mnie posadzić o chęć

kupienia jego przychylności, czy też względów specjalnych...

— Dziwne są pańskie zapatrywania! — zaopiniował Młynarski. — Gdybyśmy tak wszyscy chcieli im hołdować...

— Tobyśmy mogli — kończył Porajski—dużo dobrego bliźnim, ogółowi wyświadczyć... Bo pomyślcie panowie, ile lez niedoli ludzkiej możnaby otrzeć kosztem tych hojnych darów, złożonych w jedne ręce pod postacią martwego kapitału.

— Racja! — przyznał majster Pańkowski.

— Możnaby wreszcie — ciągnął Porajski — zebrane składki imieninowe złożyć w gotowiznie solenizantowi z prośbą aby tę miljonową sumę przelał na rzecz ubogiego Skarbu naszego. Ileż to złota możnaby bankowi państwa przysporzyć i walutę tym samem poprawić...

— Racja! Ma pan rację, ale zawsze...

— Odsunąłem na bok, to prywatne „ale“ i moi pracownicy podzielili moje zdanie... Przynajmniej mamy moralne zadowolenie, że ogół menniczny będzie z ofiary filji korzystał.

Po krótkiej rozmowie Janusz pożegnał kolegów i udał się do pawilonu fotograficznego aby odwiedzić Fiszera, którego po tranzlokacji Porajskiego na filję, osadzono, jako zarządcę fotochemji:

— Co słyhać, arcymistrzowi nowego? — witał na wstępie swego przyjaciela. — Siedzicie tutaj stale?

— Co robić? — odparł, westchnąwszy, kierownik artystyczny. — Powoli odsuwają mnie od wpływów na fabryce... Są młodzi, zdolniejsi.

— Zarozumiąlsi, chamy w sztuce! — dokończył Porajski wzburzony. — I robią więcej makulatury lub

bohomyzy puszczają!... No, wie arcymistrz, aby takiemu kretynowi, takiemu lalkowi i takiemu ograniczonemu umysłowi, jak Drewnowski, — dać się osiodłać i ujeździć! — To, to trzeba być nie szefem Mennicy państwowej, a tylko całkowitym ignorantem, albo kretynem niedorozwiniętym, jakim przecież nie jest prezes Podborski!

— Ciszej — zwrócił uwagę Fiszer. — U nas i ściany mają uszy... Nie umysłem, nie talentem, nie znajomością rzeczy, a — łokciami się rozpycha ten samozwaniec-artysta... Cóż robić?

— Nie dać się spychać... Teraz już nie panu przysyłają do akceptowania próbne arkusze druków, a jemu, temu perkalikarzowi... Toż przecież wygląda to na kpiny ze zdrowego rozsądku, aby taki analfabeta w sztuce graficznej miał decydować o jakości wykonania całej produkcji Mennicy!

— Taka woła prezesa. Przecież prądowi płynąć nie mam już sił, ani chęci — rzekł Fiszer z rezygnacją.

— A cóż Żbikowski na to wszystko?

— Pan Konrad ma różne inne interesy na głowie...

— Ciągłe „kombinują“ z Chwyrowskim? — pytał Porajski półgłosem.

Fiszer kiwnął głową i machnął ręką z niechęcią. Nie chciał widocznie mówić o brudach.

— Żle jest, arcymistrzu, bardzo jest źle! I to wszystko bardzo tragicznie się skończy. Zobaczycie...

— Musi się źle skończyć — przyznał Fiszer, — bo u nas coraz, to gorzej się dzieje: zdolniejsi, samodzielniejsi, ludzie zamiłowania i pracy — uznania nie mają. Trzeba umieć być cielem, powolnym różnym idiotycznym rozporządzeniem, — trzeba umieć giąć plecy, —

— Proszę wpuścić, sprawdziwszy legitymację! — zdecydował zarządca filji.

Nazewnątrz drzwi, prowadzących do filji mennicznej oczekiwał jegomość w średnim wieku, wyglądający „od waszecia“, który przy dżdżystej pogodzie ubrał się w burkę prowincjonalną.

Wartownik, rozmówiwszy się z nim przez okienko, wpuścił go do szatni i, poleciwszy niepozornemu gościowi rozebrać się z wierzchniego okrycia, wskazał mu drzwi gabinetu zarządcy.

Porajski uniósł się z za biurka na powitanie wchodzącego nieznanego, przysadkowatej postury, o twarzy pospolitej gminnej i ruchach niezgrabnych.

— Mam oześć otrek o m e n d o w a ć się: Hryczenko... Mikołaj Hryczenko, z dyrekcji technicznej, inżynier...

Zarządca wskazał krzesło naprzeciw biurka i nowego spółkolegi zapytał:

— Pan oddawną pracuje u nas, w Mennicy państwowej?

— A, już dwie niedziele schodzi...

— Zapewne z Bolszewji niedawno pan powrócił?

— indagował Porajski, pilnie studjując obcokrajowca, przyjętego świeżo do dyrekcji technicznej.

— O, nie! Ja już więcej roku na kresach pracowałem, w wojskowej organizacji służyłem, naszej...

— To jest, w jakiej?

— No w naszej, cudeńskiej, proszu pana. Ja sam Cudnianin, tylko na kresach urodzony... A służyłem w Pitrze, razem z panem prezesem Podborskim...

— Ach tak? Przepraszam za otwartość, ale pańskie nazwisko na „ko“ brzmi jakoś nieco obco... Sądziłem przeto, że...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Hryczenko rubasznie.
— I Kościuszko przecie na „ko“ z a k a ń c y w a ł się!

Niemile uderzyło Porajskiego to porównawcze wyjaśnienie dobrodusznie, choć nieszczerze uśmiechniętego przybysza, należącego widocznie do typów, posiadających zdolności mimikry...

Takich przybyszów dużo do Cudna napływało.

Wielu z nich, nie władających wcale, albo całkiem kiepsko językiem cudeńskim, chętnie przyznawało się do cudeńskiej przynależności państwowej. Tej kategorii imigranci gotowi byli zaklinać się, że są z krwi i kości Cudnianami i nawet, w razie potrzeby, — katolikami... Papierów odpowiednich często nie posiadali, bo gdzież tam myśleć było o dowodach osobistych, skoro zaledwie z duszą człowiek zdołał uciec z tego rajku bolszewickiego... Często jednak i papiery posiadali, wyrobione gdzieś, w jakiejś zapadłej gminie kresowej przy protekcji partyjno-politycznej lub poparciu argumentacji pieniężnej...

Tego rodzaju przybysze potrafili wszędzie przystosować się do otoczenia i okoliczności, a często bez wyraźnej potrzeby zapierali się swej narodowości i wiary swych ojców, boć przecież Rzeczpospolita Cudeńska była — tolerancyjna, bardzo tolerancyjna.

— Czem panu mogę służyć? — zapytał Porajski.

— Ja słyszał, co pan jest samy najlepszy od wszystkich zarządców... Mówił mnie Młynarski, z którym razem służę, co pan bardzo elegancko obstał całą filiż. To ja i przyjechał, żeby poznać się z panem i opatrzyć u pana fabrykę...

— Skorośmy się już poznajomili, a pragnie pan obejrzyć mój zakład, zechce pan pofatygować się na salę. W charakterze oiczone będzie panu towarzyszył mój pomocnik, pan Władurski, ja mam bowiem pilną robotę do wykończenia...

— Ja znam, ja znam, jak robota, to robota... Nu, ja z panem pomocnikiem będę opatrywać, — odparł Hryczenko, kierując się z Władurskim na fabrykę.

Po chwili Porajski zatelefonował do zarządcy Młynarskiego, pytając:

— Moi drodzy, powiedzcie mi, co to za typ ten Hryczenko, który do mnie w odwiedzinę przyjechał? Mówi, że z wami razem pracuje.

— A, djabli go wiedzą... Wsadził go, panie łaskawy, Mangołow niby na drugiego zarządcę do mnie na zmianę. Ale on łązi po wszystkich pawilonach i udaje wielką znajomość rzeczy, wmawiając, że jest inżynierem-drukarzem.

— Jakim inżynierem? — zapytał Porajski, sądząc, że się przesłyszał.

— Drukarzem... inżynierem-drukarzem!... Pierwszy raz słyszę, panie łaskawy, o takim tytule... I powołuje się wolaż na dawniejszą swoją służbę razem z prezesem. Ma tu być, jakoby, starszym zarządcą nad wszystkimi pawilonami. Tak, przynajmniej sam powiada...

— To i Żbikowski musiał z nim razem kolegować? — zauważył Porajski.

— Żbikowski mówił mi poufnie, że Hryczenko w Pitrze liczeniem papieru kierował i jest, zwyczajnie — bity dureń. Ale prezes, panie łaskawy, ostentacyjnie tytułuje go „inżynierem“.

— Coraz to lepiej idzie. Dziękuję wam za informacje i przepraszam — rzekł Porajski na zakończenie.

Do gabinetu wszedł student Kotkowski, urzędnik łącznikowy filii i magazynier. ,

• — Proszę pana, gospodarz domu rości pretensje do tych pięciuset marek za prąd elektryczny, zużyty przez lampki, które w pierwszym miesiącu oświetlały nam schody w ciągu nocy...

— Jeszcze pan tej sprawy nie uregulował?—zauważył Porajski. — Mówiłem mu, żeby złożył na pana ręce rachunek elektrowni, a zarząd Mennicy go pokryje.

— Właśnie w tem sęk: rachunek opiewa sumę znacznie większą, bo obejmuje wszystkie lampki i na schodach i w jego fabryce. Przeto oddzielnego rachunku, za prąd dla nas użyty, złożyć nie może.

— No, to cóż na to poradzić?

— Gospodarz proponuje czyby pan nie pozwolił zrobić mu jednej odbitki z formy drukarskiej, która po Cwaniewiczzu pozostała...

— Z jakiej formy?

— Na jakieś tam akcje Towarzystwa „Linoleum“, które on drukował dla tego towarzystwa u Cwaniewicza... Takich czcionek żadna drukarnia w Cudnie nie ma...

— Na co mu ta odbitka?

— Klient ponowił zamówienie na nową emisję tych akcji, chce więc mieć odbitkę na kredowym papierze, aby z niej odfotografować kliszę na cynku... Możeby mu zrobić? On wzamian może nam anulować ten rachunek za światło...

— No, dobrze, — zdecydował zarządca. — Ale...

— On i papier swój daje. A majster Walter może to sam zrobić na pedale. I tak nie ma nic do roboty.

— Pal sześć! Niech pan powie Walterowi, aby zrobił tę odbitkę... Lecz, panie Zbyszku, — z tym warunkiem, aby gospodarz nie atakował nas więcej o ten rachunek.

Zarządca filji wahał się na razie wykonać tę małą „prywatną“ robótkę dla właściciela domu, w którym Mennica lokal dzierżawiła. Ale, że sam zarząd nie krepował się w nadsyłaniu filji zleceń na wykonywanie różnych tego rodzaju robót, jak naprz.: biletów wizytowych dla nadradcy Słodkiewicza, jego żony i różnych innych osób, już zupełnie prywatnych, więc ostatecznie Porajski zdecydował się na wykonanie odbitki dla gospodarza domu, która miała zresztą pokryć nieopłacony przez zarząd Mennicy rachunek za światło.

Ani przypuszczał wówczas zarządca filji, że ten fakt wywoła kiedyś burzę w szklance wody, a nawet—dwie, i stanie się w rękach trzecich osób mieczem damoklesowym, zawieszonym nad jego głową...

Tymczasem filja rozpoczęła pracę normalną i stosunki zarządcy z kontrolą weszły na tory poprawne. Porajski wspólnie ze starszym kontrolerem Jodłowskim zawarli sojusz współpracy i podzielili się zgodnie kompetencjami służbowymi. Dzięki temu uchylono raz na zawsze wszelkie zatargi, tamujące szkodliwie normalny bieg pracy na filji.

Nie podobało się to jednakże inżynierowi Mangolowowi, który w trosce jakoby o większą samodzielność zarządcy filji, często mu radził (a wszystko ustnie lub drogą telefoniczną) wprowadzenie takich inowacji, które wchodziły w atrybucje kontroli. Porajski musiał w takich przypadkach stawać wobec dyrekcji technicznej okoniem, nie chcąc raz przyjętych i omówionych kompe

tencji służbowych zmieniać i pracowników filji narażać na dezorientację.

Z niedawnym swym wrogiem i „pogromcą“ zawarł również przymierze nadkontroler Bykowski, który na terenie filji opracowywał wspólnie z Jodłowskim i Porajskim nowe formularze i sposoby ujęcia kontroli drukowanych banknotów i walorów w racjonalne i celowe czynności, na czem wielce zyskała sprawa ogólna.

Porajski przestał być już tym dawniejszym „pogromcą kontroli“, a natomiast — widząc jej dążenie do uzdrowotnienia, — stał się życzliwym doradcą Bykowskiego, a z Jodłowskim, jak również z całym sztabem kontroli nie miewali, bo wspólna z nią praca zaczęła iść prawnym, lecz i przyjaznym.

Sekundowali mu dzielnie i Władurski i Kotkowski, a majster Walter i maszyniści, oraz wszyscy inni pracownicy techniczni najmniejszych zatargów z członkami kontroli nie miewali, bo wspólna z nią praca zaczęła iść składnie i ochoczo.

Mangołow zawiódł się w swoich rachubach...

Zajawszy niespodzianie, jako obcokrajowiec nie znający języka państwowego, odpowiedzialne stanowisko zastępcy dyrektora technicznego w Mennicy państwowej, — postarał się był o usunięcie swego spółzawodnika służbowego od centrali.

A gdy to mu się udało, umyślił swój plan rozwinąć aby przeciwnika unieszkodliwić. „Nasadził“ przeto Porajskiego na kontrolę, w nadziei, że dość krewki i ambitny zarządca w nierównej liczebnie walce padnie, a wówczas on, Mangołow, konkurenta ostatecznie się pozbędzie.

Porajski nie padł jednakże, a przeciwnie — wynieść się był powinien w oczach zarządu Mennicy.

Należało więc temu przeszkadzać...

No, i — coraz częściej jakieś kołki, pakowane niewidzialną ręką w szprychy obracających się całym pędem kół filji menniczej, zaczęły tamować jej pracę prawidłową, normalną: A to papieru w porę z magazynów nie dostarczono, a to farbę przysłano niedobłą, a to pierwszych arkuszy druków nie zaakceptowano, a to na klisze trzeba było całymi dniami oczekiwać...

Zaczęły się mnożyć jakieś niespodziane przeszkody, dzięki którym między zarządcą filji, a dyrekcją techniczną rodziły się znowu nieporozumienia.

Przy tem wszystkim dużo zmartwienia przysparzał zarządcy majster Walter, który uważał swoje stanowisko na filji niejako za synekurę i pracę swoją osobistą ograniczał do chodzenia z fajką w zębach po salach i do „rautów“ z paniami kontrolerkami. Nie dość, że majster nic sam nie robił, ale — jak się okazało — nie miał pojęcia o narządzaniu klisz banknotowych. Sam tego nigdy nie wykonywał, a wstąpiwszy do Mennicy podczas znanego strajku w sprawie Mundraka, przesiedział dłuższy czas w charakterze rezerwowego maszynisty i jeno zdala przyglądał się robocie wycinanek, a nawet pokpiwał sobie z „tapetowania“ bębnow na maszynach.

Na filję dostał się dzięki temu, że pracownicy pawilonów drukarskich w Centrali krzywo patrzyli nań, jako na „łamistrajka“. Dzięki swemu starszemu wiekowi, zajmwszy na filji stanowisko majstrą bez uprzedniej praktyki w Centrali, Walter zaczął się wynosić, mądrzyć i podrwiwać z podwładnych mu maszynistów.

Dopóki filja produkowała mniejsze banknoty, oraz banderole, — współpraca Waltera z maszynistami szła

jako-tako, gdyż każdy z nich był dostatecznie w tej produkcji wykwalifikowany. Lecz, gdy filja otrzymała zamówienie na banknoty pięciotysięczne, a klisze nadstano z Centrali wybrukowane, bo krzywe w płaszczyznach, — maszynista Turkowski, który je dostał do narządzenia, w przeciągu paru dni nie mógł się z nimi uporać, a majster dochodził doń i tylko dogadywał:

— Dużo pan zrobisz z temi wycinankami...

— Pan nie masz pojęcia o robocie ilustracyjnej...

— Zaraz widać, żeś pan tylko na gazetach jechał, albo i w żydowskiej budzle partolił...

Dopiekanie Bogu ducha winnemu maszyniście nie tylko, że nie przyśpieszało wykonania pracy, lecz — przeciwnie. Turkowski aż penił się ze złości na majstra i w końcu uzalił się Porajskiemu:

— Proszę pana zarządcy, jeżeli tak dalej będzie, to ja podziękuję za kondycję... Pan Walter tylko pokpiwa z człowieka i wydziwią, zamiast dopomóc, a z temi kliszami, które są pokoślawione, jak grzyby, do ładu przyjść nie można...

Turkowski pocił się zdenerwowany, lecz starał się wszelkimi sposobami owe wichrowate klisze narządzić.

Porajski kilka razy dziennie schodził na dolną salę do strapionego i zapracowanego maszynisty, a widząc jego bezowocne trudy, starał się sprowadzić z Centrali nowy komplet klisz, lecz — nadaremnie. Mangołow odmawiał, tłumacząc, „że klisz zapasowych w skarbcu nie ma, a kliszarnia nie może nadażyć zapotrzebowaniom.

Należało bezwzględnie te właśnie, krzywe klisze spożytkować, bo innych dyrekcja techniczna dać nie mogła, czy też nie chciała.

Zarządca zwrócił się wówczas do majstra Waltera, starając się go przekonać, że jeśli maszynista nie może sobie dać rady, to on sam, celem ratowania honoru filji, winien dopomóc Turkowskiemu i pokazać taki sposób narządzania, przy którym dałoby się spożytkować te mianowicie klisze, a nie inne.

Walter wziął się wreszcie własnoręcznie do roboty, kłął na czem świat stoi, próbował tak i owak, lecz — niestety — nawet gorzej próby wychodziły, niż po narządzeniu klisz przez Turkowskiego.

A tymczasem zarząd Mennicy dopominał się o próbny arkusz pięciotysiączek.

Chcąc ratować sytuację, Porajski zażądał w dyrekcji technicznej przysłania mu instruktora-majstra, któryby pokazał na filji właściwy sposób narządzania tych klisz nieudatnych, a tem samem przyspieszył rozpoczęcie produkcji pilnie oczekiwanych banknotów.

W gabinecie zjawił się majster Mańczak.

— Nie chciałbym — rzekł na wstępie — aby stary Walter miał do mnie pretensję o to, że przyjąłem polecenie dyrekcji, aby jego robotę poprawić... Nie dawałby mi tego do śmierci.

— Niech pan będzie spokojny — odparł Porajski. — Upozoruję to przypadkowemi pańskimi odwiedzinami. Zejdziemy na dolną salę.

— Panie Walter — zwrócił się zarządca do majstra. — Wstąpił do nas przypadkiem pan Mańczak... Poprosiłem go, aby przypatrzył się nasze biedzie z temi „grzybami“...

Walter spojrzał z pod oka na Mańczaka i, nie wyjmując fajki z pomiędzy zębów, podał mu rękę w milczeniu.

— Biedzimy się tu kilka dni nad temi wichrowatemi kliszami — ciągnął zarządca, — ale nijak nie możemy dać sobie z niemi rady... Koślawe, bestje, aż pfe!... Może pan nam coś doradzi?... Wy tam, w Centrali, macie pewnie częściej takie kawały... Nabraliście już, panowie, praktyki w tym kierunku.

Mańczak, obejrzawszy ze znajomością rzeczy dokonane narządzenie, odezwał się pojednawczo i dyplomatycznie:

— Dobrze jest! Zupełnie prawidłowo narządzone... Tylko należy zdjąć papier z bębna i trochę inaczej wycinanki podlepić...

Porajski zrozumiał dyplomatyczne bagatelizowanie przez Mańczakā zepsutej roboty i pozostawił majstrów samych sobie, aby im nie przeszkadzać.

Zaczęto narządzenie i „rychtowanie“ na nowo, prościej a dokładniej, niż to robił majster Walter.

Po kilku godzinach, już późnym wieczorem, około 10-ej, do gabinetu zarządcy przyniósł majster próbny arkusz, wykonany bez zarzutu.

— Józek jest dobry chłopak, ale nic nowego nie pokazał — usprawiedliwiał się Walter w nieobecności skromnego Mańczaka, który nie przyszedł z chwalbą do zarządcy. — Ale właśnie tak samo i ja narządzałem, tylko ten Turkowski psuł mi robotę.

— Ja nie wątpiłem w pana zdolności — zapewnił Porajski. — Dobrze jednak się stało, że Mańczak do nas wstąpił... Jutro pojedziemy więc z konturem na całęgo? A jak z giloszyną będzie?...

— Eee, giloszyna — to głupstwo: w jeden dzień się narządzi!

Zadowolony zarządca zaprosił obu majstrów na

wieczerzę do knajpy i dziękował im za uratowanie honoru filii.

Nie długo jednak trwało to zadowolenie Porajskiego.

Klisze z giloszyną, to jest drobnym prążkowanym rysunkiem tła banknotów, nie chciały się także narządzić...

Biedził się majster Walter, kłął wszystko i wszystkich i wreszcie po paru dniach prób nieudolnych, stoczył całą awanturę z zarządcą:

— Może pan znów Mańczaka sprowadzi?—zapytał Porajskiego z przekąsem, gdy ten przynaglał go do pośpiechu. — Nogę draniarzowi przetrączę, jak się tu zjawi na mojem podwórku! — krzyczał, podniecony swoją nieudolnością.

— Panie Walter, proszę się uspokoić — reflektował go Porajski. — To „podwórko“ nie jest wyłącznie pańskie...

— Ja potrafię sam wykonać robotę i cudzych bogów nie potrzebuję...

— Jeszcze nikogo nie sprowadzam — odezwał się Porajski. — Lecz, jeśli mnie zarząd będzie piłował, muszę ratować znowu sytuację, inaczej będę miał wielką nieprzyjemność...

— Ja odpowiadam za robotę, bo ja jestem od tego tu majstrem! — krzyczał Walter w podnieceniu.

Zarządca rzekł twardo:

— Panie majstrze, przywołuję pana do porządku! Pan odpowiada za robotę, a ja i za robotę, i za pana i za całą filję... Przedewszystkiem mnie, jako zarządcę, spotka monit i to — zasłużony, nie umiem bowiem w porę zaradzić złemu, które szkodę wyrządza Skarbowi...

Majster Walter nieżycieliwie spojrział na zarządcę i zaczął łajać maszynistę, który mu pomagał w zarządzaniu giloszyny.

Nazajutrz z rana telefonował do Porajskiego dyrektor Żbikowski, ekscytując go w sprawie jak najprędszego wykonania pierwszej serji pięciotysiączek.

— Co? Jeszcze próbny arkusz giloszyny nie zarządzony?!... Co, u diabła, robi tam Walter?

— Stara się, jak może, lecz mu się nie udaje — usiłował tłumaczyć zarządca swego podwładnego.

— Panie Porajski, naraża się pan na grubą nieprzyjemność... Dlaczego pan nie spławi Waltera do nas na rekolekcje?... Mówiono mi, że on po całych dniach chodzi z fajką w gębie i nic nie robi, a o robotach banknotowych pojęcia niema żadnego...

— Czyż to co dziwnego? — zauważył Porajski. — Cichocki zabrał go z rezerwy, gdzie siedząc beczynnienie, nie mógł przecież wykwalifikować się w tej robocie... Zreszta przywykł do beczynności...

Dlaczego wcześniej nie zwrócił mi pan na to uwagi?... Zabardzo pan jest względny dla swoich podwładnych!

— Nie ja go tu sprowadzałem... Nie chciałem być posądzony o jakąś niechęć subiektywną...

— No, to a uwolnię pana od Waltera — rzekł Żbikowski. — Postawię go tu na maszynie, niech się uczy... A kogo panu przysłać na jego miejsce? Niech pan wybiera...

— Jeżeli pan pozwoli, to zatelefonuję do pana po południu — odparł Porajski. — Muszę się rozpatrzeć kogoby wybrać.

Janusz porozumiał się w tej kwestji z kierownikiem artystycznym Fiszerem, który radził przyjacielowi sprowadzić Józefa Dąbkowskiego. Fiszer był zdania, że maszynista Dąbkowski, na różnych robotach wykwalifikowany, będąc awansowanym na majstra, zapewne nie zaniedba dołożyć starań i pracy, aby stanąć na wysokości zadania.

Porajski usłuchał rady Fiszera i zażądał delegowania tytułem próby Dąbkowskiego, w którym sympatyzował, jako w pracowniku dzielnym, chętnym zawsze, wesołym i uprzejmym.

Tego samego dnia wieczorem, już przy wyjściu Waltera, żegnającego się z zarządcą, zatrzymał Porajski oznajmiając majstrowi urzędowo:

— Stosownie do telefonicznego rozporządzenia dyrektora Żbikowskiego, żechce pan jutro stawić się na godziną 8-mą do dyrekcji!

— A poco? — zapytał Walter, zbity z tropu.

— Zostaje pan przeniesiony do jednego z pawilónów Centrali.

— Ani myślę tam przechodzić, do tego bałaganu! Pójdę, ale podziękować — rzekł majster na pożegnanie.

Nazajutrz z rana stawił się na nową służbę Dąbkowski. Radość wielka i pewna duma biła z jego oblicza, gdy witał nowego swego zarządcę.

Porajski miał z nim dłuższą konferencję poufną, po której Dąbkowski serdecznie uścisnął rękę zarządcy i, oprowadzony przez niego po salach i maszynach, objął zaraz obowiązki majstra, zapewniając Porajskiego, że robota pójdzie „jak po maśle“, a jakiegokolwiek zatar-

gi filji z zarządem z jego, jako majstra, winy — będą wyłączone.

I rzeczywiście: Dąbkowski słowa dotrzymał. Pracował sam na wszystkich maszynach od rana do późnej nocy, chętnie instruując maszynistów i wtajemniczając ich w arkana swej praktyki, — dbał o doskonałość wykończenia druków walorowych i wydajność roboty, a jednocześnie żył z towarzyszami pracy w przyjaznych stosunkach koleżeńskich. Odpowiadał ze wszelkich miar pokładanym w nim nadziejom.

To też w następstwie Porajski niejednokrotnie dziękował Fiszerowi za polecenie mu tak dzielnego i życzliwego pracownika, któremu zarządca odplacał się uznaniem i częstem podnoszeniem stawki jego płacy, na co Dąbkowski w zupełności zasługiwał.

Tymczasem rozegrał się pierwszy epilog przysługi, wyświadczonej przed dwoma tygodniami przez zarządcę filji gospodarzowi domu.

Pewnego wieczoru wpadł niespodzianie dyrektor Żbikowski i, oprowadzony przez Porajskiego, obszedł wszystkie maszyny, oglądając wykonywaną na nich robotę i rozpytując się o pracę nowego majstra, Dąbkowskiego.

Po dokonanej inspekcji Żbikowski odprowadził zarządcę na ubocze i, pokazując mu makulaturę odbitki owej nieszczęsnej akcji, wręcz zapytał:

— Panie Porajski, dla kogo pan te akcje drukował? Na czyje zamówienie?...

Zastępca oniemiał ze zdziwienia skąd do rąk dyrektora dostała się ta makulatura.

— Nie drukowałem akcji, a tylko odbitkę zrobiłem z gotowej formy, uwzględniając prośbę gospodarza domu.

I, dotknięty posądzeniem o złą wolę, lub — co gorzej — o wyprodukowanie zapasu akcji na zamówienie prywatne za prywatną zapłatą, Porajski opowiedział szczegóły, towarzyszące zrobieniu jednej odbitki na kredowym papierze, co — zresztą wykonał w wolnej chwili były majster, Walter, bez najmniejszej szkody dla Skarbu państwa.

Żbikowski wnet się uspokoił i jakby usiłował zatrzeć wrażenie, wywołane na Porajskim przez posądzenie go o chęć nieprawego zysku.

— Bo to, uważa pan, aż do ministerjum ta makulatura się dostała i stamtąd zarząd Mennicy otrzymał ją z rozkazem przeprowadzenia najsurowszego śledztwa...

— ?

— Toż przecież skandal — ciągnął Żbikowski, — aby takie nadużycia miały się dziać w naszej Mennicy?... Ministerjum poleciło zarządowi niezwłocznie zwolnić winnego wykonania tej prywatnej roboty...

Zarządca, dotknięty do żywego, wybuchnął:

— Jeżeli to się ma zwać „nadużyciem“, to ja sam składam niezwłocznie raport o dymisję!...

— Paaanie Januszu, pan by nas opuścił?!... Pan Porajski, ten najpoważniejszy i najdzielniejszy z naszych zarządców, miałby serce nas porzucić?...

— Skoro obiecywaliście mi, panowie, samodzielność w zarządzie filją, a odmawiacie prawa wyświadczenia takiej drobnej przysługi gospodarzowi domu i to w dodatku wzamian za zwolnienie Mennicy z opłacenia rachunku. — to, przyzna pan, że śmieszna wydaje się taka „samodzielność“...

— Trudno, panie Januszu, musimy stosować się

do woli ministerjum, które coraz bardziej ogranicza i krępuje samodzielność zarządu Mennicy.

— Niech mi pan jednak powie, jak ta makulatura dostała się do ministerjum? Ktoby z pracowników moich mógł mnie w tak haniebny sposób zdradzić?

— Nie wiem, panie, — rzekł wymijająco dyrektor. — Każdy z nas ma wrogów i każdy z nas może mieć niejednego „anioła stróża“, którzy za nami śledzą...

— Czyżby kontrolą to zrobiła?

— Nie wiem. Nic nie mogę panu powiedzieć — rzekł dyrektor. — Ale niech pan plunie na tę głupią sprawę, a ja odpowiednie, gdzie należy, złożę wyjaśnienie...

— Wielką przykrość ten ktoś mi wyrządził — uskarżał się z żalem Porajski. — Nie wiem ktoby mógł tak strasznie mnie oczernić... Przecież wszyscy wiedzieli, że tu o odbitkę, tylko o odbitkę na kredzie chodziło, a nie o wydrukowanie większej ilości akcji?...

— Głupstwo, panie Januszu, niech pan się nie przejmuje... Sprawa wyjaśniona, stawiamy na niej krzyżyk i — finita la comedia!...

Porajski długo nie mógł się uspokoić.

Indagując w tej materji starszego kontrolera, Janusz przyszedł do przekonania, że nikt z członków kontroli tej przykrości mu nie wyrządził. Jodłowski nie wiedział ktoby mógł zdobyć się na taką podłość. Żaden z pracowników filji tego uczynić nie mógł... Nikt przecież nie żywi jakiejś animozji osobistej do zarządcy, który na ogół cieszy się dużą sympatją zarówno swoich podwładnych, jak i kontroli...

— Wie pan kto to mógł zrobić? — wkońcu wpadł na myśl Jodłowski. — Nikt inny, tylko majster Wal-

ter... Przez złość do pana za zdyskwalifikowanie jego majstrowskich umiejętności.

— Czyżby? — wyraził Porajski wątpliwość. — On sam przecież robił tę odbitkę na pedale, a więc dobrze wiedział, że nie akcje były drukowane, a pojedyncza odbitka na kredzie, do celów fotochemicznych...

— Panie drogi, chęć zemsty w środkach nie przebiera.

Nazajutrz Porajski chodził po zakładzie, jak struty. Nie mogąc pogodzić się z myślą, aby taki poważny wiekiem człowiek, jak Walter, mógł się zdobyć na takie łajdactwo, opowiedział o całym zajściu składaczom, zadając im pytanie, ktoby mógł z tą fałszywą denuncjacją wystąpić.

Zecerzy zgodzili się na jedno:

— Tylko Walter, nikt inny...

Również maszyniści, indagowani pojedynczo, oświadczyli z całą pewnością:

— Nikt inny, tylko — Walter...

— *Vox populi, vox Dei!* — pomyślał zarządca. — Skoro wszyscy pracownicy zgodnie wskazują winowajcę, a nikt najsłabszego podejrzenia nie ma na kogo innego, — rzecz pewna, że tylko on, Walter, mógł to uczynić, mszcząc się za urojoną krzywdę.

— Jeśli pan pozwoli, pojedę do Centrali dzisiaj z próbnym arkuszem i rzecz wyświetlę — zaofiarował się Dąbkowski. — A jeśli się okaże, że to Waler naszczekał, to już ja tego łamistrejka trochę pomacam...

— Daj mu pan spokój, panie Józefie... Powtarzamy przecież w modlitwie codziennie: „I odpuść nam nasze winy“... Chciałbym jednak mieć pewność, że tego nikt z mego obecnego otoczenia nie uczynił.

— Proszę pana na tę pewnośc, to ja szyję swoją daję! — rzekł z zapaelem Dąbkowski. — Za bardzo pana wszyscy szanujemy i kochamy, aby ktokolwiek mógł zdobyć się na takie łajdactwo! Takiego szpicla między nami niema i nie będzie! Za to ręczę!...

Porajski się uspokoił i prawdy nie docierał.

Oliwa jednak sama wypłynęła na wierzch gdy Janusz spotkał się na terenie Mennicy z Walterem. Zdegradowany na maszynistę były kilkotygodniowy majster filji, spostrzegłszy byłego swego zarządcę, spuścił wzrok ku ziemi i czempredzej zawrócił w inną stronę, unikając spotkania się z Porajskim. Wiedział bowiem od Mańczaka, że pracownicy filji domyślili się sprawy denuncjacji.

Przykrośc osobistą puścił Porajski w niepamięć, bo służbowe kłopoty mnożyły się na filji jak grzyby po deszczu.

Pewnego dnia aż trzy razy posyłał zarządcę z próbnym arkuszem banderoli tytoniowych do akceptacji i za każdym razem „mistrz“ Drewnowski miał coś do zgania. A to — za ciemny był ton farby, a to — zbyt jasny... Za trzecim razem Porajski aż trzy arkusze posłał jednocześnie w nadziei, że wreszcie zadowoli subtelnego znawcę odcieni i jeden z tych arkuszy zyska aprobatę Drewnowskiego.

Jednakże „mistrz“ był nieubłagany w swoich poglądach i po raz trzeci nie zaakceptował ani jednego z trzech przysłanych jednocześnie arkuszy.

Wówczas Porajski zainteresował go telefonem:

— Panie Drewnowski, co pan robi najlepszego?... Maszyna cały dzień czeka beczynnie. Czego pan akceptację wstrzymuje?

— Cóż ja poradzę — tłumaczył się wielki mistrz laurkowy — Ja i panu prezesowi pokazywałem... Pan prezes tyś się nie zgadza na te kolory...

— Umyślnie aż trzy odcienie panu posłałem. Czyż ani jeden nie został zakwalifikowany?

— Nie można, proszę pana z a k w a l i f y k o w a c z ani jednego... Niech pan każe zrobić trochę czemniejszy od tego jasniejszego Nr. 1, a trochę jasniejszy od tego czemniejszego Nr. 2, a będzie dobrze...

— Panie, toć przecież taka niewielka różnica, że jeśli banderola godzinę poleży na słońcu, to napewno znacznie więcej straci w tonie swej barwy, niż pan dopatruje się w obecnej różnicy tonów...

— Ja pana bardzo przepraszam, ale cóż ja mogę z r o b i c z?... Pan prezes sam z w r ó c z y ł uwagę.

Nazajutrz z rana Porajski, wezwawszy na świadków: starszego kontrolera Jodłowskiego, majstra Dąbkowskiego i dwóch swoich pracowników biurowych, wybrał z odrzuconych poprzedniego dnia trzech arkuszy jeden środkowy, wytarł zeń oznaczony ołówkiem „Nr. 2“ i powtórnie posłał do akceptacji.

W godzinę potem telefonuje na filę Drewnowski:

— O, ten b u ł dobry! To akurat ton w sam raz... Bardzo sz l i c z n i e wyszedł... Niech pan tak j e d z e, panie Porajski...

— Dziękuję panu za pozwolenie, panie mistrzu nad mistrze! — odparł rozbawiony zarządca. — Maszynę puściłem od rana, z góry wiedząc, że dzisiejszy arkusz będzie dobry... To mi się udało!...

— A tak, tak! Udało s z e...

— Ale pan nie wie co mi się udało...

Wziąłem pana na kawał i posłałem panu jeden z odrzuconych wczoraj arkuszy, co mogą stwierdzić świadkowie... No i dzisiaj go pan zaakceptował...

„Mistrz“ widocznie nie mógł się narazie połapać o czym mówił Porajski. Po chwili jednak zauważył z wymówką:

— Na co pan robi takie kawały?

— To pan właściwie robisz kawały, panie „mistrzu“ — odparł zarządca tonem karcącym, akcentując wyraz mistrzu. — I zapowiadam panu, że jeśli powtórnie cały dzień przetrzyma mi pan maszynę dla dogodzenia swojej wybujałej fantazji „artystycznej“, to ja panu tak piękne podziękowanie w drodze urzędowej wystosuję, że drugi raz odechce się panu grać ze mną w ciuciu-babkę...

Obrażony „mistrz“ zaczął gorliwiej szyć Porajskiemu buty u prezesa Mennicy...

XVI.

Minęło kilka tygodni.

W Mennicy dużo zmian zaszło. Otworzono dwa nowe działy w dyrekcji handlowej: t. zw. „kartotekę“, oraz intendenturę. Na czele pierwszej postawiono Longina Badylewicza, intendentem został Cezary Lotnicki.

Obaj byli ex oficerami, służbistami i rygorzystami.

Obaj od niedawna służyli w Mennicy: Badylewicz „praktykował“ w wartowni, Lotnicki w biurze dyrekcji handlowej.

Badylewicz zorganizował kontrolę buchalteryjną wszystkich rachunków, opłaconych za dostarczony do Mennicy inwentarz, różne artykuły i materiały. Nie mogąc wyjść z chaosu nagromadzonych dowodów pieniężnych, które należało jak najrychlej uporządkować celem przygotowania dla ministerjum obrachunku za rok ubiegły, — Badylewicz pracował po nocach, zbierając i segregując te dowody. A, że, jak się w następstwie okazało, był zamiłowanym szperaczem archiwalnym powyrzebywał takie rzeczy ciekawe, że aż zniewolono go do przerwania swej pracy, o czem niebawem się dowiemy.

Lotnicki zaś był uosobieniem cnót intendenckich, posiadanych kiedykolwiek przez wszystkich razem wziętych intendentów cudeńskich. Boć przecież i poszczególnej intencji, choćby nawet cudeńscy, prócz wad zawodowych, często surowo karanych, mieli jednak i zalety i cnoty... Aczkolwiek głęboko, na dnie duszy intendenckiej w letargu one leżały, ale przecież — żyły.

Intendent Mennicy państwowej aż się zżymał na zdyskredytowane brzmienie swego tytułu służbowego, który nosić musiał. Postanowił więc wszelkimi siłami starać się zrehabilitować ten przeklęty tytuł w opinii, jeśli już nie całego ogółu cudeńskiego, to — choć na terenie Mennicy państwowej.

Jakoż wkrótce nadarzyła się ku temu sposobność.

Lotnicki delegowany został wraz z szoferem za granicę celem oficjalnego przyjęcia zakupionych tam przez nadradcę Słodkiewicza dwóch samochodów ciężarowych.

Maszyny, aczkolwiek kupione, jako używane, lecz w dobrym stanie będące, powierzchownie tylko były odnowione i przy pierwszych próbach uległy zepsuciu. Lotnicki odmówił przyjęcia tych samochodów i zarządał gruntownej ich reparacji. Słodkiewicz jednak bagatelizował ujawnione w starych maszynach braki, firma zaś sprzedająca usiłowała wszelkimi sposobami przekonać gorliwego intendenta do przyjęcia potłuczonych samochodów, lecz — napróżno.

Nadradca Słodkiewicz wściekał się poprostu na Lotnickiego i, zarządziwszy utrzymanie intendenta i szofera na koszt firmy, od której kupił był samochody, — postawił delegatów Mennicy w całkowitej zależności od osób, które usiłowały Skarb państwa narazić na wielkie straty.

Pomimo, że Lotnickiemu i szoferowi wyczerpały się zapasy gotowizny, wyasygnowanej im przez zarząd Mennicy, pomimo, że intendenta poddano próbie głodówki i pokus łakomych, — Lotnicki jednak nie uległ i w końcu wyszedł zwycięsko z powierzonego mu mandatu.

Powróciwszy do Cudna, intendent złożył o wszystkim wyczerpujący raport zarządowi Mennicy pod adresem ministerjum.

Raport ów ugrzązł w biurku pana prezesa Podborskiego i do celu przeznaczenia nie doszedł.

Natomiast chciano skorzystać z lada okazji i usunąć zbyt gorliwego intendenta, który dowiódł w swoim raporcie jasno, jak na dłoni, że nadradca Słodkiewicz, nie dość, że dużą sumą, przeznaczoną na kupno samochodów, operował w ciągu miesiąca na giełdzie zagranicznej, lecz w dodatku — przepłaciła za kupione samo-

chody trzykrotnie ponad ich wartość rzeczywistą, a więc Skarb państwa marzył na straty niepowetowanej.

Pewnego dnia intendent Lotnicki złożył zarządowi Mennicy raport, w którym donosił, że samochód osobowy, jak i pozostawał pod jego nadzorem, zbyt często używany jest na prywatne potrzeby nadradcy Słodkiewicza, który potrafił całe wieczory jeździć nim po mieście i poza miasto, bynajmniej nie w interesach służbowych, a — z damami. Na dowód tego przytoczył fakt, jaki miał miejsce dnia poprzedniego, w którym Słodkiewicz trzymał samochód do późnej nocy, zużywając dużo kosztownej benzyny.

W zarządzie się zakotłowało:

— Jakto?! Intendent ośmiela się zwracać nam uwagę i nazywać przejażdżkę nadużyciem! — irytował się nadradca.

— Tego u mnie jeszcze nie bywało! — oburzył się prezes Podborski. — Zawołać mi tu intendenta!

Lotnickiego wezwano do gabinetu prezesa, gdzie wraz z Podborskim czekał na rozprawę z niesfornym urzędnikiem nadradca Słodkiewicz.

Obaj, pamiętając o raporcie intendenta, skrzętnie ukrytym w biurku przed oczami osób niepowołanych, — nasiedli na Lotnickiego za brak taktu i poszanowania dla hierarchji służbowej, przyczem nadradca wyraził gotowość wpłacenia należności za zużytą benzynę, a w końcu prezes Podborski oznajmił intendentowi, że zostaje zwolniony ze służby urzędnika, której pełnić nie umie.

Lotnickiego — jakby warem oblano.

— Panie prezesie! — wypalił. — Pełnię służbę tak.

jak mi sumienie uczciwe nakazuje... Zanim wstąpiłem do Mennicy państwowej, przelewałem krew na froncie w obronie przed zewnętrznymi wrogami ojczyzny. Obecnie podjąłem się obowiązku bronięcia skarbu tej ojczyzny przed jej wrogami wewnętrznymi i z tego postępowania nawet siłą usunąć się nie dam!

To rzekłszy, intendent się skłonił obu wyższym dygnitarzom w hierarchji urzędniczej i wyszedł z podniesioną głową.

Nadradca Słodkiewicz opadł na fotel bezradny.

Prezes bił pięścią w biurko i w pasji zawołał:

— Za bramę go wyrzucę!... Dziś, zaraz, warcie zapowiem aby go więcej nie wpuszczono na terytorjum Mennicy!

Na to weszła pani Podborska, która w krytycznych momentach umiała groźne sytuacje zażegnać.

Dowiedziawszy się o co chodzi, pani Eufemja chłodno zaopiniowała:

— Nic mu, Kolombo, nie zrobisz... Wydalić go nie możesz, bo to mogłoby się stać... początkiem naszego końca — dodała ciszej...

Nadradca Słodkiewicz, milcząc, potakiwał głową.

— Bo to jest człowiek niebezpieczny! — zapewniała pani prezesowa.

— Tss, pierwszy raz słyszę, — uśmiechnął się kwaśno nadradca, — aby in-ten-dent egzaltował się w przesubtelnionej uczciwości...

Tymczasem Badylewicz, szperając w dowodach pieniężnych i segregując je, zauważył, że Mennica opłacała szeregi rachunków za dostawy danych przedmiotów, wnoszące wprawdzie sumy dozwolonej wysokoś-

ci, bo po 100.000 bonów, lecz dzień po dniu na te same objekty były wystawione.

Badylewicz podzielił się swemi spostrzeżeniami z intendentem Lotnickim:

— Pięć takich rachunków znalazłem... A wszystkie opłacone były w jednym tygodniu przez zarząd Mennicy za papier Nr. 58 Medaljonowi... Dziesięć podobnych rachunków Cwybeldufta mam w kartotece, a każdy po 90 do 100 tu tysięcy bonów, wypłaconych w ciągu 2-ch tygodni za farby i to jednego gatunku.

— Horrendum — zauważył Lotnicki. — Oliwa na wierzch wypływa...

— A przecież najwyraźniej słyszałem, gdy nadradca Słodkiewicz uprzedzał Chwytowskiego, że to jest niedopuszczalne, że o zamówieniach na sumy, wyższe ponad sto tysięcy, decydować ma ministerjum...

— Ba, Słodkiewicz! Toć on pierwszej klasy złodziej i w dodatku już nie raz bity!... On sam takie rozporządzenie wywołał w ministerjum, aby mógł w każdym większym zamówieniu umaczać ręce, bez udziału innych rąk, tutejszych...

— Jednakże zarząd Mennicy takim obchodzeniem rozporządzeń ministerjalnych grubo się naraża... Moim obowiązkiem jest zwrócić uwagę pana prezesa na tę anomalję...

— Panie kochany! Kruk krukowi oka nie wykole! — zapewnił intendent Badylewicza, który nic nie wiedział o starciu Lotnickiego z prezesem i nadradcą.

Wkrótce jednak Badylewicz natknął się na dowody, z których wywnioskował, że inny papier, oznaczony Nr. 370, za który wypłacił bank państwa miljonową su-

mę w walucie niemieckiej, pochodził z krajowej papierni...

Zwierzył się przeto poufnie z tem spostrzeżeniem wartownikowi Kijewskiemu, inteligentnemu wywiadowcy śledczemu, który w porozumieniu z Badylewiczem wnet rozpoczął dyskretne dochodzenie.

Sprawa była zagmatwana. Lecz po paru dniach udało się sprytnemu wywiadowcy ustalić ciekawe machinacje, a mianowicie, że taka, a taka ilość bel papieru Nr. 370, takiej a takiej wagi, została przez dostawcę Medaljona wywieziona z cudeńskiej papierni zagranicę, skąd niebawem powróciła z niedokładnie zatartemi na „deklach“ znakami krajowej fabryki papieru. Cała ta partja papieru została zwieziona do magazynów Mennicy pod nazwą „zagranicznego“, a jako za taki wypłacono pomysłowemu dostawcy Medaljonowi olbrzymią sumę w drogiej wówczas walucie zagranicznej.

Badylewicz był pewien, że conajmniej Amerykę odkrył. Dumny był z siebie i zadowolony. A, spełniając obowiązek nie tylko służbowy, lecz i obywatelski, wystosował wyczerpujący raport w sprawie skonstatowanego wspólnie z Kijewskim nadużycia i udał się z całym referatem, popartym dokumentami, do prezesa.

Najwyższy szef Mennicy, wysłuchawszy relacji swego urzędnika, wpadł jakby w gniew okrutny. Czerwoną łuną oblała się dostojna twarz pana na Podborach, lecz opuszczone na oczy powieki nie dozwalały widzieć błyskawic oburzenia, jakiego po tym rumieńcu należało oczekiwać.

Ochłonawszy nieco z wrażenia, rzekł prezes Podborski głosem zdławionym i niepewnym:

— Dziękuję panu, panie Badylewicz, za gorliwość służbową... Proszę pozostawić mi te dowody, a ja zażądam wyjaśnienia od dyrektora Żbikowskiego.

— Takie rzeczy w Mennicy naszej powtarzać się nie mogą! — dodał prezes na zakończenie audjencji i pożegnał zarządcę kartoteki.

Badylewicz niezwłocznie podzielił się z Kijewskim wrażeniem, jakie na prezesie zrobiło wykrycie nadużycia.

— Czy tylko wykrycie nadużycia, czy też samo nadużycie było niespodzianką dla pana prezesa? — zapytał niedoszły Sherlock Holmes, dając tem wiele do myślenia.

Badylewicz, niezwykle podniecony wykryciem nadużycia, w którym, jak mu się zdawało, tylko dostawca Medaljon zawinił, nie zwrócił uwagi na formę zapytania i odparł z zadowoleniem:

— Całą tą aferą prezes był niezwykle poruszony... Dziękował mi za ujawnienie tego oszustwa... Mam nadzieję, że nas obu zasłużona nagroda nie minie...

— Jabyłm poprzestał na moralnem zadowoleniu — zauważył Kijewski, — gdybyłm miał pewność, że Medaljon dostanie się do kryminalu...

— No, chyba dochodzenie w tej sprawie przeprowadziliśmy ekspedite?! Jeśli podobne oszustwo, na którym Skarb państwa ponosi wielomiljonowe straty, miałoby być tolerowane, — no, to niema sprawiedliwości w naszej Rzeczypospolitej Cudeńskiej!

Kijewski sceptycznie się uśmiechnął.

— Sprawiedliwość jest, tylko, że u nas różne cuda się dzieją... Dlaczegożby i to oszustwo, stosunkowo

blahe wobec tylu innych afer i szantażów, nie miało być zatuszowane?

— Zatuszowane?! — oburzył się Badylewicz. — Oho! Jabym na to nigdy nie pozwolił...

— Głową muru nie przebije! — rzucił dwuznacznie wartownik i wyszedł.

Gdy zarządca kartoteki rozkoszował się dokonaniem odkryciem, a wraz ze swymi pracownikami komentował jego następstwa i stawiał nader przykre horoskopy uprzywilejowanemu dostawcy Mennicy, panu Ignacemu vel Ickowi Medaljonowi, — w tym samym czasie prezes Podborski zavezwał do siebie dyrektora Chwytowskiego odbył z nim krótką i cichą konferencję.

Po wyjściu z gabinetu prezesa, Chwytowski wpadł jak bomba do pawilonu dyrekcji technicznej, pytając o Żbikowskiego.

— Pana dyrektora wezwała do siebie w pilnej sprawie pani prezesowa — odparł jeden z urzędników.

— W pilnej sprawie? — powtórzył w myśli Chwytowski. — to i ona musiała się już dowiedzieć...

Powrócił więc do siebie, zamknął się w gabinecie i niezwłocznie zatelefonował do Medaljona:

— Panie Ignacy, jest źle!... Trzeba natychmiast zatrzeć ślady marszruty papieru banderolowego, tego „zagranicznego“... Pan mnie rozumie?

— ?

— Nie mam czasu teraz na szczegóły... Spotkamy się wieczorem tam, gdzie zwykle... A tymczasem niech pan ślady zaciera... Tylko już!

Po kilku minutach do pokoju Chwytowskiego wszedł Żbikowski i, zamknawszy drzwi za sobą, zaczął

gorączkowo szeptać z przyjacielem, a nikt z urzędników nie śmiał przeszkodzić tej poufnej konferencji panów dyrektorów.

Minęła dłuższa chwila i wreszcie obaj przyjaciele wyszli z gabinetu, napozór swobodnie rozmawiając o — najnowszej operetce, której premjera odbyła się dnia poprzedniego.

W godzinę później dyrektor Chwyrowski wezwał do siebie woźnego z wartowni, którego nazywano „Głupim Wojtkiem“.

Wojciech Kozica bynajmniej głupim, w całym tego słowa znaczeniu, nie był, — bo naprz. lubił się tytułować panem Kozickim, ze szlachecka, — jeno twarz miał bardzo pocieszna i okropnie głupiemu hołdował zwyczajowi wygadywania przed panem „derektozem“ tego wszystkiego, co panowie wartownicy chcieliby skryć przed swoim szefem. O tę jednak właściwość rozumu „Głupiego Wojtka“ wartownicy go nie podejrzewali, a przystosowany do jego wyrazu twarzy epitet „głupiego“ powtarzali za dyrektorem Chwyrowskim, który inaczej woźnego Kozicy nie nazywał.

Wojciech z całą dokładnością i punktualnością spełniał najdyskretniejsze zlecenia swego pana „derekтора“, patrzył w niego, jak w obraz, i przestępując z nogi na nogę, gotów był na jedno skinienie Chwyrowskiego bodaj w ogień skoczyć. Natomiast, kręcąc się po wartowni, woźny Kozica umiał tylko spełniać posługi gospodarskie, nie wtrącając się nigdy do spraw, które do niego nie należały. Uważany powszechnie za głupiego. Wojtek znosił nieraz połajanki panów wartowników i żarciki samego pana komendanta. To też nigdy nie

zważano, nawet w dyskretnych rozmowach, na jego obecność. „Głupi Wojtek“, niesłuchając, słuchał i skrzętnie notował sobie w mózgownicy niejedno, co następnie przydawało się do wiadomości dyrektora.

— Wojtuś, słuchaj no! — odezwał się Chwyrowski do woźnego, skoro ten zjawił się w gabinecie. — Czy tam nie opowiadał czego w wartowni Kijewski?

— Co nie miał opowiadać, proszę pana dyrektora? — odparł Wojciech. — I teraz jeszcze gada, że to niby pan Mendaljon zrobił siacherkę z papierem, co to go kupił na rynku, wywiózł do Mimców i zara go stamtąd przywiózł napowrót z plombami i kazał sobie zapłacić za tę sztukę markami niemieckimi, ale zato niby Skarb państwa grubą poniósł stratę...

— No, i? — dopytywał zachęcająco Chwyrowski.

— No, i powie, że Mendaljon późnie za tę siacherkę ciupasem do kreminalu, o ile tu nikt nie będzie miał w tem jenteresu, żeby sprawę zasmarować...

— Dobrze! Powiedz mi, Wojtuś, czy Kijewski żyje z Badylewiczem w bliższych stosunkach poza służbą.

— Dobrze! Powiedz mi, Wojtuś, czy Kijewski żyje z Badylewiczem w bliższych stosunkach poza służbą.

— Pewnikiem, bo często razem na śnapsa chodzili jak pan Badylewicz służył w wartowni.

— A teraz nie chodzą?

— Teraz, to dokumentnie nie wiem... Ale dlaczego nie mieliby chodzić i teraz? Cięgiem się schodzą ze sobą: albo ten u tego, albo ten u tego... Niby jak są na służbie...

Chwytowycki, bębniąc palcami po biurku, odprawił skinieniem głowy „Głupiego Wojtkę“, a po chwili zatelefonował do wartowni, wzywając do siebie wartownika Szczujskiego.

— Czy pan ma dzisiaj nocny dyżur?

— Nie, panie dyrektorze, o godzinie 10-ej schodzę z posterunku.

— A Kijewski?

— Także o 10-ej kończy służbę.

— Doskonale! — zauważył Chwytowycki. — Za prosi pan dzisiaj na kolację Kijewskiego, a ten pociągnąć ma koniecznie ze sobą Badylewicza. Pan mnie rozumie? To są dwaj bracia sjamscy: jeden bez drugiego nie knajpuje... Po zamknięciu zaś restauracji, gdy już będą w łan i dostatecznie, wywiezie ich pan do knajpy na Pohulance; tam będzie ich pan poił do rana...

— Według rozkazu! — odparł wartownik z zadowoleniem.

— Na koszta tej eskapady łożę awansem — rzekł Chwytowycki, wręczając Szczujskiemu kilka banknotów. — Ale z rana około godz. 10-ej, nie wcześniej — pan mnie rozumie? — przywiezie ich pan, spitych jak Beł, wprost na służbę do Memnicy...

— Według rozkazu, panie dyrektorze!

— Zrozumiano dokładnie? — zapytał Chwytowycki.

— Tak jest, panie dyrektorze. Rozkaz wypełnię co do joty!

Wartownik wyszedł.

Tymczasem w gabinecie Żbikowskiego nowa toczyła się konferencja. Tym razem chodziło o załatwienie konfliktu z pawilonem litograficznym.

Zarząd Meimicy wydał był polecenie zarządcy litografją, Wieloczyńskiemu, aby — celem pośpieszenia z tłoczeniem znaczków stemplowych, na które ministerjum wielkie zamówienie nadesłało, — zorganizować drugą zmianę i puścić maszyny bez przerwy po 24 godziny na dobę.

Maszyniści litograficzni uważali, że — idąc za przykładem maszynistów drukarskich, — mają prawo i oni osiągnąć przy tej okazji zwiększone zarobki. Uchwalili przeto, żeby zaproponować zarządcy Wieloczyńskiemu, aby wyrobił w dyrekcji technicznej zezwolenie na pracę bez przerwy przy tym samym niezwiększonym personelu. Maszyniści mieli zamiar obsługiwać jednocześnie po dwie i trzy maszyny na zmianę tych kolegów, którzy będą w danym momencie odpoczywali. Zmieniając się dobrowolnie, wszyscy maszyniści litograficzni będą, jakoby, stale na służbie, no i wszyscy będą pobierali taką samą nadnormową zapłatę, która tak dobrze zrobiła drukarzom przed kilku miesiącami.

Wieloczyński, stosownie do otrzymanej dyrektywy, nie mógł zgodzić się na tę propozycję, a majster litograficzny, Bułka, uparł się, aby nowych pracowników na drugą zmianę nie przyjmować. Sprawa oparła się o dyrektora Żbikowskiego.

— Dlaczego pan nie chce, panie Bułka, aby drugą zmianę przyjąć? — pertraktował dyrektor z pewnym siebie majstrem. — Tylu ludzi chodzi bez zajęcia...

— Ja stanowczo dopuścić nie mogę nowych ludzi do maszyn! Słyszane to rzeczy, aby jeden maszynista po drugim wchodził na maszynę?

— A słyszane to rzeczy — przerwał dyrektor. —

aby jeden maszynista obsługiwał w dzisiejszych czasach bezrobotnych dwie lub trzy maszyny jednocześnie? Coby Związek na to powiedział?!

— Kicham na Związek!... Co nam daje ten Związek? Jeden maszynista na swojej zmianie coś sknoci i zwali na drugiego, a drugi się wyprze... Tylko ciągle chryje byłyby z tego!

— Przy dobrej woli nikt knocić nie będzie i winy na innych zwać — tłumaczył Żbikowski. — Wiadomo przecież, że jak kamienie są narządzone, to maszyna przy dobrej obsłudze nakładaczek i odbieraczek może się zupełnie obejść bez maszynisty... Co jeden drugiemu ma psuć?

— Ja się z tem nie zgadzam i nowych ludzi do maszyn nie dopuszczę! — rzekł majster Bułka kategorycznie.

Dyrektor zawrzał gniewem:

— Kto tu, u diabła, rządzi? Dyrekcja, czy panowie majstrowie i robotnicy?

— Niech sobie rządzi dyrekcja, ale niech nie pozbawia robotnika godzin pofajerantowych...

— Nikt was tych godzin pozbawiać nie ma zamiaru — reflektował dyrektor. — Każdy z maszynistów będzie miał i tak po 5 godzin nadnormowych. Toć więcej uczyni, niż druga dniówka!

— No tak, to dopiero dwie dniówki na dobę...

— Po dwie dniówki będą mieli przy dziennej zmianie — wyliczał dyrektor, — a przy zmianie nocnej, na którą każdy z maszynistów co drugi tydzień będzie stawał, zarobi każdy tyle co trzy dniówki...

— To ja dobrze wiem, panie dyrektorze. Ale ra-

zem do kupy, to po pięć dniówek na jedną dobę moglibyśmy zarobić...

— Za dużo chcielibyście się obłykać...

— A cóż to? Litografowie od macochy, czy co? — obruszył się majster Bułka. — Drukarze mogli się obłykiwać przez tyle miesięcy, a my — to prawą nie mamy?

— Tamto, to już było i przeszło, i więcej się nie powtórzy...

— Owa! Skarb państwa pewno zbiednieje — ironizował majster.

— No nie, panie Franciszku, tak mówić nie można. Coby na to ministerjum powiedziało?

— Ministerjum na wiele innych rzeczy patrzy przez palce — zauważył z przekąsem Bułka, — to cóż tu ma do gadania?... Że biedny robotnik chce więcej zarobić?... Cóż to dziwnego?... Czasy są ciężkie, wiadomo. A drożyzna stale wzrasta.

— No, daj pan pokój, panie Bułka. Dla was, robotnicarzy, czasy przecież tak ciężkie nie są, nie!... Z przyzwyczajenia tylko narzekacie...

Pertraktacje z pawilonem litograficznym nie doszły do skutku. Nowych pracowników nie przyjęto. Poruszano maszyny tylko na jedną zmianę 12-to godzinną, a część robót oddano litografom prywatnym do wykonania.

Tego samego jednak dnia zjawił się w pawilonie litograficznym wartownik Szczujski i, korzystając z chwilowej nieobecności zarządcy Wieloczyńskiego, odwołał majstra Bułkę na stronę i szepnął mu na ucho:

— Czy pan wie, kto panom litografom popsuł in-

teres z temi dwoma zmianami i pięciodniówką? — Wieloczyński...

— No, jakim sposobem?

— Podmówił Żbikowskiego... Mówił mi Chwyrowski... To drania kawał z tego Wieloczyńskiego!... Krwio pijca patentowany...

— Eee, co pan gadasz! To człowiek porządny...

— No, — rzekł tonem urażonym wartownik, — jak ja panu mówię, to mam na to podstawy... Już dawno zarząd chce się go pozbyć... Pan wie?... On wszędzie swój nos lubj wścibić i wszystkim buty szyje... Nawet panu prezesowi...

— Czyż? — powątpiewał majster.

— Panie, ja na wiatr nie gadam!... Ale jest łatwy sposób pozbycia się wreszcie tego jegomościa... Wie pan co? Gdybyśmy tak przy wyjściu zrewidowali go w wartowni i akurat coś takiego znaleźli w jego kieszeni. No, choćby kawałek makulatury z umdruku tych znaczków stemplowych nowych... Uważa pan?... Jużby więcej do budy nie powrócił...

— No, więc? — dopytywał Bułka, chcąc się upewnić czy dobrze zrozumiał Szczujskiego.

— No, więc trzeba mu włożyć do kieszeni palta, do tej wewnętrznej, — kawałek odbitki makulaturowej i — kwita...

Majster się oburzył:

— Mój panie, to nie moja rola! Ja jestem robotnicarzem, a nie żaden tam prowokator... Złeś pan trafił, panie wartowniku... Idź pan spać!

To rzekłszy, Bułka odwrócił się na pięcie i odszedł do pracy umdrukowej, a Szczujski, nieco skonfundowany, udał się do wartowni, aby z umówionym kolegą Ki-

jewskim i zarządcą kartoteki Badylewiczem, pójść na libację i zalać po tej brzydkiej konfuzji — robaka.

Nazajutrz z rana prezes Podborski wyjątkowo wcześniej, bo już o godzinie 9-ej wyszedł był ze swego pałacyku do ogródka. Jakiś dziwny niepokój całą noc spać mu nie pozwalał. Wieczorem był u nich na herbacie Żbikowski i gwałtem napraszał się o udzielenie mu urlopu.

— W zasadzie nie mam nic przeciw temu — rozważał prezes, spacerując po ogródku. — Urlop dwudziestośmiodzienny słusznie mu się należy... Ale, że akurat taka przykra sytuacja z tym papierem zagranicznym wynikła... Lecz co Femcia ma do tego urlopu?... Dlaczego ona gwałtem ten raptowny wyjazd pana Konrada popiera?...

Przez wartownię przeszedł dyrektor Żbikowski, a idąc pierwszym podwórcem, spostrzegł prezesa, spacerującego przed pałacykiem.

Skierował się ku niemu, a po przywitaniu zagadnął:

— Przyszło mi na myśl, panie prezesie, że mógłbym na urlopie swoim połączyć przyjemne z pożytecznym...

Prezes spojrział z zaciekawieniem w puciołowatą, lecz nieco przybladłą twarz swego pupila.

— Mógłbym do Podborów wyjechać i zająć się gospodarką pana Prezesa... Żniwa niedługo nadejdą... Ziemię chłopci za trzeci snop obsiali... Trzeba część plonów odebrać od nich i wreszcie pomyśleć o odbudowie zrujnowanego majątku...

— Wie pan co, panie Konradzie? Świetna myśl, dajlibóg! — odparł prezes.

Żbikowską ciągnął dalej:

— Mógłbym tymczasem jakie budynki gospodar-
skie postawić i domeczek mieszkalny wybudować, —
bodaj nawet swoim kosztem własnym, — aby państwo
prezesostwo miał gdzie lato spędzić...

— Ech, ja bo nie wyjadę — westchnął stary pre-
zes. — Chyba Femcia... Tu mam tyle zajęć, a i nie-
spodzianki coraz to nowe się rodzą... Muszę pilnować
swej placówki... Femcia — co imiego, ona może sobie
pozwolić na odpoczynek letni na łonie natury...

Gdy tak obaj dygnitarze menniszni snuli osobiste
projekty, spacerując pomiędzy kwietnikami przed pała-
cykiem, zajechał przed Menniszę samochodem Skarbo-
wym dyrektor Chwykowski, dążąc do zajęcia.

Przechodząc przez wartownię, zapytał preżącego
się komendanta warty:

— Czy pan Badylewicz jest w kartotece?

— Niema go, panie dyrektorze! — odparł Smy-
kajli — Jeszcze nie przyszedł.

— Proszę niezwłocznie zawiadomić mnie, gdy
przyjdzie!

— Rozkaz, panie dyrektorze!

Chwykowski przeszedł szybko przez podwórzec,
ukłoniwszy się z daleka spacerującemu prezesowi ze
Żbikowskim i udał się do swego pawilonu.

Po kilku minutach komendant warty telefonował:

W tej chwili zajechała przed Menniszę dorożka,
w której siedzi pan Badylewicz z wartownikiem Kijew-
skim... Obaj nie chcą wysiąść... Nie mogą...

— Dlaczego? — pyta Chwykowski, złośliwie się
uśmiechając.

— Pijani, panie dyrektorze, okropnie...

— Niech pan każe wysadzić ich z dorożki i obu wprowadzić na podwórzec, tak, aby ich pan prezes z ogródka zobaczył... Pan mi nie rozumie?... Ja tam zaraz przychodzę.

Wartownik Szczujski, wioząc pijanych kompanów, wymknął się był opodal Mennicy z dorożki, a jego napół żywi towarzysze całonocnej libacji ocknęli się przed wartownią.

Na widok budynków Mennicznych — obaj nieco otrzeźwielę i usiłowali przynaglić dorożkarza, aby jechał dalej.

Dorożkarz ani myślał.

— Cóż to? — powiada — Nie przywiozłem panów wedle adresu?... Śka pa się zziąjała... Tyli świat drogi... Dalej nie pojedę... Płacić i słażić!

Nie pomagały namowy, groźby i molestowania pijanych pasażerów. Dorożkarz zatknął bicz na koziele i, odwróciwszy się bokiem do swych gości, dopominał się zapłaty.

Z wartowni wyszedł komendant Smykajło w olbrzymim stosowanym kapeluszu z pióropuszem na głowie, a za nim czterech wartowników i „Głupę Wojtek“ na gapia.

— Wziąć po dwóch każdego! Wysadzić i przenieść przez wartownię na podwórzec!...

Rozkaz wykonano sprawnie. Obu nietrzeźwych pasażerów wnet wyniesiono z dorożki i poniesiono w głąb wartowni.

Za tym konduktem szedł woźny Kozica i, klaszcząc w dłonie, przyśpiewywał:

— A to się udziudziiali, udziudziiali,... ali,... ali, ulali!...

Obu nietrzeźwych ludzi wartownicy wnieśli na podwórzec menniczny, gdzie usiłowano postawić ich na nogi.

Ślaniając się, ledwie stali o własnych siłach, wzdac błędnemi oczyma po obecnych.

Spostrzegł ich prezes Podborski z ogródka.

— Co to?... Kto to?...

— To są właśnie — pośpieszył z informacją, nadchodząc, dyrektor Chwytowycki, — pracownicy Mennicy pańswowej, panowie Badylewicz i Kijewski, którzy całą noc — widocznie — gdzieś sobie godność świadczyli...

— To... to... ci sami? — pytał oburzony prezes.

— Ci sami, panie prezesie, gorliwi detektywi od zagranicznego papieru..

— Aha, aha!... Wydalić ich zaraz!... Stante pede!

Rozumie się, panie prezesie! Za taki skandal! — poparł wyrak Chwytowycki, odchodząc celem wydania dyspozycji, aby „tych panów odstawiono do domów“.

Po odejściu Chwytowskiego prezes długi czas nie mógł się uspokoić. Wkońcu zapytał Żbikowskiego:

— Czy ta heca była zorganizowana przez pana Augusta?

Przyjaciel Chwytowskiego w odpowiedzi tylko mrugnął porozumiewająco oczami.

— Sprytnie, bardzo sprytnie!... Ten Chwytowycki daleko zajdzie, o! — daleko...

— To dzielny człowiek, panie prezesie! On konsekwentnie dąży do celu usunięcia z drogi wszystkich naszych wrogów!

Poczem Żbikowski udał się wraz z prezesem do zarządu, aby przygotować swoje papiery urlopowe i przekazać obowiązki służbowe inżynierowi Mangołowowi.

XVII.

Od czasu objęcia przez Mangołowa obowiązków dyrektora technicznego, pomocnikiem jego został Hryczenko.

Kierownictwo techniczne państwowej Mennicy Cudeńskiej przeszło w ręce obockrajowców, nie znających nie tylko języka państwowego, ale — jakby rozmyślnie działających na szkodę Skarbu Państwa.

Oburzali się z tego tytułu poważniej myślący urzędnicy i pracownicy zakładów mennicznych, a kontrola, której Mangołow był zaciętym wrogiem, bezustannie ścierała się z chytrym milczkiem, nie przestającym nastrajać przeciw niej poszczególnych zarządców, majstrów i maszynistów.

Jeden tylko Porajski nie poddawał się już prowokacjom Mangołowa i — zgodnie pracując razem ze swoim starszym kontrolerem Jodłowskim, — robił swoje. Starał się produkować najwięcej i jak najlepiej, a porządki na filji panowały wzorowe.

Odrzucając destruktcyjne podszepty Mangołowa, Porajski stał się w stosunku do dyrekcji technicznej wprost arbitralny. Niech no mu na czas papieru, farb lub klisz nie nadesłano! Wnet telefonem tak zaatakował winowajcę, tak dosadnie monitował opieszłych, tak ostro występował nawet przeciw Mangołowowi, — że formalnie bano się „dyrektora“ filji więcej, niż Mangołowa lub Hryczenki, wszechwładnych rządców w Centrali.

Traktowanie obowiązku zaspakajania potrzeb filji przez centralę Mennicy było często tak lekceważące, że Porajski aż „urywał“ telefon, wymyślając formalnie

poszczególnym działom dyrekcji technicznej za niedostarczenie niezbędnych artykułów.

Z chwilą wyjazdu Żbikowskiego na urlop, coś się w Mennicy rozprężyło. Już nie tylko zapominano dostarczać na czas różnych artykułów wytwórczości walorowej ale i t. zw. „zamówienia“ na wydrukowanie takiej lub innej ilości banknotów lub innych walorów państwowych do filji nie dochodziły.

Zdarzyło się, że w ciągu trzech dni z rzędu filja nic nie otrzymała do roboty, o czym centrala dobrze wiedziała z raportów i telefonogramów zarządcy.

Porajski zaatakował Mangołowa.

— Bójcie się Boga! Co się tam u was dzieje w centrali? Maszyny moje już trzeci dzień stoją!

— P u s k a j s t a j a t! (Niech stoją!).

— Pan chyba żartuje! — oburzył się Porajski. — Toć to strata ogromna, a przytem takie rządy demoralizują pracowników.

— Ja nic nie poradzę — tłumaczył się Mangołow po rosyjsku. — Mam tutaj urwanie głowy...

Po wszystkich pawilonach mennicznych odczuwano brak mocnej ręki, w jakiej trzymał do niedawna wódze kierownictwa technicznego dyrektor Żbikowski. Wszędzie coś się psuło, dezorganizowało, z trybu wychodziło i zgrzytało.

W tej, jakby z rozmysłem prowadzonej robocie destrukcyjnej gorliwie dopomagał Mangołowowi jego pomocnik, Hryczenko, który wysuwać się zaczął coraz bardziej na czoło kierownictwa technicznego i umiejętnie mydlił oczy prezesowi Podborskiemu, okazującemu obu obcokrajowcom dużo pobłażania i życzliwości. Dziwną tę sympatję dla nieudolnych przybłędów cu-

dzwoziemskich, których nie należało tolerować na odpowiedzialnych stanowiskach kierowniczych, tłumaczono powszechnie nie tyle względami altruistycznymi, ile moskalofilskimi uczuciami starca-prezesa, który całe swe życie na obczyźnie służył i obcym nasiąknął duchem.

Porajski zżymał się coraz częściej, patrząc na bezczynne maszyny i na waleśających się z kątą w kącie swoich pracowników. Zdając sobie dokładnie sprawę z demoralizacji, ogarniającej najlepszego robotnika, skazanego na próżniacze odsiadanie przepisanych godzin, zarządca filji połowę pracowników zwolnił na urlopy i wkońcu sam podał się o urlop aby nie patrzeć na rabunkową gospodarkę, prowadzoną w Mennicy.

Dyrekcja techniczną pochopnie udzieliła zarządcy filji dwutygodniowego urlopu, z którego korzystali wszyscy pracownicy Mennicy, pozostający na warunkach robotniczych. Mangołow bowiem i Hryczenko pragnęli choć na krótko pozbyć się zbyt gorliwego i wymagającego zarządcy, który im życie wprost zatruwał.

Obydwaj też korzystali z każdej sposobności, aby Porajskiego i jego wygórowane jakoby żądania administracyjne dyskredytować wobec prezesa i zarządu. Przed moskalofilem Podborskim oskarżali Porajskiego o szowinizm narodowy; przed członkiem zarządu, Ważkiewiczem, — o zbyt dużą samodzielność, a w nadradcę Słodkiewicza wmawiali, że zarządca filji nie uznaje władzy i ośmiela się krytykować jej zarządzenia.

To też po wyjeździe Porajskiego na urlop skończyły się ataki filji na zarząd Mennicy i dyrekcję techniczną, albowiem zastępca zarządcy, Władurski, owiany służbowym duchem wykonawczym, uważał za właści-

we stosować się tylko do rozkazów. A, że rozkazów nie było, — siedział spokojnie, władzy się nie narzucał i o pracę dla filji się nie dopominał. Wiedział bowiem z doświadczenia Porajskiego, że władza nie lubi gdy się budzi ją z uspienia, a — broń Panie Boże — monituje lub krytykuje.

Natomiast w braku zajęcia Władurski rozpoczął na dobre smalić cholewki do „Rumianej Stasi“, liczarki, do której jednocześnie stroił koperczaki młodszy o wiele Kotkowski.

Skromne, lecz płocze dziewczę serdeczniej przyjmowało zaloty studenta i eks-sierżanta artylerji, niż ty-sawego już Władurskiego, który nie na żarty zadurzył się w pięknej dziewczynie. Nie on jednak wywoływał u niej na buzi te piękne, a tryskające zdrowiem rumieńce. Zastępca zarządcy brał się do rzeczy uczciwie, ale po starokawalersku, to też delikatne jego umizgi, aczkolwiek pochlebiali młodej pracownicy i wdzięcznie były przyjmowane, nie wywierały jednak na nią głębszego wrażenia.

Natomiast pan Zdzisław strategicznie zdobywał względy panny Stasi i, flirtując z nią mioby obojętnie, ciągle wywoływał na jej ładnej buzi te niepospolite rumieńce, za któremi znów szalenie przepadał Władurski.

Młody Zdzisław czynił to z pustoty eks-żołnierskiej, lecz uczuciowo się nie angażował. Władurski zaś starokawalerskie swe serce, gorejące nieco spóźnioną miłością, miósł „Rumianej Stasi“ jak na dłoni, żywiąc nadzieje, niestety — nieziszczalne.

Za przykładem administracji w podobny sposób zabijała czas kontrola, a w braku zajęcia i wszyscy inni pracownicy obojej płci zajęli się wzajemnie sobą, na

co przecież w normalnych warunkach pracy czasu nigdy nie było.

Wszystkie myszy na filji wyśmienicie się bawiły bez kota, a nikt im nie przeszkadzał, gdyż centrala nie mogła się uporać z systematycznym podziałem zamówień na wykonanie walorów skarbowych, a tem samem skazywała filję na bezczynność.

Brak zarządzeń w centrali Mennicy usprawiedliwiał nie tylko zwykły rozgardjasz, wynikający z nieudolności kierownictwa, lecz dezorientowały to kierownictwo wypadki, które mnożyć się zaczęły jak grzyby po deszczu.

Przedewszystkiem zupełnie niespodzianie otrzymał dymisję wszechwładny dotychczas Mangołow.

Pewnego dnia, wieczorem, po krótkiej konferencji u prezesa Podborskiego, inżynier Mangołow pożegnał się z najbliższem otoczeniem, wyszedł i więcej do Mennicy nie powrócił. Gabinet dyrektora technicznego zajął niezwłocznie Hryczenko.

Co było przyczyną raptownego wydalenia Mangołowa, nikt zgadnąć nie mógł. Zarząd milczał, Hryczenko nic mówić nie chciał. Jedni przypuszczali, że Mangołowa „wysadziła“ kontrola, inni twierdzili, że Mangołow niepotrzebnie rozpowiadał o nadużyciach, dokonywanych (bez jego udziału) przez nadradcę Słodkiewicza i całą „klikę“ menniczną z dostawcami, a jeszcze inni twierdzili, że Mangołow wyhodował na swoim łonie niewdzięczną żmiję w osobie Hryczenki...

Co ostatecznie było przyczyną niespodziewanej dymisji obcokrajowca wiedział tylko prezes Podborski, który musiał rozstać się z Mangołowem, aczkolwiek w sposób polubowny, ale — „stante pede“.

Jednocześnie rozeszła się po Mennicy sensacyjna pogłoska, że dyrektorowi Żbikowskiemu przedłużono urlop, z którego miał zapewne już nie powrócić, albowiem prezes Podborski powierzył mu cele nie tyle wyższe, ile — bliższe, a mianowicie — odbudowę swego zrujnowanego majątku dziedzicznego, pięknych i żywych Podborów.

Żbikowski rozpoczął już renowację folwarku swoim, jakoby, sumptem, aby następnie prowadzić gospodarkę na Podborach do spółki z prezesostwem.

Mykoła Hryczenko rozparł się w opuszczonym fotelu dyrektora technicznego i, ku ogólnemu zdumieniu mianował swoim pomocnikiem rysownika Dmitrja Borsuka, czemu zupełnie nie sprzeciwiał się prezes, dokumentujący tem samem swe moskalofilstwo.

Nic to, że w Mennicy pracowało kilku uzdolnionych inżynierów, którym z wieku i urzędu należałby się awans na wyższe stanowiska.

Nic to, że wypróbowani już pracownicy i — jako autochtoni — bez zastrzeżeń oddani sprawie mennicznej, jak naprz.: Fiszer, Latałski, Trafiński, Kaszyński i inni, byli pierwszymi kandydatami na stanowiska dyrektora technicznego i jego zastępcy.

Nic to! Bo przecież prezes Podborski miał pod ręką ludzi kultury rosyjskiej, których umiłował nade wszystko.

Oni to rozpostarli się w gabinecie dyrektora technicznego i rozpoczęli swe rządy od obfitej libacji z majstrami w knajpie „u Małgosi“, celem zaskarżenia sobie względów u szerszych warstw pracowników mennicznych.

Przypadkowo znalazł się w tem gronie uczującym

technik budowlany, Starzyński, który po kilku kieliszkach poruszył sprawę nieogłędnej rozbudowy zakładów:

— Obawiam się, — mówił — że wrazie jakiegoś wypadku cała Mennica spłonie niechybnie, zawsze bowiem zwracałem uwagę, że te drewniane pawilony stawiamy w niebezpiecznym skupieniu.

— Miejsca przecież niema — zauważył majster Orylski.

— Murowane należało stawiać, a nie jakieś tam prowizorja, sklecone z drzewa — dowodził technik.

— Wiadomo, ja to znam! — wtrącił Hryczenko. — Ale murowane drożejby się obeszli, a Skarb nasz, cudeński, — nie bogaty.

Starczyński się obruszył:

— Pan inżynier nie jest świadom rzeczy. Mennica tak drogo płaci za budulec, że jak obliczyłem, śmiało za te pieniądze mielibyśmy budynki murowane.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał w podnieceniu majster Orylski, który zajmował się w Mennicy przyjęciem budulca od dostawców i z tego tytułu miewał częste scysje z technikami. — To, według pana, niby granda jaka dzieje się przy dostawach materiałów?...

— Niech pan będzie pewien, panie Orylski, że ja coś już wiem o nadużyciach — miał nieostrożność odpowiedzieć Starczyński, patrząc znacząco w oczy zaperzonego majstra i jeszcze nieostrożniej dodał:

— A, gdy będę miał w rękach konkretne dowody, wówczas niejeden tu z obecnych pójdzie na rekolekcje do ula...

— Komu pan grozi, panie technik, komu? — wybuchnął Orylski.

— Komu, no komu? — podchwycił majster Tasiemski.

— Złodziejom — odparł krótko Starzycki.

Kamień obrazy padł między zebranych. Skrzyżowały się między sobą spojrzenia, dyszące zemstą. A Starzycki, uregulowawszy swój rachunek, opuścił grotno libacyjne.

Nazajutrz technik Starzycki został „stante pede” wydalonny z Mennicy.

Jeszcze nie przebrzmiało echo przygnębiającego faktu pozbawienia pracy uczciwego pracownika przez klikę szkodników społecznych, gdy rozeszły się pogłoski o nowych sensacjach. Pracownicy menniczni kolportowały je oględnie z ust do ust, w obawie aby nie posadzono ich o rozpowszechnianie wieści, niepożądanych dla „prestige'u” władzy.

W odosobnieniu na ucho, poszeptywano o tem, że wydalonny inżynier Mangołow ma jakoby zaskarżyć zarząd Mennicy o nadużycia przed ministerjum i prokuratorją.

Jednocześnie dyrektor Chwyłowski wyjechał na urlop, pozostawiwszy na swoim miejscu zastępcę Gawrońskiego, który był jego serdecznym przyjacielem.

Niezapowiedziany przedtem urlop Chwyłowskiego komentowano po cichu — ostrożnością przed grożącą mu surową odpowiedzialnością za wspólne grzechy kliki szkodników.

Naraz, jak grom z jasnego nieba, spadła na pracowników Mennicy wiadomość, że został wydalonny świe-

żo jeden z urzędników, cichy i skromny kontroler Jodejko.

— Za co pozbawiono pracy tego biedaka? — dopytywano ze współczuciem, na które zasłużył sobie ogólnie lubiany, zawsze uprzejmy i zawsze licho oddziały urzędniczyna.

— Za to, że stanął w obronie praw do deputatów, wydzielanych ogółowi pracowników.

Rzecz się tak miała:

Jodejko, odbierając w mennicznym magazynie aprowizacyjnym należny mu z deputatu cukier, zwrócił uwagę, że zamiast 5 kilogramów, otrzymał tylko 4, wraz z wyjaśnieniem, że zarząd polecił ująć pracownikom po jednym kilogramie, dzięki czemu zostanie superata w poważnej ilości tysiąca kilkuset kilogramów cukru, który zapewne gdzieś „wsiąknie“.

Jodejko podzielił się temi wiadomościami z kilkoma towarzyszami pracy, a podejrzewając w samowolnem zmniejszeniu deputatu, należącego się prawnie wszystkim pracownikom, jakiś „interes nieczysty“, zapowiedział, że postara się dopilnować aby tego cukru z Mennicy nie wywieziono.

Jodejce przyznawano rację, a niektórzy robotnicy zaczęli głośno szemrać na samowolę zarządu Mennicy.

Szemranie doszło snadź uszu, ku temu powołanych albowiem tego samego dnia wezwano kontrolera Jodejkę do prezesa, który zakomunikował krótko i węzłowato:

— Już pan nie będzie się trudził kontrolowaniem wywozu cukru z Mennicy, albowiem od dnia dzisiejszego przestaje pan u nas pracować...

Jodejko formalnie zgłupiał, zaniemówił i, słuchając

w roztargnieniu pożegnalnego przemówienia pana prezesa, zrozumiał tylko tyle, że w drodze wyjątku otrzymywać będzie w kasie w ciągu dwóch następnych miesięcy pensję mu przynależną, ale od pracy zostaje zaraz usunięty, a po dwu miesiącach z listy urzędników Mennicy będzie skreślony.

Gdyby Jodejko był przeczuł, że ta superata cukrowa była zarządzona na skutek pomysłu nadradcy Słodkiewicza i zaoszczędzony na pracownikach Mennicy cukier oddany był do dyspozycji tego dygnitarza, — zapewne, że jako urzędnik, „znający służbę“ nie byłby przeciw temu zarządzeniu występował i nie poniósłby konsekwencji swego lekkomyślnego czynu.

Takie potraktowanie najlepszych intencji uczciwego urzędnika, który ośmielił się wystąpić w interesie ogółu mennicznego, zmroziło wszystkich pracowników, zważyło im humory i dało dużo do myślenia o wszechmożności „klikii“.

Gdy powrócił z urlopu Porajski i zameldował się był w centrali, próbował o zaszłych wypadkach nawiązać rozmowę w dyrekcji technicznej. Interpelowani w tych sprawach pracownicy zaledwie półsłówkami zbywali zarządcę filji, a jeden z nich otwarcie wyznał Porajskiemu, że wprost boi się cośkolwiek powiedzieć o zaszłych w ciągu ostatnich tygodni wypadkach, albowiem wprost steroryzowano wszystkich tem „stante pede“ wydalaniem za najmniejszy objaw nieżyczliwości dla „klikii“.

Przerażenie ogarnęło wszystkich uczciwych pracowników i urzędników Mennicy, a obawa utraty w tych ciężkich czasach kawałka chleba, sznurowała im usta.

Nieliczni Popsuje opanowali wszystkich Robów.

Porajski był przygnębiony wypadkami, jakie zaszły podczas jego urlopu. Nadmiar złego w dwa dni po objęciu przez zarządcę filji swych obowiązków, pomocnik jego i ceniony spółtowarzysz pracy, Władurski, złożył podanie o dymisję i to zaraz, natychmiast.

O taką dymisję „stante pede“ niezwykle łatwo było w warunkach przymusowych. Lecz dobrowolnie ustępującego pracownika i to pracownika dobrego, dyrekcja nie zwykła była natychmiast zwalniać ze służby.

Władurski jednak tak ważkie złożył motywy swemu bezpośredniemu szefowi, że Porajski w ciągu 24-ch godzin uzyskać zdołał zwolnienie swego pracownika od obowiązków.

No, bo — jakże? W podanych przez Władurskiego motywach ustąpienia dużą rolę grało jego zniechęcenie się do służby w „Stajni Augjasza“, jak pospolicie nazywaną gospodarce menniczną, a wreszcie — i ostateczna rekuza, jaką podtatusiały nieco kawaler otrzymał od „Rumianej Stasi“.

Władurski w podzięce za prędkie zwolnienie go ze służby dał dowód kulturalnego poczuwania się do obowiązków społecznych, składając do dyspozycji Porajskiego poważniejszą sumę na Książnicę Koleżeńską, poczem tegoż dnia Cudno opuścił.

XVIII.

Wobec wzrastającej wciąż drożyzny rząd przyznał urzędnikom państwowym w Cudnie t. zw. „zapo-

mogi“, które wynosiły mniej więcej po 30 procentów od pobieranych przez nich niezwykle mizernych pensji.

Słusznie fiskał cudeński nazwał ten dodatek „zapomoga“, albowiem większość urzędników zesła już na dziady.

Nazwa „urzędnik“ stała się synonimem nędzy i głodu, które należało miłosiernie wspomóc jałmużną. Dlatego też wydzielono urzędnikom państwowym nie gratyfikację jednorazową, nie dodatek drożyzniany do pensji, a — jednorazową „zapomogę“, na podobieństwo wsparć, wydawanych przez instytucje dobroczynne osobom inteligentnym, wstydzącym się żebrać.

Owe wsparcia, czyli zapomogi, otrzymali w Mennicy wszyscy urzędnicy. Natomiast pracownicy, pozostający na warunkach robotniczych, żadnych dodatków nie otrzymywali, a przeciwnie — personel techniczny przeniesiono z pensji tygodniowych na okrojone nieco pensje miesięczne, t. j. pozbawiono ich lepszych warunków płac robotniczych, a przyznano wynagrodzenie urzędnicze, bez praw jednakże urzędniczych i związanych z nimi „zapomóg“.

Pomimo terroru, jaki panował w ostatnich czasach w Mennicy, wśród pracowników technicznych zawrzało.

Te hiobowe wieści o świeżych zmianach warunków pracy były kołeczkiem, wetkniętym w mrowisko kilkudziesięciu osób, którym w czasach ciężkiej walki o byt uszczuplano zarobków. Nie dość bowiem, że same pensje im zmniejszono, lecz i zapłata za nadnormowe godziny pracy tych inteligentów miała być znacznie zredukowana.

W trosce o byt swoich rodzin pracownicy techniczni, rozrzućeni po wszystkich pawilonach Mennicy,

schodzili się i naradzali jakby zażegnać wprowadzenie w czyn tych zmodyfikowanych warunków pracy, aż wreszcie uchwalili złożyć prezesowi Podborskiemu petycję zbiorową, a w niej wyłuszczyć niesprawiedliwość uchwał, powziętych przez zarząd.

W ciągu kilku dni pisano i stylizowano projekty petycji, jednakże żaden z nich nie dogadzał ogółowi pracowników. Wówczas ktoś wpadł na myśl wezwania do pomocy Porajskiego, który był właśnie powrócił z urlopu.

Zarządca filji przyjechał niezwłocznie do centrali i po wyczerpującej konferencji z kilkoma ad hoc wydelegowanymi przez kolegów pracownikami, zredagował petycję, której treść ogół kolegów przyjął i zaakceptował.

Petycja na wstępie zaznaczała, że wywołuje ją ogólne rozgoryczenie pracowników, którzy wbrew gospodarczym wymaganiom życia i wzmagającej się drożyznie, — stale od dłuższego czasu są przez władze menniczne krzywdzeni.

Wówczas bowiem, gdy robotnicy i rzemieślnicy w ciągu ostatniego półrocza otrzymali sześciokrotne podwyżki, które im dały w czerwcu o 180 proc. więcej niż pobierali w styczniu, — pracownicy techniczni w ciągu tego samego okresu czasu otrzymali tylko cztery razy podwyżki, które w sumie dały zaledwie 90 proc. podwyżki.

„Zważywszy na to — głosiła petycja, — że płace robotników już w samem założeniu odrazu były wyższe od płac pracowników-inteligentów, — dziś, przy systemie pomijania inteligenta w podwyżkach lub przyznawania ich w dawkach minimalnych, doszło do olbrzy-

mich różnic w płacach, pobieranych przez te dwie kategorie pracowników“.

„Płace nasze podzielono na kategorie urzędnicze, lecz nie przyznano nam praw urzędniczych, a zatem: nie korzystamy z emerytury, dodatków za wysługę lat, dodatków za odbyte studia wyższe, — nie otrzymujemy gratyfikacji urzędniczych, — nie mamy prawa korzystania z ulgowych biletów kolejowych i t. p. Nie jesteśmy, bowiem, urzędnikami“...

„Ale jednocześnie nie otrzymujemy podwyżek, przyznanych przez Urząd Normowania Płac, ustanawianych co miesiąc dla pracowników fabrycznych. Za takich bowiem uznawani nie jesteśmy, choć, jako zawodowcy i technicy w tych samych lokalach fabrycznych pracujemy“...

„Nie jesteśmy uważani ani za urzędników, ani za pracowników fabrycznych, a jednak na nasze barki złożono ciężkie obowiązki bezpośredniego kierownictwa pracą i wydajnością całej Mennicy. Ponosimy przed władzą surową odpowiedzialność za jakość i ilość tej pracy podwładnych naszemu kierownictwu pracowników. A jednak sytuowani jesteśmy od nich znacznie gorzej, zarówno pod względem materialnym, jak i moralnym“.

„Czarę naszego rozgoryczenia przepelniają pogłoski o mającej, jakoby, nastąpić obniżce procentowej za godziny nadnormowe, a to wbrew ustawie o czasie pracy w przemyśle i handlu“.

„Nie mając za sobą żadnego związku zawodowego, zmuszeni jesteśmy tą drogą wystąpić gremjalnie w obronie bytu naszego i naszych rodzin i prosić pana prezesa o wyznaczenie ad hoc komisji, złożonej z trzech

przedstawiciele zarządu Mennicy i powołania do tej komisji trzech pracowników technicznych, a mianowicie: pp.: Ewińskiego, Gołębiowskiego i Porajskiego, których ze swej strony, jako delegatów, obieramy“.

„Obowiązkiem rzeczony komisji będzie opracowanie nowych norm płacy dla ogółu pracowników technicznych w myśl postulatu, że miesięczne płace pracowników technicznych winny być podniesione do takiej wysokości, jaka wypadnie przy zastosowaniu takiej samej procentowo normy podwyżek, jaka przyznana została w okresie pierwszego półrocza robotnikom i rzemieślnikom Mennicy“.

Petycja kończyła się następującym zwrotem:

„Nie chcielibyśmy, aby nieuwzględnienie tego słusznego i sprawiedliwego żądania naszego zniewoliło nas — pod wpływem krańcowego rozgoryczenia — do stosowania w obronie żywotnych praw naszych takich metod, jakie przy sparaliżowaniu uczuć obywatelskich stosowane są przez związki zawodowe i inne zrzeszenia pracowników“.

Pod tą petycją położyli swoje podpisy wszyscy pracownicy techniczni, a gdy inżynier Trafiński zauważył, że należałoby trzem wymienionym w petycji delegatom zapewnić nietykalność, -- wszyscy zebrani, jak jeden mąż, stwierdzili, że ławą staną w tym przypadku, gdyby delegatów miała spotkać jaka nieprzyjemność...

Jeden tylko Moskalenko uchylił się od podpisania petycji, zaznaczając, że on ją sam wręczy prezesowi, a następnie — jako dyrektor techniczny, a więc bezpośredni szef wszystkich petentów, — będzie pośredniczył między podpisanymi, a prezesem Podborskim.

Hajdamacko chytry Hryczenko złożył zbiorową pe-

tycję prezesowi, lecz umył ręce wobec naczelnego zwierzchnika Mennicy, zaklinając się, że nic o „fermentacji“ wśród pracowników swojej dyrekcji nie wiedział, że konspiracyjnie to wszystko załatwiono, a jednocześnie wyznał Podborskiemu, że „zaczynszczykiem“ całego tego „buntu“ jest Porajski.

Nazajutrz dyrekcja techniczna telefonicznie wezwała zarządcę filji do prezesa na godz. 10-tą.

Porajski stawiał się punktualnie, zameldował się przez urzędnika dyżurnego, lecz prezes Podborski był bardzo zajęty, — kazał czekać.

Wychodzący z gabinetu prezesa nadradca ministerjalny Słodkiewicz zaczął zarządcę filji pseudo-życzliwą informacją:

— Staruszek jest bardzo zły na pana za tę petycję. Ale, tss! — da się udobruchać.

Podborski dwie godziny wytrzymał podwładnego mu inteligenta, który w duszy żałował, że nie występuje w charakterze delegata od robotników.

Wreszcie zarządcę filji prezes Mennicy polecił dopuścić przed swe oblicze.

— Cóż to pan, pani Porajski, ludzi mi pan buntuje!? — zaczął prezes na wstępie głosem podniesionym. — Jako naczelną zwierzchnik Mennicy państwowej, ja nigdy na to nie pozwolę, aby ktokolwiek miał mi tutaj prawa dyktować, — krytykować zarządzenia władzy i — buntować mi pracowników!... Nigdy się po panu tego nie spodziewałem...

Porajski zbladł.

On — buntownik?!... On — jakiś wywrotowiec?! To człowiek inteligentny go piętnuje... Za co?... Za ten pierwszy wśród pracowników-inteligentów odruch

samoobrony przed krzywdzeniem inteligentów przez takiego samego inteligenta...

— Jeśli się komu nie podobają moje zarządzenia — dorzucił prezes, — wolna droga, nie trzymam!...

— Panie prezesie! — zaczął delikwent, siłąc się na spokój. — Czterdzieści lat żyję na świecie i nikt nigdy nie ośmielił się nazwać mię buntownikiem... Gdyby w ten sposób potraktował mnie ktobądź inny, a nie pan prezes, którego przywykliśmy wszyscy szanować, — niewątpliwie znalazłbym stosowną odpowiedź...

Podborski cofnął się o krok wstecz. Skurczył się w sobie i, siadając głęboko w fotelu, wskazał wzburzonemu podwładnemu miejsce opodal biurka.

— Proszę, niech pan siada, pomówimy ze sobą spokojnie — rzekł prezes ze zrobioną słodyczą w głosie.

W Iwiej postaci snadź duch zajęczy mieszkał..

Porajski usiadł i, wciąż siłąc się na spokój, ciągnął swą odpowiedź:

— Chcę uszanować i wiek pański i stanowisko pańskie, jako mego zwierzchnika, przeto powiem krótko, ale kategorycznie: Ja nikogo nie buntowaem i wogóle w podaniu zbiorowej petycji żadnego buntu nie widzę. Prawda, że choć nie ja byłem inicjatorem tej petycji, lecz ja ją przy udziale kolegów redagowałem i część podpisów na niej sam zebrałem. Wierzę bowiem, tak jak i inni koledzy w to, że drogą polubownego omówienia kwestji naszego bytu przez komisję specjalnie w tym celu powołaną, będziemy mogli tę żywotną sprawę załatwić...

Prezes przerwał:

— Kochany panie, toć to skandal: urzędnicy wy-

stępują zbiorowo z jakąś petycją, grożą strajkiem, buntują się przeciw władzy, na czele której ja stoję...

— Co pan prezes widzi dziwnego w tem, że inteligent zdobył się nareszcie na odwagę i dopomina się o polepszenie warunków bytu?

— O; panie! Skoro urzędnicy dopominać się zaczęli o podwyżki, jakież stąd przykład dla robotników, którzy coraz to więcej nadmierne stawiają żądania?... W petycji żądacie, panowie, jakiejs komisji kompromisowej, na którą ja nigdy się nie zgodzę.

— Panie prezesie, jeśli mamy roztrząsać sprawy petycji, to zechce pan prezes wezwać tu panów Gołbiowskiego i Ewińskiego, albowiem wraz ze mną i ich dwóch, jako delegatów, obrało gremjum kolegów.

— Ja żadnych delegatów nie uznaję! — zawołał Podborski gorączkowo.

— Pozwolę sobie zauważyć — rzekł niemile zdziwiony Porajski, — że jednakże pan prezes przyjmuje delegacje od robotników... Dlaczegożby rzesza pracującej inteligencji nie miała prawa porozumienia się z władzą za pośrednictwem swych mężów zaufania?

— Nie, nie! Ja żadnych delegatów od urzędników uznać nie mogę, a z „mężami zaufania“ rozmawiać nie będę...

Porajski wstał, uważając swą misję za skończoną. Podborski powstrzymał go gestem.

— Ja pana wezwałem nie, jako delegata, a jako wybitniejszą wśród pracowników technicznych jednostkę, która podpisała tę nader miestosowną petycję i która winna ponieść konsekwencje podobnie nierozważnego kroku.

— Chętnie, narówni z innymi kolegami, poniosę te konsekwencje, jeno zgodzić się nie mogę z panem pre-

zesem co do zarzutu niestosowności, uczynionego naszej petycji — rzekł na to Porajski i zaczął wyjaśniać prezesowi swoje i kolegów zapatrywania na podjętą akcję.

Janusz dowodził, że najwyższy czas nastał, aby wreszcie inteligencja pracująca, zepchnięta w odmęty parjasów, ujęła się za sobą i dopomniała się o prawo do jakiego-takiego życia. Absurdem przecież jest i niesprawiedliwością krzywdzenie materialne inteligenta dlatego tylko, że ten inteligent nie zrzesza się, że ławą nie idzie, że bronią strajku nie walczy, a natomiast za ledwie wegetuje lub wprost głodem przymiera.

— Ja też jestem tym upośledzonym materialnie urzędnikiem — przerwał prezes rozmówcy — i również skromne otrzymuję wynagrodzenie, nawet mniejsze, niż panowie zarządcy pawilonów, bo godzin nadnormowych nie wyrabiam.

— Zapewne pan prezes ma inne jeszcze źródła dochodów...

A, zauważywszy, że Podborski wlepił weń jakby zalęknione spojrzenie, Porajski czempredzej dodał:

— Choćby ze swego majątku... A w każdym razie nie jest pan prezes obarczony, o ile wiem, obowiązkami rodzinnymi... Zresztą zasadniczo chodzi nam o zmianę naszych warunków pracy na lepsze, a nie na gorsze. Nie widzimy bowiem racji, dla której my, t. zw. inteligenci, pracujący wspólnie z rzemieślnikami w tych samych pawilonach fabrycznych i w tych samych warunkach, mamy pobierać nie tylko mniejsze od nich wynagrodzenie za swoją pracę, lecz w dodatku wówczas, gdy nie tylko wszyscy robotnicy otrzymali swoje automatyczne podwyżki miesięczne, a urzędnicy jakieś tam „zapomogli“, — nam, pracownikom technicznym zarząd

Mennicy zmniejsza zapłatę za nadnormowe godziny pracy?... Dlaczego to robotnik pobiera i może nadal pobierać za pierwsze dwie godziny takiej pracy nad normę ośmiogodzinną o 50 procent, a za następne godziny — o 100 proc. więcej, my zaś, jako inteligencja, mamy się zadowolić tylko dwudziestopięć procentową nadwyżką za godziny nadnormowe bez względu na ich ilość?

— Dlatego, panie Porajski, że jesteście panowie tą właśnie inteligencją, która jest powołana do składania ofiar na ołtarzu gospodarki państwowej... ,

Długi czas konferował z prezesem rzecznik wszystkich pracowników technicznych, zbijając jego wywody i czerpiąc argumenty z dziedziny ekonomii politycznej i praktyki życiowej pracującej inteligencji cudeńskiej, która w porównaniu z proletariatem pracującym, żyła w ustawicznym niedostatku.

Wkońcu zdawało się Porajskiemu, że przekonał „staroreżymca“ iż zbiorowa petycja jest tylko odruchem samoobrony inteligenta przed nędzą i biedą, na którą skazuje go niesprawiedliwość dziejowa, nigdy zaś — buntem przeciw władzy.

Po audjencji u prezesa Porajski zdał relację ze swej konferencji kolegom w dyrekcji technicznej którzy wyrazili mu wdzięczność za poniesione trudy, aczkolwiek prezes Podborski w sprawie petycji nie powziął narazie żadnej decyzji.

Szef Mennicy poważnie rozmyślał nad „buntem“ swoich pracowników, którzy ośmielili się na piśmie upomnieć o podwyżki.

Horrendum! Petycję zaadresowano do ministerjum. Prezes Mennicy musi ją skierować według adresu. Tak każą przepisy służbowe. Musi, ale nie... Co czynić? Jak postąpić, aby jednym gestem unieważ-

nić ten dokument niesforności podwładnych, wywołać w nich skruchę i — dla przykładu jednego z nich ukarać surowo?... Terror jest wyśmienitym środkiem ujarzmiania... Nawet — biały terror.

Dwa dni prezes Podborski myślał nad niekrwawym rozwiązaniem tego problemu, aż wkońcu przy pomocy swojej małżonki zdobył się na pomysł praktyczny i w czyn go niezwłocznie wprowadził.

Przedewszystkiem prezes zarządził przeniesienie zarządcy Porajskiego „dla dobra służby“ do centrali na miejsce zarządcy introligatornią, Burszowskiego. Nie będzie to niby degradacją, bo pensje zarządcy mają jednakowe, choć być „dyrektorem“ filji mennicznej nie jest to samo, co zarządzać wiecznie cuchnącą klejem introligatornią. Nie będzie to niby uwolnieniem ze służby, a jednak — ambitny Porajski nie zechce zapewne przyjąć degradującej go tranzlokacji i poda się do dymisji... O to właśnie chodzi nie tylko prezesowi, ale i całej „klicie“. A Porajski ani jego koledzy nie będą mieli prawa posadzać prezesa Podborskiego, człowieka tak szlachetnego urodzenia, o chęć zemsty osobistej, boć skoro „dobro służby“ wymaga, szef Mennicy nie cofnie się przed stanowczym krokiem...

Załatwiwszy się w ten sposób z jednym z „delegatów“ wymienionych w petycji panów inteligentów, prezes zawezwał do siebie kierownika kancelarji technicznej, Wukowskiego, oraz zaufanego powiernika swego, „mistrza“ Drewnowskiego i nastraszył obu wielką odpowiedzialnością, jaką mogą ponieść nie tylko delegaci, ale i wszyscy, którzy podpisali petycję na imię ministerjum

W najczarniejszych kolorach prezes przedstawił

los tych urzędników, którzy w podobny sposób buntują się przeciw władzy, a wkońcu zaznaczył, że petycji można by do ministra nie posyłać tylko w tym przypadku, gdyby została przez samych autorów „anulowana“. Preto radził stary prezes życzliwie lecz kategorycznie, aby coprędzej pracownicy techniczni złożyli mu contra-petycję mniej-więcej tej treści:

„Niniejszym, po dokładnem rozważeniu treści naszej petycji z dnia solidarnie anulujemy nasze nierozważne i nieprawne żądania i prosimy wspomnianą petycję uważać na niebyłą“.

Życzliwa rada szefa winna być dla podwładnych rozkazem.

To też Wukowski i Drewnowski pierwsi podpisali tę drugą petycję kapitulacyjną i w ciągu całego dnia gorliwie obiegali wszystkie pawilony menniczne, agitując za podpisaniem przez współkolegów tego testimonium paupertatis.

Nastraszeni pracownicy-inteligenci poddali się terrorowi i przeważnie bez najmniejszej opozycji kładli swoje podpisy pod kontr-petycją...

Jedynie kilku z nich o zrównoważonym umyśle miało odwagę odmówić swego podpisu, z zaznaczeniem, że raz omówionej i zdecydowanej uchwały koleżeńskiej nie cofną, albowiem są ludźmi dojrzałymi, a nie pauprami.

Porajskiemu i jego nowemu pomocnikowi, Puskowskiemu, kontr-petycji do podpisu nie przysłano.

Natomiast zjawił się na filji nowomianowany zarządca Burszowski z papierem dyrekcyj technicznej. Podobny papier, polecający przekazać służbę Burszowskiemu, otrzymał był Porajski.

— Czy pan podpisał naszą petycję koleżeńską, złożoną prezesowi o polepszenie naszego bytu? — zapytał zarządca filiji swego następcy.

— Tak jest, podpisałem — bąknął Burszowski.

— Czy pan pamięta, żeście podpisali panowie w tej petycji wybór między innymi i mnie, jako swego delegata? — pytał zdegradowany, patrząc badawczo w oczy „kolegi“.

— Hm, pamiętam...

— ?

— Lecz, proszę pana, rozkaz jest dla mnie rozkazem... Muszę objąć pańskie miejsce—tłumaczył się niefortunnie jeden z pseudo-inteligentów, którzy powzięli byli uchwałę, aby w razie potrzeby ławą stanąć w obronie swych delegatów...

Porajski złożył w ręce swego pomocnika obowiązek przekazania służby Burszowskiemu, a sam opuścił filję menniczną na zawsze.

XIX.

Jak miecz Damoklesa zawisła nad kliką Popsujów mennicznych ręka sprawiedliwości.

Ni z tego, ni z owego ministerjum polecilo zarządowi Mennicy niezwłocznie uwolnić ze służby dyrektora Chwytwowskiego, przebywającego na urlopie. Prezes Podborski jednakże, powodując się daleko posuniętą humanitarnością, uważał za właściwe przedłużyć panu Augustowi urlop płatny jeszcze na dwa miesiące. Nie można przecież tak gorliwego pracownika dla czyjegoś widzimisię z ministerjum pozbawiać posady stante pede...

— Nareszcie oliwa zaczyna na wierzch wychodzić — szeptano po pawilonach mennicznych.

— Byłoby nowym cudem w ziemi Cudeńskiej, gdyby całkowicie tej oliwie wypłynąć pozwolono — wątpili sceptycy.

Już od dłuższego czasu w aktach prokuratorji spoczywała afera z papierem „zagranicznym“, wykryta przez Badylewicza. Pierwszą ofiarą jaka padła w tej sprawie był właśnie Chwytowycki. W poszukiwaniu następnych wzywano do badania świadków.

Jednym z pierwszych pracowników mennicznych, który miał nieostrożność powiedzieć coś więcej, niż należało i uchylił rąbka zasłony na inne nadużycia „kliki“, był Wieloczyński młodszy. Stanowczo za dużo widział i wiedział ten młodzieniec.

Niezwłocznie też — z powodu chronicznej choroby oczu zwolniony został ze służby.

Taki zbieg okoliczności zamknął usta innym pracownikom, wzywany do sędziego śledczego.

— Oho, to i na mnie kres nadchodzi — zaopiniował Wieloczyński starszy, wezwany z kolei do badania. Udawał więc, jak mógł nieświadomego.

Nikt z wzywanych świadków nie mógł sędziemu udzielić wiadomości gdzie mianowicie przebywa na urlopie dyrektor Chwytowycki. Nawet prezes Podborski, który w dobroci serca przedłużył był urlop panu Augustowi, nie wiedział gdzie ten dzielny pracownik przebywa na wywczasach.

Przepadł, jak kamień w wodę rzucony.

Dopiero intendent Latalski chętnie udzielił sędziemu bliższych informacji o miejscu pobytu Chwytowyckiego, którego przecież jeden z urzędników, delegowa-

ny przez zarząd Mennicy z listem do Podborów, widział krzątającego się na podwórzu folwarku pana prezesa razem ze swym przyjacielem, dyrektorem Żbikowski, któremu pomagał w odbudowie Podborów...

Podobno sędzia po tem zeznaniu znacząco chrząknął.

Ale, że intendent menniczny, jako intendent, przedstawiał dla prokuratorji nader smaczny kąsek, przeto sędzia śledczy poddał Latańskiego wiwisekcji moralnej, z której to operacji uniknął między intendentami całego świata wyszedł z czystym czołem, żegnany przez sędziego niezwykle życzliwie.

Dzięki temu prokuratorja wytoczyła śledztwo przeciwko nadradcy Słodkiewiczowi, a nowomianowany minister skarbu udzielił mu niezwłocznie dymisji.

Podobno poszło o aferę samochodową, która i inne sztuczki ruchliwego pana nadradcy miała wynieść ze sobą na światło dzienne.

Pełen wrodzonego tupetu Słodkiewicz tłumaczył swą dymisję chwilowem „nieporozumieniem“, wynikiem na tle przesilenia ministerjalnego i zmiany gabinetu. Zapewniał przytem znajomych, że wkrótce powróci na stanowisko asystenta przy prezesie Podborskim, z którym wspólnie będzie nadal rządził Mennicą.

Obaj ci dygnitarze w najlepszych pozostawali stosunkach, bywając niemal codziennie u siebie.

Idąc po nitce do kłębka, sędzia śledczy uważał za konieczne zarządzić przyaresztowanie Gawrońskiego, który, będąc przyjacielem swego bezpośredniego szefa, Chwytowskiego, nic nie umiał o jego szkodliwej działalności; sędziemu powiedzieć.

Gawroński, udając naiwnego, z głupia frant obwi-

jał w bawełnę wszelkie drażliwe kwestje, poruszane przez sędziego i takie wzbudził w nim podejrzenie, że wkońcu został zaaresztowany.

Prezes Podborski, powodując się, jak zwykle — sercem, niezwłocznie polecił wpłacić za Gawrońskiego żadaną przez prokuratorję kaucję w kwocie stu tysięcy bonów — z kasy Mennicy państwowej.

Czego się bowiem nie robi, aby bliźniego ratować z opresji!

Wprawdzie zaoponował temu szlachetnemu gestowi prezesa nowy radca ministerjalny, Ciapuciński, który zajął był miejsce Słodkiewicza w Mennicy. No, ale jakoś udało się przekonać poczciwego pana radcę i Gawroński zajął z powrotem swoje miejsce w dyrekcji handlowej. A że kierownictwo osierociałej po Chwyrowskim dyrekcji zajął już nowy dyrektor, przeto Gawroński musiał osobiście i co rychlej porządkować wszystkie papiery i rachunki.

Bo któż lepiej mógł znać wszelkie arkana tajemnic handlowych dymisjonowanego dyrektora, jak nie jego pomocnik służbowy i serdeczny przyjaciel...

Niezależnie od prokuratorji i ministerjum, tą menniczną „Stajnią Augjasza“ zajęła się Kontrola Państwowa.

.Delegowani ad hoc kontrolerzy nie mogli narazie połapać się w ogólnym chaosie mennicznym i podzielić pomiędzy sobą żmudnej i ciężkiej, choć—jak przeczuwały — owocnej w skutkach pracy.

Zasięgali przeto informacji wstępnych u wszyst-

kich kierowników, którzy niejednokrotnie powodować się musieli pewną powściągliwością w udzielaniu kontroli wyjaśnień, nie chcąc narażać się „klice“.

Wprawdzie ta „klika“ pozornie była już rozbita. Lecz czy wiadomo kto się kryje w jej wszechwładnym cieniu, skoro i Hryczenko, aczkolwiek skacze przed panami „kantralorami“, lecz ciągle lawiruje, a nawet oczy im mydli.

Pewnego dnia awantura wynikła między Hryczenką, a jego pomocnikiem Borsukiem.

— Czego wy im, Inokientij Pietrowicz, objaśniali podrobnosci kosztów rozbudowy Mennicy? — wykrzykiwał Hryczenko, którego Griszka powszechnie nazywano. — Poco wy im ukazywali na niektóre nasze felery?... „Pust' anj budut duraki, a to my astaniemsia durakami“. (Niechaj oni będą durnie, inaczey my zostaniemy durniami).

To ostatnie zdanie, kilkakrotnie, a głośno rzucone przez obcokrajowca swemu kompatrjotowi, przykrem echem obilo się o ściany ogólnej kancelarji w dyrekcji technicznej i oburzyło autochtonów cudeńskich.

— No, bo jakżeż? — komentowano. — Pierwszy lepszy przybłeda, takj sobie Griszka, ośmiela się występować przeciw władzy państwowej, — bezkarnie chce ją dyskredytować i tamować pracę ujawnienia łotrów i złodziejstw, popełnionych przez „klike“.

— Nie pozwolimy na to, panowie! — zaopinjowali dwaj odważniejsi pracownicy dyrekcji technicznej i uprzedzili kontrolę o złej woli obcokrajowca.

Znaleźli się zausznicy, którzy donieśli o tem Hryczence.

— Przyjdzie się pójść w odstawkę

— zwierzał się jednemu ze swoich najbliższych. — At, głupstwo rozum zjadło! Lisznie (zbyteczne) słowa powiedział ja niepotrzebnie i głupio...

— Nie takie winy nasz rząd puszcza w niepamięć — pocieszał go zausznik.

— Ja znam, ja znam! Carski rząd za taki i n c y d i e n t do turmy pakował, nie tylko w o t s t a w k ę podawał...

— To carski, ale nie nasz, konstytucyjny i tolerancyjny... Może pan spać spokojnie, panie inżynierze.

Ale Mykoła Hryczenko spokojnie spać nie mógł.

Umyślił przed niechybnie spodziewaną dymisją zdobyć coś na pamiątkę od podwładnych.

Pewnego dnia w obecności swoich zauszników, wyjąwszy zegarek, narzekał:

— Ot, dyrektor ja techniczny, a zegarek t o u m n i e stałowy i bez uszka...

A, gdy został sam na sam ze swoim najbliższym z najżyczliwszych, zakomunikował mu poufnie, że za kilka dni umyślił imieniny swoje obchodzić. Że zaś św Mykoły niema w tym czasie w żadnym z kalendarzy chrześcijańskich, nic to nie szkodzi, bo i bez kalendarza można „dzień angieła“ swojego święcić.

Jakoż i święcono te niekalendarzowe imieniny hajdamaki mennicznego, albowiem usłudni powładni zebrałi około dwóch kroć stu tysięcy bonów, kupili Hryczen-ce złoty zegarek i zaprosili go „do Małgosi“ na bankiet.

Snadź niedawni niewolnicy nie mogli się oprzeć popędowi bizantyzmu i kupić sobie usiłowali łaski u wpływowego potomka byłych najedźców...

Wielu jednak z szanujących się pracowników technicznych odmówiło swego udziału w prezencie i libacji.

powołując się dyplomatycznie na świeży okólnik ministerjalny, zabraniający składania szefom wszelkich prezentów. Pomimo to zauszniczy Hryczenki i ci, co się narażać mu obawiali, złożyli daninę swemu dyrektorowi, który lada dzień oczekiwał dymisji.

- Dymisja jednak nie przychodziła.

Obcokrajowiec, tamujący czynności kontroli państwowej, nie tylko trwał na stanowisku kierownika w Mennicy państwowej, lecz usuwał z drogi kolejno tych wszystkich, co jemu lub „klice“ okazywali brak życzliwości.

XX.

Lato było niezwykle upalne.

Skwar dzienny prażył niemilosiernie. W godzinach południowych żar niebieski zalewał podwórcę i pawilony menniczne, wysączając z drewnianych i lada jako skleconych budynków ostatnie atomy wilgoci.

Mennicy państwowej, w jej prowizorycznych budynkach groziło wielkie niebezpieczeństwo, na co zarządowi zwróciła uwagę kontrola państwowa.

Surowo zabroniono palić papierosy w pawilonach, a nawet i na odkrytych podwórcach. Pozawieszano wewnątrz i zewnątrz budynków samotryskacze przeciwogniowe, t. zw. „minimaksy“. Zorganizowano z wartowników menniczną straż ogniową i ewentualność wypadków ogniowych starano się możliwie zażegnać.

Tymczasem kontrola państwowa jęła się na dobre pracy i, podzieliwszy się na kilka grup, zaczęła badać wszystkie sprawy, począwszy od chwili powstania Mennicy w chronologicznej ich kolei.

Jednocześnie „klika“ nie zasypiała gruszek w popiele. Niewidzialna ręka rozpędzonej, zda się, na cztery wiatry bandy rabusiów badała wciąż tętno życia wewnątrz Mennicy i śledziła za czynnościami kontroli państwa. Ci, co byli jeszcze wewnątrz, komunikowali się pokryjomu z tymi, co już za nawias byli wyrzuceni, i działali z nimi solidarnie, kryjąc przed argusowemi oczyma to, co ukryć należało.

Kontrola zaś zwolna, systematycznie robiła swoje.

Szperała po zapomnianych aktach, dowodach, fakturach i rachunkach. Sprawdziała inwentarz poszczególnych pawilonów, a miała niebawem rozpocząć generalną rewizję magazynów, w których nagromadziło się za miljardy wszelkich materiałów surowych, przyrządów, narzędzi i towarów.

Szyfowa to miała być praca w chaosie dowodów kasowych i magazynowych.

Uwolnić od tej pracy panów kontrolerów umyślił... Głupi Wojtek, woźny z wartowni, który z tytułu swego stanowiska miał wolny wstęp do wszystkich oddziałów Mennicy.

Sam li to przedsięwziął, czy go ktoś z rozumniejszych natchnął tą myślą. — Bóg jeden wiedział. Dość, że pewnego dnia, przed zapłombowaniem magazynu głównego przez kontrolę menniczną, woźny z wartowni wsunął się na chwilę w głąb obszernego magazynu, zapelnionego mnóstwem towarów, aby — nastawić „pułapkę na myszy“.

Dziwna to była pułapka. Wysokie pudełko tekturowe z małemi otworkami u spodu i z wierzchu, a poza tem — nic więcej. Jeno wymierzony dokładnie kawałek grubej świecy stearynowej Głupi Wojtek wstawił

w dno pudełka, przesycone tłuszczem, ulokował to wszystko na stosie worków, pozostałych po opakowaniu, skropił je naftą, poczem świecę zapalił, pudełko przymknął i — pułapka była gotowa...

— Ha, ha, ha! Do północks będzie się świeczka paliła — zaopinjował Wojtuś. — A potem wszystkie myszy puciekają od tej pułapki...

Takie same „pułapki“ ustawił Głupi Wojtek w dwu krańcowych pawilonach mennicznych. A uczynił to sprawnie, zręcznie i niepostrzeżenie.

— Niechaj sobie myszki tera uciekają w pole!... I Wotuś se na wieś pojedzie — cieszył się Głupi Wojtek, zmierzając do pałacyku pana prezesa, gdzie miał powymosić na samochód rzeczy pani Eufemji, odjeżdżającej do świeżo odbudowanych Podborów.

I wczorajszy dzień Wojtuś konspiracyjnie przepracował. Kilka godzin bowiem poświęcił na pracę nie la-da-jaką, choć niby taką prostą, jak napełnienie aparatów gaszących wodą, którą podczas upałów jakoby z „minimaksów“ wyparowała.

Kto Głupiemu Wojtkowi podszeptał, aby zamiast wody, ponalewał do aparatów benzyny, Wojtuś nawet nie pamiętał, przekonany, że dobrze czyni, bo „benzyna jest zawdy mocniejsza, niż woda“.

Znaczne zapasy benzyny w piwnicy mennicznej przechowywano, a że szoferzy wyjechali byli na miasto, więc nikt Wojtusiowi nie przeszkadzał w napełnianiu „minimaksów“ i — wszystko zrobił, pocziwiec, tak, jak należało, — w porządku.

O północy wewnątrz głównego magazynu, stojącego pośrodku posesji mennicznej zabłysło światelko.

Przechadzający się opodal po podwórku dyżurny wartownik nocny, zaintrygowany niespodzianem zjawiskiem, zajrzał przez okno i spostrzegł już płomyki w kłębiącym się dymie.

Zaalarmowana natychmiast warta nadbiegła, zerwała bez namysłu plomby, wpadła do wnętrza magazynu i schwyciła za „minimaksy“.

Tryskająca ciecza zamiast gasić niewielkie jeszcze płomienie, — rozlała się lawą ognia po wszystkich kątach magazynu, od podłogi do pułapu.

Ledwie z życiem zdołali ująć wartownicy z tego oszalałego ognia, jak; wnet wypełnił cały magazyn.

— Pożar!... Pożar!...

Niemal równocześnie w dwu krańcowych pawilonach mennicznych stało się to samo...

Pożar i tu i tam owładnął wnętrzem budynków drewnianych, przeżarł trzaskające szyby, pułapy i owiął postrzępioną pierzyną dymu i płomieni dachy i ściany.

Wartownicy osłupieli.

Komendant Smykajłło biegał bezradnie po podwórcach, aż wreszcie krzyknął:

— Złać „minimaksami“ sąsiednie pawilony i otwórzć hydranty!

Pochwycono za aparaty i wysuszone na dziennym upale budynki gorliwie zlewano.

Wszystkie „minimaksy“ działały sprawnie, lecz — o dziwo! — wzniecały one płomienie tam, gdzie ich nie było, gdzie tylko iskra lub zarzewie małe padło z kłębów powstałego wiatru na ściany i dachy zmoczone ciecżą aparatów...

Zanim puszczono w ruch hydranty wodociągowe, — już morze płomieni bałwańiło się i przelewało po wszystkich budynkach, które niemal momentalnie zamieniły się w olbrzymie stopy ofiarne.

Przerażenie ogarnęło nadbiegłą wkrótce straż ogniową cudeńską, straż dzielną i zaprawioną w walce z niszczącym żywiołem.

Takiego pożaru strażacy cudeńscy nigdy nie widzieli.

O jakimkolwiek ratunku maszyn lub materiałów mowy być nie mogło.

Zależało jedynie na umiejscowieniu pożaru.

Całą noc gorliwie pracowały sikawki parowe i ręczne, w kłębach dymu rozciągali bosakami i rąbali rozżarzone głównie topornicy, a reszta strażaków i warty otoczyła ścisłym kordonem obszerną posesję menniczną, aby nie dopuścić do rabunku gorejących banknotów i walorów, które prądy rozpalonego powietrza unosiły w arkuszach pod niebiosa.

Dopiero coś około godziny 2 po północy podjechał ku pożarowi samochód prezesa Mennicy.

Starowina, wyprawivszy swą małżonkę na wieś, grał sobie w najlepsze w bridga u eks-nadradcy Słodkiewicza, gdy wtem — zajaśniała w oknach oddalona łuna pożaru.

— Tak, jakgdyby w stronie Mennicy...

— Ale, skądże znowu! Fizyczne niepodobieństwo.

Ciągnięto partyję dalej, a łuna coraz goręcej wysyłała się w obłoki. Zaniepokojony prezes Podborski podszedł do telefonu.

— Z Mennicą państwową...

— Aparaty nie czynne!

Prezesowi pot kroplisty zrosił łysinę.

— Ze strażą ogniową.

— Gdzie się pali?

— Mennica państwowa... Wszystkie oddziały straży wyruszyły już od dwu godzin na ratunek.

— Mój dom!... Moje rzeczy!... — ryknął Podborski jak tur raniony i wybiegł na schody, a dopadłszy oczekującego nań samochodu, pomknął ku pożarowi.

Twórcy Mennicy brakło sił aby wysiąść z maszyny, która przez zbity tłum, nadbiegłych zewsząd Robów i Popsujów, przecisnąć się nie mogła.

Podborski zrzucił kapelusz, rozerwał sobie kołnierzyk na krótkiej szyi, osunął się na poduszki i — jakby obezwładniał.

A po jego dumnej twarzy, nabrzmiałej purpurą, po błyszczącej łysinie i mlecznych bokobrodach urągliwie migotały jaskrawe błyski ognia, szalejącego w pobliżu.

Sławetną „Stajnię Augjasza“ ogień z brudów do cna oczyszczał...

K O N I E C.

Dnia 20 czerwca, roku 1922.

TUŁACZYM SZLAKIEM, powieść dla młodzieży. Warszawa 1922. Księgarnia M. Ostaszewskiej. Stronic 252 z ilustracjami, w kartonie.

Jest obyczaj w literaturach Zachodniej Europy, że najznakomitsi autorowie, piszący wyłącznie dla czytelników dojrzałych i dorosłych, jedną przynajmniej książkę, powieść, poemat czy dramat poświęcają [ad] [usum] [Delphini], [dla] [młodzieży] albo jeszcze bardzo młodzikutkiej, albo dorastającej. Jest to danina ducha, składana z miłości do nadchodzących pokoleń, do nadchodzącej ludzkości. Pisarz-artysta, [który] [zawsze] przechowuje w duszy swej coś dziecięcego, pewną bezbronną naiwność wobec twardej, brutalnej rzeczywistości, pewną rzeźkość i ognistość ducha, stara się wtedy cofnąć w swych pojęciach, wierzeniach, uczuciach do lat sielskich-anielskich, górnych i [chmurnych, wchodzi powoli] w okrąg myślowy chłopięcy, rozstaje się na czas jakiś ze światem dorosłych i już przemijających, [a] wżywa [się] w świeże, lżejsze, wiosenne życie najdroższych niedorostków.

[I]dzieje się czasem, że gdy powieść, pisaną dla dorosłych czyta z rozmyśleniem młodzież, to znowu w powieści dla młodzieży zaczytują się właśnie starsi.

Tak będzie, [zdaje się, z] powieścią Jana Tadeusza Wróblewskiego p. t. „Tułaczym szlakiem“.

Autor, bardzo utalentowany beletrysta, cieszący się dużą poczytnością na kresach ukraińskich, sam — pater familias, powziął szczęśliwą myśl skupienia wszystkich reminiscencji wojennych w jednym dziele pisarskiej sztuki, — w przemiłej opowieści o doli i niedoli młodszego rodzeństwa, Leszka i Hani z takich Skotnik, — oraz rodziny biednego Wituśka z takiego Gulczewa, w jakich przewieleu rozgrywała się na polskiej ziemi tragedia wojny europejskiej.

W „Tułaczym szlakiem“ J. T. Wróblewski daje dwie z nieprzeliczonych golgot dziecięcych jak los i wichura wojenna rzucają temi listkami, z drzewa spadłymi, po rozłogach, wertepach, bagnach i moczarach na Polesiu i Wołyniu, w Pińsku i pod Klewaniem, to znów nad Stochodem, a potem w Kijowie i aż na Krymie, — co przecierpiały te młodociane istoty, jak dzielnie i odważnie borykały się z burzą wojenną, — jaką moc charakteru i stalowość woli okazały

te pozornie delikatne latorośle szlachetnych Borzęckich i wreszcie — jak z rozrośniętymi skrzydłami nadleciały z powrotem na skotnickie gniazdo, — to wszystko czytelnik znajdzie w tej opowieści tułaczey. Drugą golgotę, z prawdziwych od początku do końca wydarzeń spisana, i całą gehennę bólu przeżyła rodzina Wituśka, ukochanego przez wszystkich chłopaczka, który niestety rodzinnej ziemi pod Płockiem już nigdy nie ujrzy.

Splerałbym się tylko z kolegą Wróblewskim o jedno. Autor kilkakrotnie, pisząc o Rosjanach, użył terminu „nasz odwieczny wróg, Moskał“. Tak nie jest. Naszym odwiecznym wrogiem była jest i będzie tylko rasa germańska i jej bojówka: Prusy. Rosja była naszym wrogiem i ciemiężycielem od lat 150-ciu, t. j. od czasów, gdy zorganizowali ją państwowo i militarnie Niemcy. Rosja słowiańska, Rosja przyszła, trzecia Rosja, konstytucyjna, liberalna i cywilizowana musi być i będzie naszym, jeżeli już nie przyjacielem, to — w każdym razie dobrym sąsiadem, zgodnym sąsiadem. Niemcy zaś są naszym wrogiem organicznym, rasowym i wleczystym.

Jeżeli nie chcemy aby nowe pokolenie przeszło znowu te wszystkie gehenny, które mamy opisane w omawianej powieści, — jeżeli nie chcemy, aby i Polska szła znowu *tułaczym szlakiem*, to przeświadczenie o tem powinno nam wejść w mózg, w krew i w kości, — organicznie. Niezgodą między dwoma największymi narodami słowiańskimi może jednak przeminie. Ale zapiekła wraźda, chuć pomsty i żądza zdeptania nas — u Niemców nigdy nie przeminą, niestety — nigdy.

Z tem się trzeba zgodzić i odpowiednio do tego dogmatu gmach Polski odbudowywać. Leszek Borzęcki, Hania, Pulpecik winni pamiętać o tem, że ściana Polski od strony niemieckiej musi być budowana z najtrwalszego, z najsolidniejszego materiału.

Oby byli dobrymi architektami...

15-VI-1921

Adolf Nowaczyński.

ROMANS KURTYZANY, powieść. Warszawa 1922. Skład główny w księgarni M. Ostaszewskiej i Ski. Stronic 264, okładkę rysował Adam Grabowski.

Czy powieść „Romans kurtyzany“, napisana przez Jana Tadeusza Wróblewskiego, jako dalszy ciąg jego studjów psychologicznych

I nad wyraz miłych nowelek, jest oczywiście „rzeczą pornograficzną” i ma na sobie sygmat polskiego „Zolaitzmu”? Czy należy tę powieść wpisać do „Index’u librorum prohibitorum” polskiej Książnicy Współczesnej? Oto jest pytanie, jak mówi Hamlet.

Odpowiedzmy więc szczerze, uwzględniając w danym razie polskiego Kanta (Co do „Krytyki czystego rozumu”) i polskiego Schopenhauer’a (Co do „Podstawy moralności”), czyli też powodujmy się w swoim sądzie o tym „Romansie kurtyzany” rozumem oceni sercem.

Samo zatytułowanie, jak gdyby, daje nam przedsmak pornografii, czegoś drastycznego na gruncie seksualnym.

Wniknijmy jednak w treść rzeczv. spóirzmy na to psychologiczne i moralne prześcieradło, na którym autor kładzie swoje żywe i umarłe moralnie typy i postacie, a przekonamy się, że nie mamy do czynienia ze zwykłą prozą romantyczną, obliczona na łatwy i tani efekt, a z czemś daleko poważniejszem, daleko głębszem. z czemś, co powinno nas zastanowić i nawet pohudzić do, swego rodzaju. kontemplacji moralnej.

Czy Ola Jodejkówna, jako owa kurtyzana i bohaterka powieści ucieleśnienia i duchowo wyraża ten typ „współczesnej kobiety”, za której przykładem mogłaby pobiedz niejedna młoda i wrażliwa białogłowa?

„Nigdy!” powie uważny czytelnik, a tembardziej psycholog i filozof. Ola Jodejkówna, jako kurtyzana, wywołuje w nas niesmak moralny, jako typ „zsamieczonej” zupełnie kobiety, a ta „zsamczalność” pozbawia jej właśnie aureoli czci i szacunku, tak właściwego i pożądanego dla płci pięknej.

Czy jednakże Ola Jodejkówna jest tem „padłem moralnem”, o którym nie warto mówić, nie warto wspominać? Twierdzącej odpowiedź dać niewolno nawet najsurowszemu krytykowi moralnemu. Ola Jodejkówna—to chora dusza w zdrowem ciele, to „córka atawizmu”, to wytwór współczesny, uosabiający w sobie bunt duszy młodej i młodego życia. mającego pomimo wszystko wielkie prawa do życia...

Czasy wojny i czasy powojenne dały nam tysiące takich typów o spaczonej duszy ludzkiej. Subtelność jednak autora, jego znajomość duszy współczesnej, oplutej rezygnacją walki o byt, odtwo-

rzyła nam klasyczny typ upadku młodej kobiety i dała maximum idjonykrazji, taki budzi w czytelniku nieszczęśliwa Ola Jodejkówna, jako kobieta o spontanicznie rozkleśnianych zmysłach.

Aż się naprasza zdanie wielkiego angielskiego myśliciela, Johna Mil'a, że „lepiej być niezadowoloną ludzką istotą, aniżeli zadowolona świnią“...

Czy jednak autor nie popełnił psychologicznego błędu w ocenie typu Oli Jodejkówny w chwili jej nawrócenia przez ofiarne i żywiołowe ukochanie? Głębiej myślący czytelnik uczyni zapewne autorowi w tym miejscu zarzut niesprawiedliwości, posądzi go o brak wyrozumiałości i średniowieczne nieomal „J'accuse“ moralne.

Rozumiejąc należycie przewodnią myśl autora, oceniając jego dążenia, radzi jesteśmy wybaczyć mu tę bezwzględność, dążącą, w rezultacie, do uszlachetnienia. Ale chyba nikt nie potępi ostatecznie Oli Jodejkówny i nie zaniedba pożałować jej w chwili tragicznego i ofiarnego rozbratu z życiem młodem.

Autor, tak umiejętnie badający duszę współczesnej kobiety (patrz jego śliczne nowelki, kapane w słońcu prawdy życiowej, p.t.: „Hanczyna dola“, „Świątynia Tamory“ i inne), przeoczył okoliczności łagodzące w stosunku do ostatnich dni życia Oli Jodejkówny i, w myśl starożytnego przysłowia: „Jakie życie, taka śmierć“, nie pożałował swej ofiary nawet wtedy, gdy wszystko się już wybacza człowiekowi i kamieniem nań rzucać nie wolno.

Autorowi chodziło snad o to, aby zohydzić na zawsze w przekonaniu młodocianych serc typ Oli Jodejkówny, jako anarchistyczny przejaw zmysłów ludzkich i uwypuklić ujemne strony charakteru upadłej moralnie kobiety.

A któż jest Stanisław Wieman, drugi smutny bohater powieści, ofiara tej niezdrowej miłości?

O, jakże wielu z mężczyzn dopatry się w Stanisławie Wiemanie samych siebie, jak wielu z nich westchnie, po przeczytaniu powieści, i powie sobie, w głębi duszy: „Dzięki Bogu, że nie stałem się prawdziwym Stanisławem Wiemanem!“

Stanisław Wieman — to współczesny Płoszowski, wydrapany świeżką moralną życia, to — prototyp mężczyzny o słabej woli i silnych zmysłach, to — przestroga dla tych wszystkich, którzyby chcieli pogodzić „lamparcie życie“ z równowagą moralną.

Jakże umiętnie autor wykazuje w ciągu powieści, kim być powinien mężczyzna i kim się stać może, jeśli wpadnie w serwilizm zmysłowy.

Chyba że niema mężczyzny, któryby chciał zazdrościć Stanisławowi Wiemanowi w jego przeżywaniach, chyba że niema mężczyzny, któryby chciał pójść śladem Wiemana i okazać podobną słabość charakteru i brak woli.

W krótkiej wzmiance niepodobna odtworzyć krytycznie, a raczej „przeanalizować“ inne bardzo ciekawe typy tej powieści. Autor, z właściwą mu psychologiczną erudycją, porusza najlepsze i najgorsze strony charakteru ludzkiego, jak prawie nikt inny dotąd, mówi wyraźnie o, tak zwanych, „złotyich muchach“ czasu wojny, budzi wsręt do wszelkiego brudu moralnego i skalpuje go w umiętny sposób.

„Romans Kurtyzany“ jest tem ciekawszy dla poażnych czytelników i dla poszukiwaczy sensacji we współczesnej literaturze polskiej, że uwzględniła życie kresów wschodnich w czasie wojny i na tle tej czerwonej kanwy daje nam bohaterów powieści i odtwarza całą akcję.

„Romans Kurtyzany“, chociaż mówi czasami o drażliwych kwestjach sektualnych, ma tyle wspólnego z pornografią, ile ma wspólnego termometr z barometrem.

Ciekawym czytelnikom należy przeczytać cały szereg powieści tegoż autora, już wydanych, aby bo zrozumieć i w należyty sposób ocenić jego talent pisarski, poczęzony z głęboką znajomością duszy ludzkiej i charakteru, w czem autor wprost celuje.

22-VI-1922.

Jan Tchorzewaki.

BIBLIOTEKA
UMCS
LOBLIN

The first part of the document is a letter from the Secretary of the Board of Directors to the Board of Directors. The letter is dated 1911 and is addressed to the Board of Directors. The letter discusses the financial condition of the company and the proposed budget for the year 1911. The letter also discusses the proposed changes to the company's constitution and the proposed changes to the company's bylaws. The letter is signed by the Secretary of the Board of Directors.

The second part of the document is a report from the Board of Directors to the shareholders. The report is dated 1911 and is addressed to the shareholders. The report discusses the financial condition of the company and the proposed budget for the year 1911. The report also discusses the proposed changes to the company's constitution and the proposed changes to the company's bylaws. The report is signed by the Board of Directors.

The third part of the document is a resolution of the Board of Directors. The resolution is dated 1911 and is addressed to the Board of Directors. The resolution discusses the proposed changes to the company's constitution and the proposed changes to the company's bylaws. The resolution is signed by the Board of Directors.

The fourth part of the document is a resolution of the Board of Directors. The resolution is dated 1911 and is addressed to the Board of Directors. The resolution discusses the proposed changes to the company's constitution and the proposed changes to the company's bylaws. The resolution is signed by the Board of Directors.

The fifth part of the document is a resolution of the Board of Directors. The resolution is dated 1911 and is addressed to the Board of Directors. The resolution discusses the proposed changes to the company's constitution and the proposed changes to the company's bylaws. The resolution is signed by the Board of Directors.

Nr. 10682

27. 24-

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w. Lublinie

A 39585

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000182613